

Aleksandra

TYL



SZEFOWA

*wszystkich*

SZEFÓW

komedia  
ANTYsensacyjna

Aleksandra TYL

**SZEFOWA**

*wszystkich*

**SZEFÓW**

*prozami*



## Rozdział 1

Nie wiem, co mi odbiło, że na imprezie firmowej podszedłem do narzeczonej prezesa i wyznałem jej miłość. To było spontaniczne. Patrzyłem na nią, gdy stała samotnie, sącząc leniwie drinka. Miałem wrażenie, że jest smutna. To akurat mnie nie dziwiło, bo przecież trudno być zadowolonym, gdy ma się za faceta łysejącego, otyłego, wątpliwej urody i w dodatku starszego o trzydzieści lat rozwodnika z bagażem życiowych doświadczeń.

Ona była młoda, miała jakieś dwadzieścia sześć lat, może dwadzieścia osiem – tyle co ja. I była ładna. Miała piękną twarz, czasem zbyt krzykliwie umalowaną, ale nadal ładną, z wąskimi delikatnymi ustami, które częściej układały się w kreskę niż uśmiech, co zwracało moją uwagę i pozwalało snuć domysły.

Była drobnej postury, ale bardzo zgrabna. I nosiła ubrania, które podkreślały wszystkie zalety figury.

Wiedziałem, że ma na imię Julka, chyba od Julii albo od Julity. Borcuch mówił na nią „Myszko”.

Nie pasowali do siebie. Wyobrażałem sobie, że ona bardzo się z nim męczy. Że sama nie wie, dlaczego z nim jest. Może dręczył ją brak wiary w siebie i dlatego zadowolili się naszym prezesem, będącym już u schyłku życia. Wiekowo nie był aż tak stary, w końcu pięćdziesiąt sześć lat to dla niektórych dopiero środek, a nawet początek, ale Borcuch wyglądał na schorowanego. Miał bladą twarz i podkrążone oczy. Z powodu nadwagi, a zapewne też wielu innych chorób, których się tylko domyślałem – cukrzyca, nadciśnienia – puchły mu nogi i dłonie. Czasem odnosiło się wrażenie, że za chwilę pęknie. Nie było w nim dawnej energii, nawet gdy znajdował się przy narzeczonej. Wyraźnie uchodziło z niego życie. Obstawiałem więc, że długo już gość nie pociągnie.

A mogła mieć każdego. Z jej urodą, a nawet z tym dzieckiem, które miała z kimś innym, mogłaby znaleźć sobie odpowiedniego – młodego, energicznego, przystojnego – faceta, chociażby mnie.

Było mi jej żal, że musi spędzać czas z tym dziadem. O tym, że spędza z nim czas także w łóżku, wolałem w ogóle nie myśleć. Czasem, gdy pojawiał mi się w głowie taki niechciany obraz, wyobrażałem sobie, że ona podczas seksu z Borcuchem zamyka oczy i myśli o kimś przystojniejszym, na przykład o mnie.

Nie wiem wprawdzie, czy w ogóle mnie kojarzyła, bo przecież nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Patrzyłem na nią dotąd tylko zza swojego biurka, kiedy przychodziła czasem do firmy, w porze lunchu i razem z Borcuchem szli na obiad do restauracji.

Kiedy więc zobaczyłem ją na tej imprezie, najpierw w towarzystwie Borcucha i ich znajomych, a później samą, pomyślałem, że to moja szansa. Albo że to jej szansa. Albo że to szansa dla nas obojga. Właściwie nie wiem, co sobie pomyślałem, bo nie przyglądałem się własnym myślom. Po prostu podszedłem do niej, gdy tylko nadarzyła się ku temu okazja. Może myślałem, że ona na to czeka? Może wyobrażałem sobie, że jestem niczym ten książkę na rumaku, który wyrwie ją z rąk smoka? Nie mam pojęcia, co mną wtedy powodowało. Nie byłem nawet przecież pijany, ledwie napoczęte drugie piwo nie dawało oznak upojenia. Trzymałem się pewnie i choć przez moment błysnęła myśl, że może prezes w tym czasie wróci i nie zdążymy uciec, nim zdzieli mnie w twarz, to nie bałem się takiego scenariusza. Nawet widmo ewentualnej utraty pracy nie było dla mnie przeszkodą.

Podszedłem z lekkim uśmiechem. Spojrzała na mnie bez szczególnego zainteresowania, jej oczy nie wyrażały dosłownie nic, a usta miała jak zwykle ułożone w neutralną kreskę.

– Dobry wieczór – przywitałem się zmysłowym głosem.

Ona tylko skinęła głową, po czym odwróciła wzrok, wypatrując koleżanek lub narzeczonego.

– Dobry wieczór – powtórzyłem. – Piękny wieczór. Nie taki piękny jak ty... – Zawahałem się, czy wypada zwracać się do niej po imieniu, ale przecież byliśmy w podobnym wieku.

– Słucham? – spytała, patrząc teraz na mnie. Udało mi się jednak zwrócić jej uwagę.

– Powiedziałem, że wieczór jest piękny. Ale byłby piękniejszy, gdybyśmy stąd uciekli. Zakochałem się w tobie, nie mogę przestać o tobie myśleć – wyszeptalem, nachylając się ku niej.

O mało nie zakrztusiła się drinkiem. Potem spojrzała na mnie z góry. Nie wiem, jak to możliwe, bo przecież była o głowę niższa. A jednak miałem wrażenie, że jest ponad mną i patrzy na mnie z góry. W jej wzroku było coś niepokojącego.

– Za wysokie progi jak na twoje nogi – wycodziła zdumiewająco lekko, a przy tym z taką pewnością siebie, jakby nie miała co do swoich słów żadnych, ale to żadnych wątpliwości.

Wtedy przyszły jej dwie koleżanki. Zainteresowały się, kim jestem, a ona coś tam im odpowiedziała, chyba że jestem nikim i że podbijam do niej, że jestem jakiś chyba wariat. Śmiały się, niemal zanosiły się tym śmiechem. Pytały, z czym do ludzi, i to pytanie chyba skierowane było do mnie.

Ale ledwo cokolwiek słyszałem. Tylko ten śmiech.

Nazwała mnie nikim. NIKIM?

Kurwa mać. Ja pierdolę.

A ten łysy oblech to niby jest ktoś? Bo jest prezesem?

Kiedy wracałem do swojego stolika, niemal na oślep, ogłuszony fatalną reakcją tych kobiet, starałem się trzymać pion. To znaczy szedłem prosto, ale wewnątrz czułem się przygięty, niemal znokautowany. Jakbym dostał pięścią w brzuch.

W połowie drogi, gdy mijałem kolegę z działu produkcji, jednego z tych typków, którzy nawet na imprezy firmowe przychodzą w roboczych bluzach, zauważyłem, że na mnie spojrzął. Po prostu uniósł wzrok i spojrzął. Zwyczajnie, przelotnie, jak na przechodzącego obok. Ale mnie to tak wkurwiło, że podskoczyłem do niego, chwyciłem za tę bluzę i miałem ochotę mu przywalić. Opanowałem się jednak.

– Pierdol się – wycedziłem wprost do jego ucha.

Był przerażony, niemal słyszałem, jak bije mu serce. Patrzył na mnie oczami jak spodki.

– O co ci chodzi, stary? – spytał.

Ale ze mnie już trochę zeszło to ciśnienie. Poluzowałem uścisk.

Nagle poczułem, jak ktoś mnie łapie za marynarkę.

– Masz problem, frajerze? – Usłyszałem agresywny głos za plecami.

To byli koledzy tamtego, wszyscy z działu produkcji, w takich samych bluzach, trochę już podchmieleni. Ale waleczni. Mimo że jeden w okularach.

Rozejrzałem się za własnymi kolegami. Stali nieopodal, wpatrując się w nas z ciekawością. Żaden się nie ruszył, żeby mi pomóc.

– Szukasz zaczepki? – dopytywał jeden z tych z produkcji. – To dawaj, dawaj, pokaż, co potrafisz. – Zaczął podskakiwać i wysuwać ręce zwinięte w pięści jak bokser.

– Nie szukam zaczepki – wyjaśniłem, starając się, żeby mój głos brzmiał teraz spokojnie. Co tu dużo gadać, nie miałem z nimi szans, a nie chciałem wzbudzać sensacji wśród gości i niedoszłej ukochanej.

– Przepraszam, leszczu – nakazał okularnik.

– Przepraszam – wydukałem i spuściłem wzrok. Chciałem odejść, ulotnić się, zniknąć.

Naprawdę nie wiem, co mi strzeliło, żeby podrywać narzeczoną szefa, a wkrótce potem nawrzucać koledze z działu produkcji.

To nie był mój najlepszy wieczór.

A jednak jeden z tych, które dzięki splotom różnych wydarzeń potrafią wpłynąć na resztę życia.

\*\*\*

Czułem niesmak. Do siebie i do świata. Za to, jak ten świat mnie dziś potraktował. I za to, jak ja potraktowałem siebie. Czułem niesmak do wszystkich kobiet, wciąż w uszach brzmiał mi śmiech Julki i jej koleżanek. Wciąż dźwięczało mi w uszach słowo „NIKT”. Byłem dla nich nikim.

Powinienem jakoś się odwinąć, coś powiedzieć. Coś, co poszłoby im w pięty. Ale nie umiałem, zawstydzili mnie. Nie tak miał się potoczyć ten wieczór. Zabrakło mi pewności siebie. Uważam się za lepszego od Borcucha, a jednak podskórnie wyczułem, że nie mam z nim szans. Dla nich byłem nikim, randomem z działu handlowego, uderzającym do narzeczonej prezesa.

Czułem też niesmak z powodu niepodjęcia rękawicy. Okularnik, drobny i nieco już zawiany, wyzwał mnie na pojedynek. A ja stchórzyłem. Bo czułem się niepewnie. Bo on, choć drobny i niepozorny, był jednak waleczny i miał obok siebie kolegów. Moi kumple patrzyli tylko. Jakby byli w kinie, brakowało im tylko popcornu.

Spytałem później, dlaczego mnie nie wsparli. Powiedzieli, że wzięli tę sytuację za żart. Bo kto normalny ryzykowałby bijatykę na imprezie firmowej, pod okiem prezesa, przecież to mogłoby skończyć się zwolnieniem z pracy, a w tych czasach niełatwo o nową. A kredyty każdy ma.

No tak, więc znów prezes górá. Jak król. Nawet kumple sprzedaliby mnie przy pierwszej okazji. Albo daliby mnie zabić okularnikowi. Bo praca.



Kuźwa. Co za świat.

Wyszedłem stamtąd, choć impreza dopiero się rozkręcała i właśnie podali gulasz. Byłem głodny, bo te kanapeczki, które serwowano o dwudziestej jako starter, były beznadziejnie małe i wszyscy czekali na prawdziwe żarcie. Dochodziła dwudziesta druga. Ten gulasz zaplanowano aż tak późno chyba z oszczędności. Może prezes miał nadzieję, że większość gości się wykruszy i mało kto zje, ale wszyscy zostali. Poza mną.

Zdecydowałem się wracać do domu piechotą. Chciałem ochłonać, a ruch zawsze dobrze mi robił. Poza tym z Saskiej Kępy, gdzie odbywała się impreza – do Śródmieścia, gdzie wynajmowałem mieszkanie, nie było daleko. Czterdzieści minut, może godzina. Wystarczyło przejść przez most i potem skręcić na Powiśle. Miałem nadzieję, że po szybkim marszu i dotlenieniu mózgu chłodnym, choć prawie już majowym powietrzem mój umysł nieco się uspokoi i wpłyną do niego jaśniejsze myśli.

Szedłem energicznie, a zarazem niespiesznie, wdychając powietrze nosem, a wydychając ustami. Ta metoda podobno jest najbardziej skuteczna na stres. Miasto jeszcze nie spało, wciąż jeździły tramwaje i autobusy. Spacerowiczów jednak o tej porze było już zdecydowanie mniej. Przez most szedłem sam, co było trochę zdumiewające, biorąc pod uwagę fakt, że pod mostem tętniło życie. Młodzież chyba już czuła majówkę, rozpalano pierwsze ogniska i – mimo chłodu – zabawa na nadwiślańskich plażach trwała w najlepsze.

Ale most był wyludniony. Tutaj zbyt wiało dla pieszych. Ja też żałowałem, że nie mam czapki ani kaptura. Uszy marzły jak zimą.

Byłem już niemal w połowie. Oddychałem miarowo, skoncentrowany na oddechu. Trochę zmęczony, bo takie oddychanie wcale nie jest swobodne. Przystanąłem więc, żeby dać płucom odpocząć. Podała się czarna toń, nade mną niewidoczne gwiazdy. Po bokach gdzieniegdzie skrzące się ogniska, a w oddali światła miasta. Być może byłby to przyjemny widok, ale nie dziś, kiedy uszy niemal mi zamarły. Rozważałem nawet, czy nie wsiąść do ostatniego tramwaju.

Nagle mój wzrok zarejestrował coś nietypowego. Świadomość jeszcze nie potrafiła rozszyfrować tego obrazu, ale w głębi poczułem niepokój.

To był mężczyzna.

Zauważyłem go kątem oka. Jakies cztery metry z prawej. Zerknąłem ponownie.

Stał i – podobnie jak ja – patrzył w wodę.

Tyle że on stał po drugiej stronie barierki.

Kurwa!

W tej chwili nie czułem już uszu, jakby odmarzły. Całe ciało mi się rozgrzało, chyba adrenaliną. Serce zaczęło mocniej bić.

O kurde, kurde! Co mam robić? Po cholere, szedłem przez ten most, teraz muszę podjąć decyzję.

Facet to się odchyłał, to wracał do pozycji, jakby niezdecydowany. Albo jakby odliczał do skoku.

Trzymał się barierki i wyglądał trochę jak Batman, tak mi się skojarzyło, chociaż nie miał żadnego dziwnego stroju, był w garniturze. Elegancik.

W pierwszym odruchu chciałem spytać, czy mu nie zimno. Potem myśli zaczęły napływać mi jak oszalałe. Co robić w takiej sytuacji, jak go powstrzymać? Krzyknąć: „Nie skacz! Każdy problem jest do rozwiązania!”. A jeśli on widzi to inaczej? Cholera jasna, mogłem zostać w tym klubie!

Mam mu zrobić wykład o wartości życia? Ale nie jestem przecież psychologiem.

Odchyłał się i wracał – jak dziecko cierpiące na chorobę sierocą. Bujanie, bujanie.

Może powinienem iść dalej, udać, że go nie widziałem? Niech się tak buja sam.

A jeśli skoczy? To skoczy. Mnie przecież nic do tego.

Ale stałem jak sparaliżowany. Cholerny most. Pusty. Ostatni tramwaj przejechał.

Z czeluści wspomnień wydobyły się nagle nauki z jakiegoś handlowego szkolenia. Przykuć uwagę. Trzeba przykuć uwagę. Włożyć stopę w drzwi, potem już pójdzie.

Gość odchyłał się coraz mocniej, kątem oka widziałem, że jego dłonie już prawie odklejają się od barierki.

– Niech pan stąd nie skacze! Tu nie można! Jest zakaz! – krzyknąłem, ale nie za głośno, żeby go nie wystraszyć. Mój głos był jednak zdecydowany i stanowczy.

Facet spojrział na mnie, zdziwiony.

- Ale co nie można? – spytał.
- Skakać. Jest zakaz.
- Zakaz skakania do Wisły? – Przekrzywił głowę. Mocniej chwycił się barierki.

Brawo ja! Poszedłem za ciosem.

- Z tego mostu nie można. Nie słyszał pan?
- Nie.

– Jest zakaz. Już od roku! Stąd prąd niesie aż pod Płock, a tam Wisła zakręca, tworzy rozwidlenie i ciała zatrzymują się na wysepce. Władze Płocka wystosowały apel do władz stolicy o zakaz, bo miały dość uprzątnięcia warszawskich trupów.

- Co pan opowiada? – zdziwił się.

Wiem, durna historia, ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy, a to przynajmniej ściągnęło jego uwagę. Zainteresował się. Naprawdę na mnie patrzył. I przestał się odchyłać w stronę rzeki.

– Dziwne, że pan nie słyszał – powiedziałem nieco już spokojniej, robiąc jednocześnie mały krok w jego kierunku. Maleńki, posuwisty, niemal niezauważalny, by go nie wystraszyć.

- A z tamtego można skakać? – spytał, pokazując brodą most Łazienkowski.

– Tak, tam można. Tam jest mielizna. Pozwalają skakać, bo ciało daleko nie odpłynie, w tamtym miejscu Warszawa sprząta – wyjaśniłem, starając się, żeby mój głos brzmiał pewnie. Miałem nadzieję, że tym sposobem kupię czas. Jeśli facet zdecyduje się na skok z innego mostu, będzie potrzebował się tam przemieścić, w tym czasie zawiadomię odpowiednie służby. Grać na czas, grać na czas – powtarzałem w myślach.

Pokręcił głową, wpatrując się w most Łazienkowski. W tym czasie zrobiłem kolejny posuwisty kroczelek.

- Przecież to głupota – stwierdził. – Abstrakcja. Absurd.
- A bo to jedna w tym kraju? – przyznałem.
- A jeśli jednak skoczę stąd? To co?
- Kara. Grzywna. Olbrzymia.

Kolejny kroczelek. Byłem już prawie dwa metry od niego.

- Grzywna dla nieboszczyka? – spytał przytomnie.
- Dla rodziny. Przecież ciało zostanie zidentyfikowane. Z pewnością ma pan dokumenty.
- Ach! – krzyknął, wyszarpując lewą dłońią portfel z kieszeni marynarki. Odrzucił go na ulicę.

– I tak zidentyfikują – powiedziałem. – Poza tym... – Przybrałem miękki ton, bardziej życzliwy, robiąc jednocześnie następny posuwisty mały krok. – Po co skakać?

- Jestem zmęczony – wyszeptał, niemal bezgłośnie, ale usłyszałem.
- Może dziś czuje się pan nie najlepiej, ale jutro... Jutro też jest dzień – pocieszyłem. – Jutro będzie lepiej.

– Jutro... – parsknął. Spojrzał na mnie litościwie. – Zapamiętaj, młody człowieku. Dziś jest wczorajszym jutrem.

Nie ogarnąłem. To było za trudne w tym momencie. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, dlatego po prostu dobiegłem do niego i chwyciłem za ramiona.

Ale on wtedy skoczył. Wyśliznął mi się z rąk.

– Ja pierdolę – syknąłem, podążając wzrokiem w dół. Nawet nie usłyszałem plasku. Nic. Byłem tak przejęty, że mój mózg na chwilę chyba się wyłączył.

Przebiegłem na drugą stronę mostu, co wcale nie było takie proste, zważywszy na przejeżdżające samochody i tory tramwajowe. Wychyliłem się, ale nic nie dostrzegłem w ciemnej toni rzeki.

Nie wiedziałem, co zrobić.

Nagle mój wzrok padł na portfel rzucony przez faceta na ulicę i na nim się skoncentrowałem. Nie wiem dlaczego, po prostu chciałem go ocalić, przynajmniej tę rzecz. No dobra, po cichu liczyłem, że jest tam gotówka. Facet nie wyglądał na biednego.

Rzuciłem się na ten portfel, ryzykując życiem, bo leżał dokładnie na środku jezdni prowadzącej do Śródmieścia. Ledwie go podniosłem i odbiegłem na chodnik, zadzwonił mój telefon. Odruchowo, zupełnie bezmyślnie odebrałem połączenie. Mamusia.

Mama zawsze kazała nazywać się „mamusią”, według niej takie określenie wykazywało między nami

silniejszy związek, niż gdybym nazywał ją po prostu „mama”. Oczywiście takie nazewnictwo było bardziej pod sąsiadów niż faktycznie odzwierciedlało naszą bliskość. Żeby się jednak z nią nie spierać, zgadzałem się na to i mówiłem do niej „mamusiu”. Była wtedy szczęśliwa i mogła się chwalić, że syn zwraca się do niej w ten sposób. A sąsiadki piałły z zachwytu i pytały: „Wandziu, jak tego dokonałaś?”. I mama, pardon, mamusia, tłumaczyła, że mówię tak do niej z miłości.

Jasne.

Przymusiła mnie. Wychowała mnie jak psa Pawłowa. Kiedy pytałem: „Mamo, zrobisz mi kanapki?”, udawała, że nie słyszy. Dopiero kiedy zmieniałem formę na: „Mamusiu, zrobisz mi kanapki?”, reagowała. Czasem korciło mnie, żeby samemu sobie robić te kanapki, na złość jej, żeby nie musieć mamusiować, ale samodzielnie zrobione nie byłyby pewnie tak smaczne. Mamusiowałem więc, żeby dostać jedzenie, kieszonkowe, czyste ubrania.

Dopiero gdy przeprowadziłem się do Warszawy i kilku kolegów, słysząc moją rozmowę telefoniczną z „mamusią”, uśmiechnęło się znacząco pod nosem, zaprzestałem mamusiowania w miejscach publicznych. Mama oczywiście obrażała się wtedy, wmawiając mi, że Warszawa ma na mnie zły wpływ. Cały czas powtarzała, że muszę uważać, by nie wpaść w złe towarzystwo. Bała się, żebym nie zaprzepaścił całej tej pracy, jaką wykonałem, by stać się „kims”. Bo dla rodziców i ich sąsiadów byłem „kims”. Jako jedyny bowiem spośród kolegów z podwórka skończyłem studia, dostałem pracę i nawet dysponowałem samochodem służbowym.

Dla siebie jednak nie byłem „kims”. Dla siebie byłem nikim, szczególnie dziś, gdy nie dość, że zostałem upokorzony na imprezie, to jeszcze nie udało mi się uratować człowieka przed skokiem. Byłem nikim.

– Halo! – krzyknąłem do słuchawki niezbyt miłym tonem.

– Wybacz, że o tej porze, synku – kajała się mama... mamusia. – Ale właśnie się z ojcem zastanawiamy, czy wybierasz się do nas na majówkę? Bo chcielibyśmy wyjechać, właśnie rozmawiamy, bo dzwoniła ciocia Krysia i zaprosiła nas, to znaczy mnie i ojca. Ale jeśli chcesz przyjechać...

– Gość rzucił się z mostu. Na moich oczach. Kuźwa.

– Jaki gość? Gdzie jesteś, synku? – zaniepokoiła się mama.

– Z imprezy wracam, piechotą. Mostem szedłem i on tam stał. Za barierką. Muszę chyba zadzwonić po policję? Karetkę? Straż pożarną? Nie wiem. Nie wiem, cholera jasna. Rzucił się. Do Wisły.

– O mój Boże! – krzyknęła mama. – Słyszysz, Włodziu? – zawołała ojca.

– Przeżył? – dopytywał ojciec.

– Nie wiem. Chyba nie. Na pewno nie... – stwierdziłem.

– Nigdzie nie dzwoń! – zakomenderował tata. – Będą cię ciągać po komisariatach, żyć nie dadzą. Facetowi już nie pomożesz. Skoczył to skoczył.

– Tata ma rację, idź stamtąd. Co za okropne miasto! Ale nie wracaj piechotą, zamów taksówkę.

– Żadnej taksówki – wciął się tata. – To mafia. Zedrą z niego, obwiozą przez pół Warszawy, słyszałem o takich.

– Już takich nie ma – przypomniałem.

– Ooo, uważaj, żebyś się nie pomylił. Wszędzie są. I tylko czyhają, wiem, co mówię. Zobacz, że jesteś zaaferowany i może straciłeś czujność, i nakręci na ten swój liczniczek dodatkowe stówki. Już ja ich znam, mafia!

Mafia. Ojciec wszędzie widział mafię. Odkąd pamiętam, nazywał tak większość grup zawodowych i społecznych, do których on nie należał. Takie postrzeżenie pogłębiło mu się, kiedy leżał w szpitalu po wypadku, któremu uległ w pracy. Lekarze – biała mafia czyhali wtedy podobno, żeby go szybko oskórować, wyjąc przydatne narządy, które można byłoby komuś opchnąć. Ale się nie dał. Ponoć cudem, bo było blisko.

Kiedy w tamtym czasie chodziłem do apteki, żeby mu wykupić lekarstwa, a nie wszystkie były refundowane, nazywał farmaceutów mafią w fartuchach. Była też mafia sądownicza, kasta, która nie przyznała mu odpowiednio wysokiego odszkodowania. Ojca nie stać było na dobrego prawnika, w przeciwieństwie do firmy ubezpieczeniowej, która dysponowała profesjonalistami w tej dziedzinie. Rekinami, którzy przekonali sąd, że wypadek po części był ojca winą, skoro sam wybrał sobie taki zawód, czyli był stolarzem i sam sobie tę rękę uciął. Mafia prawnicza, niech ich chuj trzaśnie – mówił ojciec wściekły.

I miał rację. Z pieniędzy, które dostał, nie był w stanie nas utrzymać, a trudno o pracę w zawodzie stolarza, kiedy się nie ma ręki.

Dobrze, że mama pracowała, inaczej byłoby krucho. Ojciec wprawdzie po pewnym czasie znalazł nową pracę – w telemarketingu, do którego nie potrzebował dłoni. Nie znosił jednak tej roboty, nienawidził jej. Jako były stolarz nie posiadał kompetencji do komunikacji z ludźmi. Bywało, że puszczały mu nerwy przy tej słuchawce, ale zaciskał zęby, żeby zarobić parę złotych. Swoich szefów nazywał oczywiście mafią, wyzyskiwaczami. Bardziej jednak nienawidził rozmówców, patałachów – jak zwykł o nich mówić, kiedy nie miał zamówień. Zdarzało się, że i im dawał wykłady na temat mafii, a konkretnie – mafijnego działania sklepów stacjonarnych, co czasem (choć rzadko) przynosiło efekt i wpadało mu zamówienie na te garnki, które sprzedawał.

W szerokiej gamie mafiosów znajdowali się także księża – czarna mafia lub mafia w sutannach, jak mówił, dlatego nie pozwolił na pomoc, której chciał mu udzielić nasz proboszcz i zatrudnić go, nawet bez tej ręki, jako pomocnika na plebanii – w ramach dodatkowego zajęcia w weekendy.

Była też mafia samochodowa, bo nikt ojcu nie chciał opuścić ceny za auto, które sobie upatrzył, przystosowane do jego nowego trybu życia.

Było wokoło mnóstwo różnych mafii, które według ojca żerowały na zwykłych ludziach, wzbogacając się ich kosztem. I zawsze mieli lepiej niż on – który miał pod górkę.

Nie znosił mafii. Ale też chyba skrycie ją podziwiał. Pamiętam, że za dzieciaka oglądałem razem z nim *Ojca chrzestnego* – wszystkie części, *Człowieka z blizną*, *Donnie Brasco*, a potem nawet *Rodzinę Soprano*. Śledził losy bohaterów z zapartym tchem i zwykł powtarzać wtedy: „Patrz, synu, to są prawdziwi mężczyźni. A rodzina jest najważniejsza”.

– Więc przyjedziesz do nas na majówkę? – dopytywała mama. Ledwie ją słyszałem, tak byłem owładnięty myślami o tym, co robić. Zadzwoić na policję lub po pogotowie czy odpuścić?

– Kiedy majówka? – spytałem po dłuższej chwili, gdy zaniepokoiła się, że nie odpowiadam.

– Za tydzień.

– Nie, to raczej nie – odparłem odruchowo, bo przecież nie miałem żadnych planów na za tydzień. – Może jednak wezwę policję? Może go uratują?

– No jeśli masz czas na przesłuchania, to sobie dzwoń – powiedział tata gdzieś w tle. – Ale sam zobaczysz, ta policyjna mafia szybko ze świadka zrobi z ciebie oskarżonego, żeby im się statystyki zgadzały – zawyrokował.

– A, to nie – przyznałem, przyspieszając kroku. – To jednak nie dzwonię.

Byłem już niemal na końcu mostu. Przeanalizowałem błyskawicznie, że przez te trzy minuty gość zdążył zachłysnąć się wodą, zamarznąć lub pójść na dno. Nie było sensu wzywać służb, bo przecież zanim by go odnaleźli, upłynęłoby pewnie kolejne kilka godzin, po których może nawet dopłynąłby już z nurtem do Płocka.



## Rozdział 2

W nocy nie mogłem spać, myśli kłębiły się we mnie jak oszalałe. Co przymknąłem oczy, widziałem twarz Julki na zmianę z twarzami narowistych typów z produkcyjnego oraz twarz tego gościa, który rzucił się z mostu.

A w tle niczym muzyka dźwięczał mi głos ojca: „Nie wzywaj taksówki, to mafia”. „Policja to mafia”. „Mafia”.

Jak dobrze, że zaczął się weekend, inaczej nie wiem, jak dotarłbym do pracy – przemęczony, niewyspany, rozdrażniony i... chyba mocno sfrustrowany.

Julka i faceci z działu produkcyjnego podkopali moją pewność siebie, natomiast koleś, który skoczył do Wisły, uświadomił mi, jak przewrotne może być życie. Nie wyglądał na przeciętniaka, tym bardziej nie na menela. Był typem elegancika, w wytwornym garniturku, nieskazitelnie czystych butach. Nie dostrzegłem, ale idę o zakład, że był w krawacie.

Nad ranem przypomniałem sobie o portfelu. Zajrzałem do niego. Były w nim karty kredytowe – złote i platynowe! Kuźwa, że też nie podał mi PIN-u! Była też karta na siłownię, karty lojalnościowe do sklepów, dowód osobisty (nazwisko nic mi nie mówiło), prawo jazdy, a także zgięte na cztery oświadczenie o zgodzie na pobranie organów. To ostatnie trochę mnie zdumiało i zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem tego gdzieś wysłać. Jeśli faceta znaleźli, to może serce lub nerki jeszcze się na coś przydadzą.

Zostawiłem jednak ten temat na później. Zastanowił mnie pendrive wciśnięty między kieszonkami. Włożyłem go do laptopa, ale pliki opisane w niezrozumiały sposób nie chciały się odpalić, wymagały hasła. Opuściłem więc. Dokładnie przejrzałem wszystkie zakamarki, poza zaschniętą łuską karpia nie znalazłem jednak nic wartościowego. Żadnej gotówki, niech to szlag!

Jeszcze raz wziąłem do ręki dowód osobisty. Zastanawiałem się, czy rok urodzenia nie okaże się PIN-em do kart. Potem jednak moje myśli podryfowały w innym kierunku. Dlaczego ten facet, tak niewątpliwie zamożny, niezbyt stary przecież, bo przeliczyłem z dowodu, że miał dopiero czterdzieści dziewięć lat, i całkiem przystojny, co zdążyłem zarejestrować już na moście – rzucił się do Wisły?

Wspominał, że jest zmęczony. Ale czym? Pracą? Życiem?

Może jednym i drugim.

Żeby mieć tyle platynowych kart, trzeba chyba naprawdę mocno zachrzaniać, co przecież odbija się na pewno na życiu i zdrowiu psychicznym.

Zazdrościłem mu tych kart, ale jednocześnie gdybym takowe posiadał, nie chciałbym skończyć jak on.

A może nie mógł ich spłacić?

A może przestały mieć dla niego wartość, bo odkrył, że pragnie czegoś innego?

Ale czego? Miłości?

Od razu przypomniała mi się Julka i aż się wzdrygnąłem.

Gość, który rzucił się z mostu, był przystojny. I w miarę młody. I bogaty. Za takim pewnie kobiety szaleją.

Był zmęczony.

Ja pierdołę. Zmęczony? Nie mogłem sobie z tym poradzić.

Nie wiem, jak wreszcie udało mi się zasnąć. Świtało już.

\*\*\*

Obudziłem się grubo po południu, dochodziła czternasta. Przez ścianę słychać było wiercenie i śmiechy. Jakby ten, który wiercił, powodował wybuchy ekstazy u tych, którzy oglądali te dziury.

Nie wiem, co mogło być w tym śmiesznego, ale zauważyłem, że i mnie poprawił się humor. Ten śmiech zza ściany przywołał wspomnienia beztrudnej młodości. Wtedy śmiałem się jakoś więcej, nawet bez powodu. Może dlatego, że mieszkalem z rodzicami i nie musiałem martwić się o byt.

Zaparzyłem kawę i zaraz ten humor straciłem, bo naszła mnie myśl że, kuźwa, nie tak powinno być. Nie tak, że ledwo po dziesięciu latach, odkąd wszedłem w dorosłość, staję się coraz bardziej zgorzkniały, sfrustrowany i zmęczony.

Zmęczony. Od razu przypomniał mi się facet, który rzucił się do Wisły.

Wolałbym jednak nie skończyć jak on. Ale fakty były takie, że czułem się jak nieudacznik. I nie chodziło o wczorajszy wieczór, choć pewnie on był kroplą, która przelała czarę goryczy. Czułem się jak przegryw, który za – być może – dziesięć lat będzie miał ochotę rzucić się z mostu. Miałem wrażenie, że z niedawnej młodzieńczej pasji, która mnie pchała do przodu, nie zostało już nic. Jakoś tak – zupełnie niepostrzeżenie – wpadłem w trybiki systemu, który dzień w dzień wydusza ze mnie energię i siły, dając w zamian jedynie ochłapy. Karmi mnie iluzją, że jeśli dam z siebie więcej i będę więcej pracował (choć już dziś pracowałem nad siły, biorąc wszelkie możliwe nadgodziny), za jakiś czas będę mógł cieszyć się pieniędzmi, życiem i pozwolić sobie na dłuższy relaks i odpoczynek.

Gówno prawda! Moi rodzice, ciężko pracujący przez całe życie, wciąż nie mieli pieniędzy, by naprawdę odpocząć. Emerytura starczała na podstawowe wydatki i mama czasami, gdy wracała z zakupów, mówiła do ojca: „W sumie dobrze, Włodziu, że ucięło ci tę rękę, może limit nieszczęść zdrowotnych mamy już wyczerpany i nie trafi się nic gorszego. Bo jeśli zwykle witaminy kosztują krocie, to co dopiero mówić o poważnych lekach”.

Pracowali ciężko przez całe życie. Matka, wykształcenie wyższe, mnóstwo dodatkowych kursów i szkoleń, nauczycielka. Ojciec stolarz, zresztą bardzo zdolny – być może gdyby nie ten wypadek, rozwinąłby własną działalność. Trudno powiedzieć, bo nie miał nigdy głowy do interesów. Nie każdy przecież musi taką mieć. Co nie znaczy, że lżej pracuje. Nierzadko nawet ciężiej. Ojciec dostosował się do nowych warunków i zaiwaniał w telemarketingu, a potem jeszcze zatrudnił się jako stróż nocny w domu kultury.

I co z tego mieli? Dwupokojowe mieszkanie na starym osiedlu w Radomiu, granatowego fordą kupionego na raty i rower (też kupiony na raty) oraz duży telewizor (raty zero procent) – ich okno na świat, bo przecież odkąd przeszli na emeryturę, a ja się wyprowadziłem, rodzice nigdzie nie wyjeżdżali. Nie stać ich było na wojaże. „Wszystko takie drogie teraz, synku” – utyskiwała mama. I rozumiałem ją, bo przecież sam tego teraz doświadczałem.

Ale ja byłem w jednej trzeciej drogi. Oni po tylu latach pracy powinni już nabrać wiatru w żagle, odkrywać świat, cieszyć się swobodą już bez dziecka i jeszcze bez wnuków.

Po tylu latach pracy!

Dotarło do mnie, że ciężka praca nie jest wcale gwarantem stabilności i bezpieczeństwa. A już na pewno nie jest gwarantem sukcesu.

Uświadomiłem sobie, że za chwilę będę miał trzydziestkę, a że czas biegnie szybko, to za chwilę czterdziestkę, a potem pięćdziesiątkę.

Kurwa.

Pracowałem jak osioł, zarabiając niby niemałe pieniądze w porównaniu z tymi, które proponowano mi w Radomiu, ale koszty utrzymania w Warszawie były o niebo lepsze. Największa część pensji szła mi na wynajem kawalerki oraz na opłaty. Uświadomiłem jednak sobie, że gdybym wziął kredyt na własne mieszkanie, z ratą podobną do tej, którą płaciłem teraz za wynajem (o ile by mi go przyznali), musiałbym go wziąć na trzydzieści lat. Miałbym więc już sześćdziesiąt lat, kiedy mieszkanie stałoby się moje. Ale czy dożyję do sześćdziesiątki?

Kurwa!

Może uda mi się szybko poznać jakąś kobietę, o czym tak marzyła mama, i wtedy wspólnie złożymy się na to mieszkanie. Ale jeśli pojawią się dzieci, dojdzie nam wydatków, bo przecież dzieci same się nie wykarmią, nie ubiorą, nie wyedukują. I tak przez osiemnaście, może nawet dziewiętnaście lub dwadzieścia kolejnych lat.

Ja pierdolę.

A gdzie przyjemności? Gdzie odkrywanie świata, gdzie samorozwój, szukanie siebie, swoich zainteresowań, pasji? Gdzie w tym wszystkim miejsce na radość życia niepodszytą strachem o jutro?

Nie tak powinno być.

\*\*\*

Zaparzyłem drugą kawę. Śmiechy zza ściany ucichły. Teraz słyhać było stłumione rozmowy, wyczułem w nich niezadowolenie. Może dziury nie zostały wywiercone w dobrych miejscach? A tyle mieliście przy tym rehotu – pomyślałem złośliwie. Zaraz jednak zrobiło mi się smutno. Przecież to były

jeszcze większe przegrywy niż ja – za tą ścianą też była kawalerka i gnieździło się w niej aż trzech facetów. Byli w podobnym wieku co ja, ale nie mieliśmy z sobą żadnego kontaktu. Czasem jednak słyszałem ich przez ścianę, wiedziałem więc, że są tancerzami. Pracowali dorywczo w teatrach i czekali na swoją wielką szansę. Dobrze sobie! Wielka szansa. Też jej wypatrywałem. Najpierw była nią przeprowadzka do Warszawy, potem nowa praca. A teraz?

Upiłem łyk kawy i przejechałem językiem po zębach, uświadamiając sobie, że jeszcze ich nie umyłem.

Nie to, żebym był jakoś szczególnie wyczulony, bo zęby miałem zdrowe i białe, ale odkąd się dowiedziałem, że dobre plomby są refundowane tylko od jedynek do trójek, zacząłem bardziej się starać. Mam przecież jeszcze czwórki, piątki, szóstki, siódemki, a nawet ósemki! Lepsza plomba to gruby wydatek. Mniej wydaję na pastę do zębów i nitki. A może nie?

Zastanowiłem się, próbując przeliczyć, ile mnie to rocznie kosztuje. Dobrze, że szczoteczki dostawałem darmowe, od firmy, w ramach premii.

Nie tak powinno być, żeby i o zęby się martwić. A jeśli mi jakiś wypadnie? Albo gdyby mi go wybili? Gdybym na przykład wczoraj wdał się w bójkę z kolesiami z produkcji i straciłbym zęba? Co wtedy?

Zajrzałem do internetu. Okazało się, że musiałbym stracić ich co najmniej pięć w jednym łuku, by ubezpieczenie refundowało protezę. Protezę... Co najmniej pięć, kuźwa. Jeśli jednego, to nie refundują.

Nie tak powinno być. Kto to wymyślał? Cholerna mafia ubezpieczeniowa – przemknęły mi przez myśl słowa ojca.

Na co płacimy podatki i składki? Tyle na to idzie kasy, a jeśli stracę zęba, będę go musiał wstawić sobie sam. Za własne pieniądze. Których notorycznie mi przecież brakuje.

Szczotkowałem zęby z jeszcze większym zapałem, usiłując odsunąć od siebie myśli o napastnikach, którzy rzucają się na mnie, by pozbawić mnie uzębienia.

Szaleństwo.

Zdałem sobie sprawę, że moje myśli dryfują w niebezpiecznym kierunku, kiedy dźwięki, podrażnione zbyt mocnym naciskiem szczoteczki, zaczęły krwawić.

Znowu usłyszałem śmiech zza ściany. Tym razem inny, jakby pocieszający. Może znów chodziło o te dziury? A może któryś z tych gości dowiedział się właśnie, że jakaś szansa przeszła mu koło nosa?

Spojrzałem sobie w oczy w lustrze.

Potrzebuję szansy – pomyślałem.

Zmiana byłaby dla mnie szansą. Zmiana dotychczasowego myślenia, wszystkich tych paradygmatów wpajanych od dzieciństwa. Tych bzdur, że „bez pracy nie ma kołaczy”, że „ucz się, ucz, bo nauka to potęgi klucz”. Tych banialuk, że matura, że studia, że stałe zatrudnienie są gwarancją szczęśliwego życia.

Miałem przecież to wszystko, a wcale nie byłem szczęśliwy.

Zmiana. Szansa. Zmiana.

Ale jak cokolwiek zmienić, jeśli się tkwi w systemie? Nie rzucę przecież wszystkiego i nie wyprowadzę się na Zanzibar czy na inne Seszele, bo tam przecież czeka mnie ta sama droga. Od początku. Nie będę spać przecież na plaży, muszę mieć kąpiel i jedzenie. Więc trzeba się zatrudnić i zaiwaniać jak reszta. Nie o taką zmianę mi chodziło.

Telefon, który zadzwonił w pokoju, wyrwał mnie z zamyślenia. Znowu mamusia. Tym razem zatroskana, że nie oddzwaniałem.

– Bo spałem – rzuciłem wyjaśnienie, zgodne z prawdą zresztą.

– I nie słyszałeś telefonu?

– Myślałem, że to budzik i przycisnąłem poduszkę.

– Tak się martwiłam. Czyli jednak wróciłeś bezpiecznie?

– Wróciłem. A co u was?

– W porządku. Powoli się szykujemy do wyjazdu. Krysia powiedziała, żebyśmy już w tygodniu zjechali. Nudzi jej się. A pewnie też chce, żebym jej trochę pomogła w ogródku.

– Zatankowałem! – krzyknął do mnie w tle tata. – Myślałem, że na zawał zejdziesz. Wiesz, ile benzyna kosztuje?

– Wiem, bo przecież tankuję firmowy. Ale to na fakturę – dodałem. – Więc mnie nie boli.

– Mafia paliwowa – utyskiwał tata. – Niech ich...

– Już, już, Włodziu – wzięła się mama. – Będziemy jechać wolno, ekonomicznie.

Coś jeszcze mówiła, ale nie słyszałem. Poczułem, że ogarnia mnie właśnie totalna jasność spowodowana wspaniałym rozbłyskiem. Dopiero co szukałem szansy, a przecież miałem ją pod nosem. Od tylu lat!

Mafia!

Założę mafię. Spełnię skryte marzenie z dzieciństwa. Bo przecież – dlaczego nie? Mam prawie trzydzieści lat – czas na prawdziwe zmiany! Jak inaczej wyrwę się z systemu, jeśli nie zrobię konkretnego ruchu? Nie mam zamiaru frustrować się i męczyć, by skończyć jak koleś z wczoraj, ten, który dziś wciąż zapewne jeszcze dryfował martwy w zimnej Wiśle.

### Rozdział 3

Znów nie mogłem w nocy zasnąć. Tym razem z podekscytowania. Myśli biegły mi jak oszalałe, przypominałem sobie szczegóły, które już dawno miałem dobrze przemyślane.

Odkąd sięgam pamięcią, zawsze chciałem zostać szefem międzynarodowej mafii. Nie jakiegoś tam gangu osiedlowego czy grupy przestępczej na terenie miasta, ale prawdziwej wielkiej mafii, najlepiej włoskiej. Mafii, z którą każdy się liczy, do której trudno się dostać, a przede wszystkim mafii tak wpływowej, że żadna policja świata nie miałaby odwagi z nią zadzierać. Ja, jako założyciel i najważniejsza osoba, podejmowałbym wszelkie decyzje, byłbym nienaruszalny, a na sam dźwięk mojego imienia wszyscy drżeliby i spuszczałoby głowy. Nikt nie odważyłby się stanąć ze mną oko w oko ani też podważać moich słów. Właściciele kasyn na całym świecie zdawaliby mi raporty i płacili procent od wpływów, a wielkie firmy paliwowe i szefowie giełd pytaliby mnie, jaki ma być kurs ropy danego dnia. Rezydencję miałbym tak okazałą, że każdy arabski szejik ubiegałby się o zaproszenie na przyjęcie, które wydawałaby moja piękna żona.

Na przyjęcia nie żałowałbym pieniędzy, chociaż sam na nich bym nie bywał. Wolę zrobić wokół siebie otoczkę tajemnicy, tak więc dostęp do mnie byłby utrudniony, a wręcz niemożliwy. Natomiast moja żona utrzymywałaby przyjacielskie stosunki z żonami prokuratorów, sędziów, ministrów i rekinów finansjery. Miałaby platynową kartę kredytową z nieograniczonym limitem i wszelki dostęp do największych kreatorów mody, stylistów, fryzjerów i innych specjalistów od damskiej urody. Wszystkie kobiety na całym świecie marzyłyby o przyjaźni z nią, byleby tylko zapewnić swoim mężom spokojne ze mną stosunki. Po cichu zazdrościłyby jej pozycji, urody, pieniędzy, wpływów, a nade wszystko męża, czyli mnie. Każda starałaby się o chwilę spotkania ze mną, mając nadzieję, że oczaruje mnie i zostanie moją kochanką, a nawet żoną. Ja jednak byłbym nieczuły na wszelkie te starania, cały czas podsycając atmosferę niedostępności, co oczywiście wzmogłoby ich zainteresowanie moją osobą. Poza tym uważam, że miłość jest największą wartością i żonę chcę mieć tylko jedną, aż do śmierci, ale oczywiście nikt by o tym nie wiedział, nawet ona, bo wyszedłbym na miękkiego chłoptasia, a tego przecież nie chcę.

Jako mafioso najwięcej czasu spędzałbym na tarasie swojej rezydencji ze szklaneczką whisky w jednej i telefonem w drugiej ręce. Miałbym spokojną, zamyśloną minę, a wokół mnie staliby w ciszy na baczność wysocy ochroniarze ze słuchawkami w uszach i w czarnych okularach. Obok, w ogrodzie z basenem, bawiłyby się moje dzieci.

Miałbym trójkę dzieci. Dwóch chłopców, którzy przejęliby po mnie cały interes, oraz dziewczynkę z zadartym noskiem – wiecznie naburmuszoną córeczkę tatusia. Miałbym również chrześniaka, bo to konieczne, żebym jako mafioso był czymś ojcem chrzestnym.

Ogólnie byłbym bardzo spokojnym i stonowanym człowiekiem, który mało mówi, ale za to dużo może zrobić. Wspomagałbym po cichu organizacje charytatywne, tak dla zaspokojenia sumienia. Jedyne na Kościół bym dawał oficjalnie i dużo, bo takie wpływy również są niezbędne, a poza tym mafia włoska zawsze obnosiła się z wiarą, więc hojna ofiara byłaby tu wskazana.

Musiałbym również znaleźć sobie jakieś oryginalne hobby, konika, który wyróżniałby mnie spośród innych znanych mafiosów, takich jak Vito Corleone czy Tony Soprano. Na razie jeszcze nie wiedziałem, co by to miało być, ale w końcu wszystko przede mną. Zdawałem sobie sprawę, że droga do osiągnięcia celu będzie długa i wyboista, szczególnie że aktualnie pracowałem jako przedstawiciel handlowy, sprzedając szczoteczki do zębów, ale jeśli nie zrobi się pierwszego kroku, nigdy nie nadejdzie drugi.

Najważniejsze to mieć plan, a ja ten plan posiadałem, i to nie byle jaki. Cała ta wizja dała mi energię i powróciły mi siły do życia.

Oczywiście nie zamierzałem na razie nikomu mówić o swoich planach w myśl zasady ograniczonego zaufania, nawet względem rodziny i najbliższych przyjaciół. Wiedziałem jednak, że drzemie we mnie ogromny potencjał do tego, żeby zorganizować mafię samodzielnie. Małymi krokami, spokojnie i bez emocji. Taktycznie i inteligentnie.

Jeden krok za sobą już miałem. Skończyłem przecież studia z zakresu zarządzania, co do czego nie miałem wątpliwości, że się przydadzą – w końcu do kierowania tak poważną i dużą korporacją, jaką jest mafia, trzeba mieć odpowiednią wiedzę. Jako kolejny krok zaplanowałem opanowanie języka włoskiego,

żeby nie było przypału, skoro mafia ma być włoska. A potem trzeba będzie rozejrzeć się za członkami.

Niedzielę spędziłem sam na sam z sobą. Nie miałem ochoty nigdzie wychodzić, szczególnie że plan, który właśnie mi się wyklarował, potrzebował naprawdę wnikliwego przemyślenia. Byłem tak bardzo zmotywowany, że zapomniałem o jedzeniu. Otworzyłem tylko piwo, które skutecznie gasiło pragnienie, lepiej nawet niż woda. Na kartce, wyrwanej z dużego zeszytu formatu A4, który jeszcze niedawno służył mi za coś w rodzaju dziennika, wypisałem punkty, które miały doprowadzić mnie do celu. Czyli do założenia mafii. Włoskiej. A zatem jako pierwszy punkt zanotowałem konieczność zapisania się na kurs nauki języka. Od razu zrobiłem reaserch, żeby dowiedzieć się, ile taki kurs kosztuje. Zakląłem. Wyszło na to, że – żeby opłacić intensywny kurs, będę musiał zrezygnować z posiłków na mieście. To duże wyrzeczenie, bo przecież nie umiałem gotować. Czasem jednak trzeba coś poświęcić w imię wyższego dobra.

Jestem silny – pomyślałem i nawet powiedziałem to głośno, żeby moja podświadomość dobrze to rozumiała. Czuję się silny i gotowy do realizacji wszystkich punktów, a także do wszelkich wyrzeczeń. Koniec z restauracjami i barami. Mogę kupować gotowce w sklepach, przecież pierogi „w plastiku” nie są drogie. Tak samo jak piwo. Czteropak kosztuje tyle co kufel w pubie.

Czuję się nie tylko silny, lecz także podekscytowany. Jakby wszelkie zmartwienia – zarówno te aktualne (choćby porażki, których doświadczyłem w piątek), jak i niepokój dotyczący przyszłości – zniknęły. Cel, który widziałem jasno i wyraźnie, pozwalał mi wreszcie odetchnąć i przestać się martwić o cokolwiek. Znalazłem sposób, by wydostać się z matni. Mało kto byłby w stanie się na to zdecydować. Do tego potrzeba odwagi i determinacji. Ale jeśli mi się uda, będę kimś. Wreszcie będę KIMŚ.

Żeby nie zapomnieć, a przede wszystkim żeby codziennie sobie o tym przypominać, napisałem na lustrze w łazience flamastrem: „Jestem silny, odważny i niezniszczalny”. Wiedziałem, że to będzie pierwsza, a także ostatnia rzecz, na jaką spojrzę każdego dnia. Przy myciu zębów, przy spoglądaniu sobie w oczy.

\*\*\*

Jestem silny, odważny i niezniszczalny – te słowa stały się moim mottem i powtarzałem je sobie kilka razy dziennie. Wyrazy zapisane na lustrze powoli wpisywały się w krajobraz mojego domowego świata i moja świadomość automatycznie je rejestrowała. Każdego ranka budziłem się pozytywnie nastawiony do samego siebie i niestraszne były mi zadania czekające w pracy. Zacząłem chodzić na kurs włoskiego i z zadowoleniem obserwowałem własne postępy. Nauka języka przychodziła mi łatwiej niż innym, być może dlatego, że moja motywacja była silniejsza. Na początku zajęć prowadzący spytał, dlaczego każdy z nas wybrał akurat włoski do nauki. Oczywiście nie przyznałem się, że chcę założyć włoską mafię. Powiedziałem, że mam takie hobby, że lubię włoski, bo jest dźwięczny i przyjemny w słuchaniu. Siedząca obok mnie dziewczyna, Marta, przyznała mi rację, bo zakochała się we Włochu właśnie dlatego, że tak ładnie wypowiadał *amore*.

Oprócz mnie na kursie było jeszcze tylko dwóch facetów, reszta to same baby. Jeden z nich – Fabian – był przyszlorocznym maturzystą i planował zdawać na italianistykę. Drugi natomiast, Adam, facet mniej więcej w moim wieku, pracował jako kelner w prawdziwie włoskiej restauracji, wysłano go na kurs w ramach szkolenia w pracy. Na początku zupełnie nie zwracałem na niego uwagi. Ot, zwykły facet, blondyn w okularach, niewyróżniający się niczym szczególnym. Dopiero po pewnym czasie wyczułem podskórnie jakąś dziwną niechęć do niego. Sam nie wiem dlaczego, ale wytworzyła się między nami silna rywalizacja. W pewnym momencie przeszło mi nawet przez myśl, że może on kłamie z tym kelnerowaniem, a tak naprawdę ma te same plany co ja, dlatego uczy się włoskiego. Być może mafioso mafioso wyczuwa i stąd ta nasza wzajemna niechęć. Sprawdziłem jednak, że on naprawdę pracuje w restauracji. Nasze stosunki z lekcji na lekcję były jednak coraz bardziej chłodne, aż lektor podjął wyzwanie i zaczął nas nawzajem podpuszczać. To jednego, to drugiego pytał ze słówek, a żaden z nas nie chciał być gorszy, dlatego trudno było nas zagiąć. Obydwaj byliśmy ambitni i zdeterminowani, by się nauczyć języka. Ja znałem swój cel. Dziwiło mnie, że on też jest aż tak zaangażowany. Dupek. A jednak rywalizacja sprawiła, że uczyłem się jeszcze pilniej.

W pracy wszyscy wiedzieli, że pobieram lekcje włoskiego. Nie ukrywałem tego, szczególnie że często wykorzystywałem przerwy na ćwiczenia gramatyczne. Wiele razy zdarzyło mi się również zabłysnąć w towarzystwie, wtrącając włoską sentencję w zdanie.

– Zazdroszczę ci tego zaparcia – powiedział któregoś dnia mój najlepszy kumpel z pracy, Darek. Był kierownikiem magazynu, ale spotykaliśmy się codziennie w firmowym barku. – Mnie by się nie chciało



zakuwać. Jeszcze żeby to był angielski, to rozumiem, bo popularny. Albo chiński, to też rozumiem, bo mało kto zna. Ale włoski? Na co ci to?

– Angielski znam dosyć dobrze, przecież wiesz – odpowiedziałem spokojnie. – A włoski... podnieca kobiety... Myślisz, że dlaczego Włosi mają etykietkę najlepszych kochanków? Bo Włoszki tak mówią. A tak mówią, bo Włosi podczas seksu mówią do nich po włosku, i to je podnieca.

– Sprawdziłeś? – dopytywał się Darek z błyszczącymi oczami.

– No... jeszcze nie miałem okazji. Wiesz, że ostatnio u mnie posucha, ale przy najbliższej okazji zdam ci relację.

– Tak długo to nie będę czekać. Sam sprawdzę. Tylko podrzuć mi kilka zdań po włosku.

– Tak to się nie da. Musisz mówić cały czas. I rozumieć to, co mówisz. Kobiety są wyczułone na fałsz, od razu wyczują, że wykułeś się na pamięć i chcesz się popisać. No a słowa włoskie wypowiedziane spontanicznie, w czasie ekstazy, to zupełnie co innego... – tłumaczyłem, stłumiając głos, jakbym wyjawiał mu wielką tajemnicę.

Nie minął tydzień, jak Darek zaczął pobierać prywatne lekcje włoskiego. Dało mi to sporo do myślenia. Bynajmniej nie na temat Darka i jego podejścia do kobiet, ale na temat mojego wpływu na ludzi. Bo skoro potrafiłem w tak szybki sposób przekonać kumpla do nauki, to znaczy, że potrafię dobrać odpowiednie argumenty, by przekonać innych do swoich racji. Może najwyższy czas, by tworzyć zespół i pozyskiwać członków mafii.

To był najtrudniejszy punkt i jeszcze nie bardzo wiedziałem, jak się do tego zabrać. Trudno przecież zwołać kolegów i oświadczyć im, że zakładam mafię. Wyśmialiby mnie albo – co gorsza – poinformowali prezesa o moich planach. Wtedy on – w najlepszym przypadku – by mnie wyśmiał. W najgorszym – zwolnił. Jedna i druga opcja nie wchodziła w grę. Póki nie mam mafijnych dochodów, potrzebuję zwykłej pracy. Żeby mieć pieniądze z mafii, muszę zacząć działać, pozyskać współpracowników. Kółko się zamyka. To jak zakładanie nowej firmy, trzeba zaczynać od podstaw.

Wiedziałem, że najprościej byłoby wtajemniczyć w mój plan Darka. Dobrze go znałem, a przede wszystkim miałem do niego zaufanie. Nieraz krył mnie przed szefem, gdy zaimprezowałem za mocno i nie przyszedłem do pracy, nieraz wspomagał mnie groszem, kiedy po zbyt luksusowych wakacjach nie spinałem budżetu. Był samotny jak ja i naprawdę świetnie się rozumieliśmy. Nie umiałem jednak tak prosto z mostu wypalić, że zakładam mafię. Potrzebowałem pretekstu, by zagaić taką rozmowę.

Pretekst znalazł się po niecałym miesiącu, zbliżały się wakacje i w firmie było trochę spokojniej. Prezes już na początku czerwca wyjechał do Tajlandii, oczywiście z Julką, czuliśmy się więc jak myszy, które harcują, kiedy kota nie ma. Atmosfera w firmie była luźniejsza, spędzaliśmy czas na kawkach i herbatkach, nie przejmując się planem sprzedażowym, który gdzieś tam sobie wisiał, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Poza Karolem, ten chodził cięty jak osa. Był handlowcem, jak reszta, u nas w firmie niewielu było menedżerów. Może jednak Karol chciałby takim zostać. Miałem wrażenie, że spędza w pracy całe dni, może nawet tu śpi. Psuł nam tę luźną atmosferę swoim zrzędzeniem. Mało tego, cały czas wydawało mi się, że to na mnie się uwziął. Codziennie pytał, czy mam jakieś zamówienia od dentystów. Nie miałem. Nie jeździłem po dentystach, bo mi się nie chciało. Ileż można? Aktualnie miałem ważniejsze sprawy na głowie. Ćwiczenie słówek i takie tam.

– Wkurza mnie ten Karol – przyznałem któregoś dnia Darkowi, kiedy wracaliśmy razem z obiadu. – Ciągle się czepia nie wiadomo o co. Niech się zajmie własną sprzedażą, a nie mnie dociska. Nerwowy jakiś.

– Nie ma co się dziwić. – Darek zamyślił się, przygryzając wargi.

– Nie dziwię się, ale męczy mnie już cała ta atmosfera... Gość cały czas chodzi naburmuszony i patrzy na mnie złowrogo.

– To nie o ciebie chodzi...

– A o co? – zdziwiłem się.

– Kobieta go rzuciła.

– To on miał jakąś kobietę?

– Ba, nawet planowali ślub.

– Nie wiedziałem.

– A skąd masz wiedzieć, skoro nie wychodzisz z nami, zaszywasz się na tym swoim kursie włoskiego albo w domu. Mnie wystarczyło kilka lekcji, żeby pokrzyżać po włosku w łóżku, a ty się uczysz i uczysz.

Nic dziwnego, że omijają cię najnowsze wiadomości.

– Ale dlaczego go rzuciła?

– Podobno denerwowało ją, że sama wdrapała się na wysokie stanowisko w dużym koncernie tytoniowym, została szefem marketingu, czy coś w tym rodzaju, a on cały czas z tymi szczoteczkami lata. No i podobno on ma nieskończone studia, uwierzyłbyś? A takiego inteligenta z siebie robi. W każdym razie laska uznała, że on przestał się rozwijać, a jej potrzeba faceta z ikłą. Dodatkowo nie mieli żadnych wspólnych zainteresowań, a według niej to nie wróży dobrze związkowi. No i zerwała zaręczyny.

– Pierścioneek oddała chociaż?

– Skąd mam wiedzieć? Nie pytałem. Zresztą Karol mi to wszystko mówił po kilku głębszych, więc gdyby co, to ty o niczym nie wiesz. Baby są okropne. Żal mi chłopca, w końcu tak się starał i może tego po nim nie widać, bo zgrywa twardziela, ale myślę, że strasznie ją kochał. Nie mów tego nikomu, ale poryczał się przy mnie jak dziecko, kiedy o niej mówił.

– Poryczał się?

– Jak dziecko – podkreślił Darek. – Odgrażał się, że jeszcze jej pokaże. Ha, ha, ha, ciekawe co?!

Zamyśliłem się. Biedny Karol, upokorzony podobnie jak ja przez Julkę. On jeszcze gorzej, bo przecież ślub planował! Musi być naprawdę zły i rozgoryczony. Czy nie takich mi teraz potrzeba?

– Spotkajmy się – zaproponowałem, patrząc na Darka poważnie. – Zagadaj z Karolem, lepiej go znasz. I spotkajmy się, dziś wieczorem.

– Po co?

Zamilkłem. Co miałem mu powiedzieć? Co powiedziałyby Don Corleone? Zapewne nic by nie tłumaczył, tylko wymagał.

– Po prostu przyjdźcie. Tak ma być – odparłem wreszcie.

Darek spojrzał na mnie dziwnie. Potem parsknął śmiechem.

– Dobrze! Dobrze! – krzyknął rozweselony. – Czyli na piwo?

– Dziś o osiemnastej. W restauracji Pod Rybą.

\*\*\*

To właściwie nie była restauracja, ale bar. Nawet nie bar, tylko speluna. Nazwa Pod Rybą była myląca, bo nie pamiętam, żeby kiedykolwiek podawali tu ryby. Były jakieś przekąski, typu chleb ze smalcem albo paluszki serowe. Ale nie było ryb. W każdym razie to właśnie miejsce zdawało mi się idealne na taką rozmowę. Gwarne, bez zadęcia, gdzie każdy zajęty był własnym piwem i własnymi znajomymi.

Przyjechałem wcześniej, żeby zająć odpowiedni stolik, umiejscowiony trochę na uboczu, za przepierzeniem z desek pokrytych sztucznym bluszczem. I oczywiście z dobrym widokiem na wejście, aby mieć oko na wszystko – tak jak robią to mafiosi.

Chłopaki pojawiły się o czasie. Od razu zamówili piwo oraz chipsy – naszą ulubioną przekąskę. Karol wyglądał na spiętego. Darek natomiast uśmiechał się od ucha do ucha i co chwila rzucał jakimiś uwagami dotyczącymi gości.

– Nie ma kobiet – zauważył.

– I dobrze, nie znoszę bab – podjął Karol.

Nie komentowałem. Czekałem, aż się wygadają. Nie brakowało im tematów, nawet nie zapytali, skąd u mnie pomysł na spotkanie. Mówili jak najęci, jeden przez drugiego. Darek chwalił się podbojami łóżkowymi, do których używał włoskiego, Karol narzekał na kobiety. Kiedy wreszcie ucichli, dopiero przy kolejnych kufkach, zagaiłem:

– Kocham koty.

– Zajebicie. I co w związku z tym? – spytał Darek. Karol spoglądał spod oka.

– Chciałbym mieć kota. Ale właściciel mieszkania, które wynajmuję, nie wyraża zgody na zwierzęta.

– Bardzo mi przykro, stary – stwierdził Darek. – Ja akurat nie lubię kotów, ale jeśli ty lubisz i nie możesz mieć, to naprawdę mi przykro.

– Po cholere gadamy o kotach? – wtrącił Karol.

– Bo nie powinno tak być, że chcę mieć kota, a nie mogę go mieć. Nie uważacie?

– Jasne – zgodził się Darek. – Każdy powinien mieć to, co chce. Może weź kredyt i kup własne mieszkanie. Wtedy nikt ci nie będzie mówił, co masz w nim mieć.

– Świetna myśl – przytaknąłem. – W tym jednak szkopuł, że ceny ostatnio poszły mocno w górę i nie stać mnie teraz na kredyt. Który spłacałbym notabene z trzydzieści lat, jeśli nie więcej. Wiecie, jak podrożały kredyty?

– No coś tam wiem... – mruknął Darek.

– A kota chciałbym mieć już.

– Co żeś się tego kota uczeplił? – zdenerwował się Karol. – Umówiliśmy się na piwo, a ty o kotach, ja pierdołę.

– To jest wstęp – wyjaśniłem spokojnie. – Bo chcę mieć kota. Chcę mieć wolność dokonywania wyborów. Chcę mieć to, co chcę, a nie to, na co ktoś mi pozwala. Rozumiecie?

– Ale życie to życie, stary. Nie bajka – zadumał się Darek.

– A ja chcę, żeby moje było bajką. Wasze też może nią być.

– W jakim sensie? – zainteresował się Karol, choć bez entuzjazmu, bardziej z grzeczności.

– W każdym. Wyobraź sobie, że robisz, co chcesz, masz przy tym kupę hajsu. Kobiety ustawiają się w kolejce, każda chce z tobą być. Bo przecież wiadomo, że jeśli masz kasę, to i kobieta się szybko znajdzie.

– Spojrzałem wymownie na Karola.

– To przestarzałe poglądy – parsknął Darek. – Średniowieczne, o ile nie przedpotopowe. Teraz jest, drogi kolego, rów-no-u-praw-nie-nie. Kobieta daje z siebie tyle co mężczyzna.

– One uważają, że dają z siebie więcej – wtrącił Karol.

– Ale mówię o kasie. Baby tak samo pracują i zarabiają. I wcale nie zaglądną ci do kieszeni. Miłość to miłość, zresztą jak jest chemia, to kasa schodzi na dalszy plan. Spójrz na mnie. Bogaczem nie jestem, a na zainteresowanie nie narzekam. Co tydzień inna w łóżku. A teraz, kiedy imponuję im jeszcze włoskim, to nawet dwie tygodniowo – ripostował Darek.

– No i co? Jakaś wytrzymała przy tobie dłużej? – spytałem.

Darek skrzywił się lekko i wziął spory łyk piwa.

– Na razie nie dążę do stabilizacji. Najpierw muszę się ogarnąć życiowo, przecież wiesz, jak jest. Nie założyłem rodziny, mieszkając wciąż ze starymi na pięćdziesięciu metrach kwadratowych.

– To gdzie się spotykasz z tymi laskami, tak z ciekawości? – zainteresował się Karol.

– Różnie. Zazwyczaj ląduję u nich. Albo w jakimś miłym hotelu. Na to zawsze znajdę hajs.

– Czyli chcesz się ogarnąć życiowo, żeby w przyszłości założyć rodzinę, tak? – chwyciłem Darka za słówka.

– Właściwie do czego zmierzasz? – spytał.

– Do tego, że w obecnym systemie, w którym wszyscy tkwimy, nigdy się nie ogarniesz na tyle, żeby móc na luzie zadbać o wszystkie potrzeby, żyć bez stresu i nie martwić się o jutro.

– W jakim systemie?

– No... w tym... – Spojrzałem na niego wymownie. Sądziłem, że zrozumie, o czym mówię. Ale nie rozumiał, a mnie trudno było wyjaśnić.

– No w jakim systemie? – podchwycił Karol.

Westchnąłem.

– Bankowym, urzędowym, podatkowym, no wiecie... – wyjaśniłem oględnie. – Chodzimy do pracy za karę, bo przecież jej nie lubimy. A nie w nagrodę za te wszystkie lata spędzone na nauce... Pracujemy jak woły po to, żeby móc zapewnić sobie choćby własny ką. Ale żeby to zrobić, potrzebujemy kredytu. A potem, gdy raty wzrastają, a do tego dochodzi inflacja, pracujemy dla banków i dla rządu, by płacić te odsetki. Nie dla siebie. Rozumiecie?

– No jest jak jest – przyznał Darek.

– Nie musi tak wcale być. Po to was dzisiaj zaprosiłem. Mam propozycję. Możemy sprawić, że przestaniemy się martwić o jutro.

– Jak? – zainteresowali się obaj. – Zakładasz własną firmę? Potrzebujesz współników?

– Poniekąd. Najpierw jednak musicie mi przysiąc, że to, co tu omówimy, nie wyjdzie poza te cztery ściany.

– Oczywiście – zapewnił Darek. – Znasz mnie nie od dziś, wiesz przecież, że możesz mi zaufać. Ja ręczę za Karola.

– Własna firma brzmi nieźle – zgodził się Karol. – Sam nie dałbym rady, ale skoro potrzebujesz

wspólników... Chcę się rozwijać. Już nawet nie chodzi o Agę. Sam dla siebie chcę robić coś więcej niż tylko zachrzaniać ze szczoteczkami po marketach.

– Nie szukałeś innej pracy? – podchwycił Darek, patrząc na kolegę.

– Szukałem. Ba! Byłem nawet na dwóch rozmowach. Ale Borcuch jednak więcej płaci niż inni. Coś za coś. Jaką chcesz firmę zakładać? – Karol spojrział na mnie.

– Firmę... hmm... – zamyśliłem się. Nie bardzo wiedziałem, jak to powiedzieć, żeby ich nie wystraszyć.

– Nazwałbym to raczej organizacją. Taką organizacją poza systemem. Nie martwilibyśmy się o przepisy, o comiesięczne sprawozdania do urzędów, tym bardziej nie zaprzętalibyśmy sobie głowy podatkami.

– Fundację jakąś? – spytał Darek.

– Związek wyznaniowy? – rzucił Karol.

– Nic z tych rzeczy. Nic, co podlega jakimkolwiek przepisom poza tymi, które sami ustalimy.

– Nie rozumiem. – Darek skrzywił usta. – Istnieje w ogóle coś takiego?

– Mafia – powiedziałem, ścisząc głos.

Zaniemówili i zastygli w bezruchu. Ale się nie roześmieli, czego najbardziej się obawiałem.

– Zakładam mafię – powtórzyłem stanowczo.

– Chcesz być gangsterem? – Darek pierwszy odzyskał głos.

– O nie, nie. Nie gangsterem. Mafiosem, to jednak różnica. Gangster to oprych, bandyta. A mafioso, to... mafioso.

– No tak. Czyli zakładasz mafię.

– Tak. Włoską.

– Jak to włoską? Przecież jesteś Polakiem.

– Co z tego?

– Nie możesz chyba jako Polak założyć mafii włoskiej...

– A kto mi zabroni? Co ty, myślałeś, że jest jakiś urząd, który zajmuje się rejestrowaniem mafii?

Darek uniósł brwi i zmrużył oczy.

– To dlatego uczysz się tak pilnie włoskiego... – powiedział.

– Ty też zacząłeś – zauważyłem.

– Ale dlaczego włoską?

– Jestem tradycjonalistą – wyjaśniłem. – Poza tym włoska mafia to marka sama w sobie. Po co budować coś od początku, lepiej bazować na wypracowanych wzorcach. I w razie gdyby jakaś polska mafia chciała się przyczepić, to błagam – myślisz, że zadrze z Włochami?

– O kurde. – Darek pokręcił głową, ale przyjaźnie, niemal z uznaniem. Wychylił do końca swój kufel.

Karol wciąż milczał, był chyba bardziej sceptyczny.

– Ja w to nie wchodzę – zdecydował nagle i wstał od stolika.

– Spoko. Rozumiem – powiedziałem spokojnie. – Więc wracaj do domu, a ja z Darkiem omówię podział przychodów.

Karol usiadł.

– Posłucham jednak.

– O nie. *Sorry*. Albo jesteś z nami, albo przeciwko nam. W obydwu przypadkach obowiązuje cię *omerta*, czyli zмова milczenia – zaznaczyłem. – Jeśli jednak nie jesteś z nami, to nie możesz uczestniczyć w tej rozmowie.

– Zostaję.

– Okej. Podział pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Czyli pięćdziesiąt procent dla zarządu, pięćdziesiąt dla reszty. Z pięćdziesięciu procent dla zarządu dla mnie będzie trzydzieści, dla was po dziesięć. Zostaniecie moimi prawymi rękami. Kolejne pięćdziesiąt procent dzielimy tak, że dziesięć odkładamy na fundusz łapówkowy, a czterdzieści procent dzielimy między wszystkich członków mafii, w tym także nas. Czy to jasne?

– Nie bardzo – przyznał Karol. – Dlaczego ty masz mieć aż trzydzieści, a my po dziesięć?

– Bo jestem szefem?

– I tak za dużo. Powinno być po równo.

– Poza tym dlaczego ty masz być szefem? – spytał Darek. – Wymyśliłeś to, owszem, ale no... nie wiem, czy się nadajesz na szefa.

– To moja mafia – podkreśliłem.

– Bez nas nic nie zdasz – zauważył Darek. – Nie zaufasz nikomu tak jak nam.

– Sam tej organizacji nie zbudujesz – dodał Karol.

Nie spodziewałem się negocjacji. Właściwie nie wiem, czego się spodziewałem po tej rozmowie. Teraz widziałem jednak, że wcale nie będzie łatwo. Muszę być stanowczy, jestem silny. Nie cieszyłem się jednak aż tak dużym szacunkiem, by kumple łatwo oddali te dodatkowe procenty, musiałem więc reagować na bieżąco.

– Sam nie – przyznałem, patrząc im w oczy. – Ale nie jestem sam. Mam Mentora.

– Kogo? – zainteresowali się. Oczy im zabłyśły ciekawością.

– Nie mogę powiedzieć. Mnie też obowiązuje *omerta*. Ale gdybyście tylko wiedzieli... – Wniosłem oczy ku sufitowi, robiąc przy tym dumną i tajemniczą minę. – Więc chyba nie sądzicie, że ja będę zgarniał całe te trzydzieści procent? Też muszę się podzielić. Dwadzieścia procent idzie dla *capo di tutti capi*. A bez niego jednak nie damy rady.

– Będzie nam dawał zlecenia? – spytał Karol.

– Zlecenia ogarniamy sami. Daje nam *know-how* oraz ochronę.

– O kurde.

– Inaczej mówiąc, na polskim rynku, jako oddział włoskiej mafii, będziemy bezkarni.

– To już coś – przyznał Darek. – Teraz rozumiem, skąd pomysł i twój zapał do nauki języka. Ale jak go w ogóle poznałeś?

– Dawno temu, podczas urlopu we Włoszech. Jak widać, życie pisze różne scenariusze.

Mówiłem to spokojnie, a zarazem stanowczo, licząc, że nie będą dopytywać o szczegóły.

– Kiedy więc wpadłem na pomysł założenia mafii – ciągnąłem – wiedziałem, do kogo się zwrócić o pomoc. Dwadzieścia procent to chyba niewysoka cena za konsultacje i ochronę.

– W porządku – przyznał Karol. – To kiedy zaczynamy?

– Już. Trzeba znaleźć miejsce na spotkania organizacyjne, poszukać ludzi. Czeka nas kupa roboty, zanim zaczniemy zarabiać.

– Miejscówkę ogarnę – powiedział Darek. – Przecież mam klucze do magazynu. Na początek wystarczy. Możemy spotykać się wieczorami, w firmie już wtedy nikogo nie ma.

– No właśnie – podchwycił Karol. – Może rekrutację zaczniemy w ogóle od firmy. Znamy ludzi, mamy do nich zaufanie. Od czegoś trzeba zacząć.

– Tak zróbmy – zgodziłem się. Też w naszej firmie czułem się bezpieczny. – Rozpytujcie, zachowując pełną dyskrecję. Zatrudniamy tylko mężczyzn, to oczywiste. Aha, tylko nie gadajcie przypadkiem z tymi gówniarzami z produkcji.

– No, oni by się przydali – zauważył Karol. – Butni, wrywni. Takich potrzeba do mafii.

– Z nimi nie – zaperzyłem się. – Może kiedyś... Za jakiś czas... Na razie bazujemy na innych. Aha, jako zarząd musimy wymyślić sobie pseudonimy. Nie będziemy się przecież przedstawiać z nazwiska. Do mnie mówcie Don Marco. Od Marka.

– Don Marco? Od razu wiadomo, że to ty – zauważył Karol.

Zamyśliłem się. Moje ego wrywało się, żeby używać skrótu własnego imienia. Ale Karol miał rację. Lepiej przybrać pseudonim, który aż tak nie będzie mnie identyfikował.

– Don Alberto – powiedziałem, przypomniawszy sobie drugie imię.

– Może być. To w takim razie ja będę Don Marco – powiedział Darek.

– To ja Don... Luigi. Może być?

– Niestety nie. „Don” przysługuje tylko szefom, wy możecie mieć tylko same pseudonimy.

– A ten nasz prawdziwy don? Szef wszystkich szefów? Jak się nazywa?

– Nie mogę zdradzić. Po prostu: *capo di tutti capi*.

## Rozdział 4

Na zewnątrz wciąż było jasno, ale większość okien magazynu zasłoniętych było regałami, więc światło słoneczne ledwie przedzierało się do środka. Nie włączaliśmy jednak światła, jarzeniówki były zbyt jasne, a nam zależało na półmroku dodającym tajemniczości.

Rekrutacja miała rozpocząć się o dziewiętnastej. Pośrodku hali ustawiliśmy cztery krzesła, trzy dla nas i jedno dla kandydata. Darek uznał jednak, że takie ustawienie krzesła przypomina mu terapię grupową, na którą uczęszczał dwa lata temu po jakichś wydarzeniach, o których nie chciał mówić. Przytargaliśmy więc dwa stoły, które złączyliśmy z sobą, i za nimi ustawiliśmy trzy krzesła, a jedno krzesło przed nimi.

– Teraz to wygląda jak casting do „Mam talent” – stwierdził Karol.

– Więc co? – zirytowałem się. – Tak źle i tak niedobrze. Za chwilę przyjdą kandydaci.

– Już wolę casting niż terapię – powiedział Darek.

Usiedliśmy więc za stołami. Całe szczęście, że zdążyliśmy się dogadać, bo tuż przed dziewiętnastą rozległo się pukanie do drzwi magazynu. Jako pierwszy przyszedł Piotr Pasternak, księgowy. Wprowadził mnie w osłupienie, bo akurat jego nigdy bym się nie spodziewał. Gość był już grubo po pięćdziesiątce, zmizerniały, w okularkach, nieco przygarbiony. I wiecznie smutny. Zastanawiałem się, który z moich współpracowników go tu zaprosił.

Pasternak skinął głową na przywitanie i wolnym krokiem podszedł do wyznaczonego dla kandydata krzesła.

– Można? – spytał cicho.

Teraz my skinęliśmy głowami. Zachowywaliśmy powagę.

– Powiedz coś o sobie. I dlaczego chcesz dołączyć – zaczął Karol.

– Każda firma potrzebuje księgowego... – powiedział Piotr. Nie patrzył nam w oczy. Zachowywał się jak nieśmiały uczeń. Nie pasował na mafiosa.

– My nie potrzebujemy. Działamy poza systemem – wyjaśniłem. – Nie interesują nas podatki, nie zamierzamy ich płacić.

– Ale interesują was przychody – zauważył księgowy. Teraz spojrzął mi w oczy. – Jestem ekonomistą, w dodatku praktykiem. Umieć doradzić, przeliczyć, a nawet prognozować. Może nie nadają się do strzelanek, przemytu, wymuszania haraczy czy co tam będziecie robić, ale znam się na liczbach. Poza tym zwykle rozliczenia w ramach organizacji też wymagają przejrzystości. Ktoś musi tego pilnować. Tym kimś mogę być ja. Pracuję dla firmy Borcucha szesnaście lat, nie miał do mnie zastrzeżeń. Jestem dobrym księgowym, umiem być kreatywny, otwarty. Mam pięćdziesiąt siedem lat, potrzebuję wyzwania. Chcę należeć do mafii.

– Włoskiej – doprecyzowałem.

– Nie znam języka, ale to nie problem. Matematyka jest językiem globalnym. Dwa plus dwa zawsze równa się cztery. Na całym świecie.

Pokiwaliśmy zgodnie głowami.

– Przyjmujemy cię – oświadczyłem po chwili. – Pamiętaj, że obowiązuje nas *omerta*.

– Oczywiście. – Księgowy skinął głową. Wzruszenie spowodowało, że ścisnęło mu gardło, co było słyszalne, kiedy się z nami żegnał.

Jako kolejny wszedł Wojtek Kiciński, handlowiec rozwijający właśnie naszą markę, to znaczy markę Borcucha, na terenie Czech i Słowacji. Wojtek był zabawnym facetem, chudziutkim, niziutkim, z wiecznie rozbieganym wzrokiem. Niektórzy uważali go za cwaniaka, takie zresztą sprawiał wrażenie. Zawsze miał sporo pomysłów, a kiedy je realizował, nieraz się dziwiliśmy, jak on to robi, bo wszystko mu wychodziło. Zdziwiłem się, że chce wstąpić do mafii. Wojtek jednak – w charakterystyczny dla siebie – bardzo energiczny, niemal teatralny sposób – przywitał się z nami i natychmiast przeszedł do prezentacji swojej osoby. Powiedział wprost, że główną motywacją dla niego jest dodatkowa kasa. Żona była w ciąży, w dodatku miała urodzić bliźniaki, co oznaczało podwojenie wszelkich wydatków, chcieli też zmienić mieszkanie na większe. Obiecał, że dołoży wszelkich starań, by praca na rzecz mafii była rzetelna, błyskawiczna i skuteczna.

Po nim przyszedł Michał Wiech. Ten mnie zupełnie nie zdziwił. Domyśliłem się, że zaprosił go



Karol, bo się kumplowali. Michał był spokojny, wyważony i trochę introwertyczny. Jako handlowiec był jednak niezwykle skuteczny. Potrafił przekonać do naszych szczoteczki naprawdę wielkie ryby, w tym sieci ekskluzywnych hoteli, dzięki którym nasze produkty zaistniały w setkach, jeśli nie tysiącach pięknych hotelowych łazienek. Obiecał, że będzie równie skuteczny w mafii. Przyjeliśmy go bez wahania.

Potem przyszło kolejnych dwóch handlowców, młodszy magazynier, gość prowadzący bufet, a także cieć Jan Kostrzeba, który doglądał wjazdu do budynku manufaktury. Ten ostatni nie bardzo mi pasował, bo był stary i wyglądał na schorowanego. Darek i Karol przekonali mnie jednak, że taki też się przyda. Jako ochroniarz zapewni nam komfort działania na terenie firmy Borcucha, póki nie znajdziemy własnej lokalizacji.

– Poza tym nie ma co wybrzydzać – uznał Darek. – Na tym etapie, kiedy dopiero rozkręcamy organizację, potrzebujemy każdych rąk do pracy.

Zgodziłem się, bo miał rację.

Wyszło więc na to, że przyjęliśmy każdego, kto się zgłosił. W sumie było nas więc już dziewięć osób. Wciąż trochę mało jak na prawdziwie włoską mafię, ale na początek zawsze coś. Uzgodniliśmy, że kolejnej tego typu rekrutacji nie będzie, za dużo nas to czasu kosztuje. Dlatego jeśli znajdziemy następnego kandydata, wystarczy, że otrzyma on poparcie dwóch z nas, by wstąpić do organizacji.

Było już po dwudziestej pierwszej i właśnie wyszedł ostatni, jak nam się zdawało, kandydat, czyli ten ochroniarz. Mieliśmy już się zbierać, zaczęliśmy uprzątać stoły, kiedy znów rozległo się pukanie.

– Jeszcze ktoś? – spytałem.

Chłopaki spojrzeli po sobie. Żaden z nich nie mógł sobie przypomnieć, czy kogoś zapraszali na rozmowę.

– Otwarte! – krzyknąłem.

Niepotrzebnie, bo drzwi i tak zaczynały się już otwierać.

Zastygliśmy w bezruchu, widząc, jak na wózku inwalidzkim wtacza się na halę Jolanta, sekretarka naszego działu.

– Dobry wieczór – powiedziała z szelmowskim uśmiechem.

Spojrzelśmy pytająco jeden na drugiego.

– Sprzątam tu – rzuciłem, starając się przybrać bez troski ton. – Darek, to znaczy kierownik magazynu, poprosił nas o przeniesienie stołów. Więc przenosimy.

– Tak – potwierdzili Darek z Karolem.

– Dobra, dobra. – Jola wyróciła oczami. Zaparkowała wózek tuż przed stołem, który usiłowaliśmy przesunąć. – Wiem, co tu robicie. Prowadzicie rekrutację do mafii.

– Ależ skąd!

– Nie wsypię was – zapewniła Jolanta. – Chcę się zgłosić.

– Ale do jakiej mafii? To pomyłka. – Patrzyłem na nią, udając, że nie rozumiem, o czym mówi.

– Wszystko wiem. W końcu jestem sekretarką. Wiem, co się dzieje w firmie, nie musisz przede mną grać. Chcę się zgłosić. Potrzebuję nowego wózka. Elektrycznego. Mój narzeczony jest nauczycielem, ja też nie zarabiam kokosów. Zbieramy na wesele, na mieszkanie. Na wózek też. Na wszystko nie starczy. Przyjmijcie mnie. Będę was kryć przed Borcuchem. Do mafii też się nadaję, bez dwóch zdań.

Spojrzelśmy z chłopakami po sobie. Wyglądało na to, że Jola naprawdę nie zamierza nas wsypać przed Borcuchem. Nie było sensu kłamać.

– Jak to sobie wyobrażasz? – spytał Darek. – Pojedziemy na akcję, będzie strzelanina, policja, ucieczka. My wszyscy w nogi. A ty? Na wózku?

Jolanta znów wyróciła oczami.

– Nie szukaj problemów. Znajdź lepiej pozytywne strony. Sam zobacz. Jeżdżę na wózku. To mój niewątpliwym atut. Spójrzcie, ile tu metalowych rurek, ile prochów się do nich zmieści. Mogę przemycać, co chcecie. Nie muszę jeździć na akcje, mogę się przydać do szmuglerki. Nadam się – zapewniła jeszcze raz solennie.

– Nie przyjmujemy kobiet – powiedziałem. – Takie mamy zasady.

– A nie mówiłeś przypadkiem, że będziemy działać poza zasadami? Poza systemem? – Darek nieoczekiwanie stanął po stronie Jolanty. – Ona ma rację, nada się. Może przemycać prochy, nikt jej nie sprawdzi, to dla nas idealny pracownik.

– Poza zasadami systemu – wyjaśniłem. – Ale zasady mafii są takie, że nie przyjmujemy kobiet.

– Zróbcie wyjątek – upierała się Jola. – Jestem zdeterminowana, pracowita, solidna, godna zaufania. I twarda psychicznie. Nawet gdyby mnie złapali, powiem, że to nie moje, że ktoś mi podłożył. Nie wsypię was. Nas. Nie wsypię.

– Takich nam trzeba – przyznał Darek.

– Nie przyjmujemy kobiet – powtórzyłem twardo.

– Dobra. Nie to nie. – Jolanta wyraźnie zmieniła ton. – W takim razie będę robiła wam pod górkę. Nie możecie się spotykać na terenie firmy po godzinach pracy. Zaraz zadzwonię po ochronę.

Parsknąłem śmiechem.

– A dzwoń – powiedziałem wesoło. Przecież jedyny ochroniarz z firmy był nasz.

– Po prawdziwą – uściśliła. – Pan Kostrzeba jest tylko cieciem. Zadzwonię po inną ochronę. Potem wykonam kolejne ruchy.

– Zlikwidujemy cię – zapewniłem.

– Ja się nie boję. – Spojrzała na mnie takim wzrokiem, że przeszedł mnie dreszcz.

– Dobra – powiedziałem. – To był test. Sprawdzałem, czy jesteś odporna. Zdałaś egzamin.

– Ulżyło mi – jęknął Karol.

– Pojutrze o dziewiętnastej mamy spotkanie zespołu – poinformował Darek. Jemu też chyba ulżyło. Mnie w sumie też. Nie mam pojęcia, jak mielibyśmy ją zlikwidować.

## Rozdział 5

Przyjemnie było wstać, a po prysznicu spojrzeć w lustro. Nawet nie musiałem czytać wypisanych na nim – i nieco już startych – słów: „Jestem silny, odważny i niezniszczalny”. Teraz naprawdę taki się czułem, taki byłem. Nie potrzebowałem już sobie o tym przypominać.

Świadomość, że oto naprawdę zacząłem realizować szczeniackie marzenie o posiadaniu własnej mafii i że okazało się to tak śmiesznie, wręcz niewiarygodnie łatwe – przynajmniej na etapie pozyskiwania członków – napawała mnie olbrzymią euforią i dumą. Miałem wrażenie, że mój mózg wszedł na inny poziom funkcjonowania, że oto byłem w stanie realizować rzeczy, które komuś z boku wydałyby się nie do zrealizowania lub zbyt abstrakcyjne, by w ogóle o tym pomyślał. A ja nie dość, że pomyślałem, to wcieliłem w czyn!

I zrobiłem ten kolejny krok! Miałem już zespół. Małą mafię!

Zadowolony z siebie, niesiony niczym na skrzydłach, wyszedłem z łazienki. Zazwyczaj szybko szykuję się do pracy, bo nikt nie lubi spóźnień, nawet ja, tym razem jednak się nie spieszyłem. Dotarło do mnie, że małymi kroczkami wydostaję się spod jarzma tych, którzy dotychczas sprawowali nade mną władzę. Teraz sam jestem szefem i mogę robić, co chcę. Nawet przyjechać dwie godziny później. Albo nie przyjeżdżać wcale. Wybrałem pierwszą opcję, bo jednak manufaktura szcoteczek stała się obecnie dla mnie nie pracą, lecz przyjemną przykrywką dla działań. Chciałem tam iść. Ale nie teraz. Najpierw z uśmiechem na ustach, pogwizdując wesoło, zaparzyłem kawę. Potem rozsiadłem się, wciąż będąc w szlafroku, przy kuchennym stole i odpaliłem laptopa. Postanowiłem dać sobie chwilę na przyjemne surfowanie w internecie. Na czytanie wszystkich tych głupot, na które ostatnio, z powodu pracy i kursu, brakowało mi czasu.

Już pierwszy serwis informacyjny, który otworzyłem, uderzał w oczy czerwonym komunikatem PILNE!!!

Dla mnie nic nie było już pilne, kliknąłem więc leniwie, z czystej ciekawości, czymże to pilnym żyje aktualnie świat.

I ukazała się twarz. Wielkie zdjęcie z makabrycznym podpisem: „Topielec z Wisły to Marcel Wiśniewski, prezes największego polskiego banku!”.

*Fuck!* Czyli go wyłowili!

Aż mnie zmroziło, gdy patrzyłem na tę twarz, tak podobną do gościa, którego poznałem na moście, a zarazem tak obcą, bo na zdjęciu wyglądał troszkę inaczej. Ale to był on! Twarz i nazwisko się zgadzało. Podbiegłem do szafki w pokoju, skąd wyjąłem portfel. Drżały mi ręce, sam nie wiem dlaczego. Ale drżały, jakbym dostał febry. Potwierdziłem tożsamość i nagle naszedł mnie smutek. Przypomniałem sobie o tej kartce, którą wcisnął między kieszonkami. Tej, na której podpisał zgodę na pobranie organów. Cholera jasna, teraz już pewnie jest zbyt opuchnięty, woda też zrobiła swoje. Co za marnotrawstwo! Z mojej winy! Przez chwilę żałowałem, że jednak nie powiadomiłem władz, może wyłowiliby go wcześniej.

A może wyłowili go wcześniej? Nie oglądam telewizji, nie śledziłem komunikatów prasowych. Może dopiero dziś udało się go zidentyfikować?

Co za różnica. Z organów nic już nie będzie. Co się stało, to się nie odstanie.

Trzeba się pozbyć portfela. Może też powinienem wrzucić go do Wisły?

Albo nie! To przecież szansa!

Serce zaczęło mi bić jeszcze mocniej, a mózg wszedł na wyższe obroty. Już nie kontemplowałem dnia leniwie. Teraz napływały mi dziesiątki pomysłów, co mogę zrobić z tym portfelem.

Ostatecznie zdecydowałem z jego pomocą uwiarygodnić przed członkami mojej mafii osobę *capo di tutti capi* – czyli mojego Mentora. A zarazem, co oczywiste, swoją.

Nie odwlekałem już wyjścia do biura. Czułem, że to mój dzień. Ten prawdziwy początek. A bazę w postaci wspólników już przecież miałem.

Z głową uniesioną wysoko, z wypiętą piersią, wyszedłem z bloku. Czułem się wyższy niż zwykle. I jeszcze bardziej pewny siebie. Na „dzień dobry” wypowiedziane przez sąsiada skinąłem tylko głową. Był płotką, szkoda było na niego czasu. Czułem się jak szef. Szef. Szef. Szef. Jak wiarygodny, prawdziwy szef prawdziwej mafii, który w kieszeni dzierży dokumenty i pendrive’a należące do jednej z ważniejszych osób w tym kraju. Martwej osoby.

Pierwszy raz jechałem do biura tak podekscytowany. Cieszyłem się, że aż dziewięć osób w nim to moi pracownicy. Byłem szefem. Ależ to pięknie brzmiało!

Żałowałem, że nie ma jeszcze Borcucha, na którego też mógłbym spojrzeć wreszcie z góry. Co z tego, że on nie wie, że jestem szefem. Ważne, że jestem. I moja firma za jakiś czas będzie o wiele większa niż jego marna manufaktura szczoteczek. Moja firma będzie potężniejsza niż jakakolwiek w tym kraju. Kto wie, może i na świecie.

Tak, mój mózg zdecydowanie zrobił woltę. Przestałem martwić się czymkolwiek.

Nie wiedziałem jeszcze, że moi współpracownicy też weszli na inny poziom świadomości.

Kiedy wjeżdżałem na teren manufaktury, wszystko było w jako takim porządku. Nawet lepiej, bo ciec, pan Kostrzeba, który siedział w budce wartowniczej, wstał, wyszedł przed szlaban, ukłonił mi się i – dając słowo – usłyszałem, jak mówi: „Dzień dobry, szefie!”.

Uniosłem dłoń, nie okazałem emocji, choć miałem ochotę szeroko się uśmiechnąć. „Dzień dobry, szefie!” Jak wspaniale to brzmi! „Dzień dobry, szefie!” To było do mnie!

Potem podjechałem z boku, na parking pracowniczy, choć kusiło mnie, nie przeczę, by stanąć na jednym z miejsc kadry menedżerskiej. Jeszcze nie teraz – strofowałem się. Działasz w tajemnicy. Nie zwracaj na siebie uwagi. Opanuj się. Zaparkuj tam, gdzie zwykle.

Zaparkowałem więc służbowym nissanem tam, gdzie zwykle, ale parking nie wyglądał wcale tak jak zwykle. Kilka miejsc dalej, gdzie zazwyczaj stał stary opel – prywatne auto Dariusza (nie był handlowcem, więc nie należał mu się służbowy) – zauważyłem wypasione ferrari. Czerwone. Kurwa! Co jest?

Tuż obok, gdzie powinien stać taki sam nissan jak mój, którym jeździł Karol, dostrzegłem brykę typu jeep. Z tej odległości nie potrafiłem rozpoznać marki, ale wyglądał potężnie. Czarny, olbrzymi. Przypominał czołg.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem. Co oni? Skąd takie auta?!

Potem zauważyłem kolejne, mniej lub bardziej zwracające uwagę, mniej lub bardziej wypasione. Na pewno jednak lepsze niż te, które dotychczas stały na tym parkingu.

Poczułem dziwny niepokój.

Kiedy wszedłem do budynku, była akurat przerwa obiadowa. Natychmiast skierowałem się do barku.

– Cześć, szefie – przywitał mnie szeptem, ale wymownie, facet, który prowadził ten bufet, nie pamiętałem jego imienia. Połechtał jednak przyjemnie moje ego. Pomyślałem, że trzeba mu będzie nadać pseudonim. Franco? Pasowałyby.

Przy stoliku pod oknem kłębił się mały tłum. Byli tam właściwie wszyscy członkowie naszej mafii, poza Jolą. I poza Janem Kostrzebą, bo ten pełnił wartę. Zachwycali się autami, na które patrzyli przez szybę. Ci, którzy nie należeli do mafii, wyrażali zachwyty i dopytywali, skąd takie zmiany, skąd takie piękne samochody. Naprawdę ich to interesowało.

Mnie też.

– Musimy pogadać – szepnąłem do Darka. – Teraz. Zwołaj wszystkich. Do konferencyjnej. Za pięć minut.

Wiedziałem, że sala konferencyjna będzie pusta, bo póki nie było Borcucha, nie było też żadnych ważnych spotkań.

Przyszli w pięć minut, jak im nakazałem. Wyglądali na zdumionych nagłym wezwaniem. Młodszy magazynier, Paweł, wyglądał też na obolałego. Miał wyraźnie podbite oko, a na twarzy maseczkę chirurgiczną.

– A ty co? – spytałem.

– Samochód sobie chciałem wziąć. Ale właściciel mnie przyłapał i... – Niezgrabnie ściągnął maseczkę. Nabrzmiałe, przekrwione usta ledwie się rozchyłały, kiedy prezentował niepełne uzębienie. – Straciłem dwa...

– Ja pierdołę! – syknąłem. – Dlaczego kradłeś auto? Stać cię teraz na implanty?

– No skąd. Nie stać.

– A wiesz, że trzeba będzie usunąć ci kolejne trzy, w jednym łuku, i dopiero wtedy dostaniesz protezę na NFZ? Przecież nie możesz chodzić bez zębów, reprezentujesz poważną organizację! – irytowałem się. Co za głupki!

– Przepraszam. – Paweł wyraził szczerą skruchę.

– A wy? – Spojrzałem na resztę. – Wszystkie te auta kradzione? Co wam odbiło?  
– Moje na kredyt – powiedział Darek. – Przecież za chwilę go spłacę...  
– Moje też – zapewnił Karol.  
– Ja zawiąłem w nocy z parkingu pod Lidlem. Ale stał tak z boczku, poza zasięgiem kamer. Trzeba będzie tylko zmienić blachy... – powiedział Wojtek.  
– Co wam odbiło, do cholery!?! Po co wam te samochody? Nie możemy zwracać na siebie uwagi!  
– To po co jesteśmy w mafii? – Wojtek spojrzał na mnie z wyrzutem. – Nie rozumiem. Przecież istotą mafii jest to, że może robić, co chce. A więc wziąłem sobie auto. Chcemy mieć dobre bryki...  
– Będziemy je mieli, wszystko w swoim czasie – zapewniłem ugodowo w obawie, że zaraz zaczną składać rezygnację. – Ale nie możemy zachowywać się jak dzieci, które dorwały się do zabawek! Nie będziemy kraść aut, bo nam się tak podoba.  
– Słyszałem, że mamy ochronę – powiedział Piotr.  
– Owszem. Ale tylko ochronę przed innymi mafiami, dopóki nie potwierdzimy Mentorowi, że zasługujemy na szerszą. Jeszcze nie chroni nas przed policją. Musimy być ostrożni, nie możemy pozwolić sobie na wpadki.  
– Ale kredyty chyba możemy brać? – upewnił się Karol. – Przecież za chwilę spłynie kasa.  
– Za chwilę. Jeszcze jej nie mamy – podkreśliłem. – Zachowaliście się jak banda oszołomów. Jak psy zerwane ze smyczy, które myślą, że wszystko im wolno. Musimy działać ostrożnie. Na dobre samochody przyjdzie czas. Czego nie rozumiecie?  
– Więc wybijecie mi trzy zęby? – spytał Paweł.  
Miałem ochotę wyjść. Co za tępaki. Kobiety byłyby chyba bardziej ogarnięte.  
– Jola też kupiła auto? – zainteresowałem się.  
– Ona zbiera na wózek – przypomniał Darek. – Już się nie pluskaj o te samochody. Potrzebowaliśmy motywacji. Poza tym to zadziałało też marketingowo, bo zwerbowałem kolejnych członków.  
– Chyba że tak – stwierdziłem ugodowo. – Okej, zamknijmy temat. Po prostu zwróćcie kradzione. Tyle ode mnie. Widzimy się o dziewiętnastej.

Wyszli z konferencyjnej niepocieszeni. Naprawdę zachowywali się jak dzieci.

Trochę mnie to zniesmaczyło. Oczekiwałem, że dorośli mężczyźni, którzy właśnie zostali mafiosami, rozumieją, że nie jest to typowa sytuacja i że należy zachować dużą ostrożność we wszelkich działaniach. Oni jednak wyraźnie myśleli, że opieka rzekomego *capo di tutti capi* pozwala im na bezkarność. Jakby znaleźli się w zupełnie innym świecie. Owszem, sam miałem wrażenie, że się w takim znalazłem, ale nie zapominałem, że inni o tym nie wiedzą. A już szczególnie policja.

Posłuchali mnie jednak. To był dobry sygnał. Znaczyło, że mam szacunek. Może nie ja, lecz ten nade mną, którego imienia im nie zdradziłem, ale posłuch był. Kilka samochodów odjechało z parkingu.

Potem usiadłem przy biurku. Na kartce wypisałem najważniejsze punkty, które miałem do omówienia wieczorem. Pomyślałem, że tak właśnie mógłbym pracować. Planować spotkania i zarządzać kadrą. W dodatku Franco przyniósł mi kawę. Sam z siebie. I nie musiałem za nią płacić.

Niektórzy pracownicy, ci nienależący do mafii, dostrzegali zmiany, jakie tego dnia dokonały się w biurze. Pomijając kwestię samochodów, zauważali też nasze wyniosłe miny i porozumiewawcze uśmiešky. Ktoś nawet odważył się zapytać, co kombinujemy, bo zachowujemy się, jakbyśmy wygrali w totka lub otwierali konkurencję dla Borcucha.

Oczywiście zbyłem te sugestie głośnym śmiechem. Dało mi to jednak do myślenia. Uznałem, że to kolejny punkt, który muszę poruszyć na zebraniu. Nie możemy obnosić się przynależnością do mafii.

\*\*\*

Tym razem ustawiliśmy w magazynie same krzesła, już bez stołów. Żeby nie kojarzyły się Darkowi z terapią, postawiliśmy je jedno przy drugim. Dzięki temu sprawiały wrażenie krzesel dla publiczności. My trzech mieliśmy być mówcami. Oczywiście ja tym głównym. Ekscytowałem się zaplanowanym punktem programu, którym miał być portfel należący do świętej pamięci Wiśniewskiego. Głaskałem kieszeń, w której tkwił, upewniając się, że wciąż tam jest.

Najpierw jednak musiałem omówić kwestie techniczne. I właśnie od nich zacząłem.

– Chyba nie muszę przypominać, że nasza organizacja jest tajna – powiedziałem, kiedy wszyscy usiedli. Rzeczywiście chłopaki zwerbowały kolejnych, bo dziś było nas o dwóch więcej. – Tak tajna, że aż...

– Zawiesiłem na chwilę głos, aby podkreślić powagę sytuacji – tak tajna, powtórzyłem, że aż... niewidoczna.  
– Niewidoczna? Ale my się widzimy... – cicho odezwał się czyjś głos.  
No co za tępak – pomyślałem. Jak on mógł zostać handlowcem? Jolanta, siedząca na wózku z boku, chyba też tak pomyślała, bo nieznacznie pokręciła głową i wywróciła oczami.  
Wyjaśniłem więc tym mniej ogarniętym, że niewidoczna dla innych. Czyli tych pracowników firmy, którzy o nas nie wiedzą, ale są wszędzie, na hali produkcyjnej, w biurach, nawet w palarni, i mogą nas podsłuchiwać.  
– Musimy zastanowić się nad sposobem identyfikacji. Tak, abyśmy mogli się wzajemnie rozpoznawać. Jakies pomysły?  
– Może będziemy do siebie znacząco mrugać? – padła pierwsza propozycja.  
– A co, jeśli jakaś dziewczyna do ciebie zamruga? Powiesz, że ustalone mamy spotkanie mafijne na jutro, kiedy ona tylko chciała cię poderwać? – dobiegł głos z sali. – Odpada.  
– To może jakiś znaczek w klapie garnituru?  
– Znaczek nie, zbyt oczywiste. Poza tym nie wszyscy chodzą w garniturach.  
– To może... – padały kolejne.  
Pozwoliłem, aby różne mniej lub bardziej szalone pomysły się pojawiały.  
Niech myślą, że jest demokracja i mają coś do powiedzenia. A i tak tylko mój głos się tutaj liczy.  
Chyba już czas – pomyślałem, kiedy po piętnastu minutach dyskusja weszła na poziom wzajemnego się przekrzykiwania.  
– Proszę o ciszę – powiedziałem, unosząc dłoń. – Proponuję, abyśmy przyjęli czerń za identyfikację. Czarne koszule, czarne spodnie, czarne buty.  
– Czarny to taki bardziej pogrzebowy, może inny? – ktoś dodał.  
– Tylko czarne! – określiłem, a raczej zawyrokowałem. – Czarny to kolor mafii, żaden inny... czarny. Przecież nie możemy inaczej się ubierać, skoro to właśnie my jesteśmy mafią. Musimy wzbudzać szacunek i respekt, a pomyślcie tylko, kto by nas szanował, gdybyśmy byli ubrani na kolorowo?  
– No tak, rzeczywiście, racja – niemal jednogłośnie odpowiedzieli.  
– Cieszę się, że jesteśmy zgodni, to dobrze o nas świadczy. Buduje naszą spójność! – powiedziałem, zachowując powagę przynależną szefowi.  
Nagle zauważyłem uniesioną rękę, jakby jeden z członków mafii chciał zabrać głos. Ale jakoś nieśmiało, bo unosił tę dłoń, a oczy miał wbite w ziemię. Wyglądał na przygnębionego. Z trudem rozpoznałem w nim Michała Wiecha, tak bardzo był zapadnięty w sobie i smutny.  
– Panie Wiech – rzuciłem w jego stronę. – Chce pan coś powiedzieć? Nie podoba się kolor?  
– Nie, nie... – jęknął, nie podnosząc wzroku. – Ja z czym innym.  
– To za chwilę. Identyfikację mamy załatwioną – powiedziałem, spoglądając na moją kartkę. – Kolejna sprawa. Jak wspomniałem, jesteśmy organizacją supertajną. To oznacza, że nie możemy obnosić się z przynależnością. Czy to jasne? Nie będzie żadnych uśmiezków, porozumiewawczych spojrzeń, przechwalania się pieniędzmi. Nie możemy powodować, żeby inni zwracali na nas uwagę.  
– A strój? Przecież też zwróci uwagę.  
– Ubierasz się, jak chcesz – podkreśliłem. – Akurat masz ochotę na czarno. I ja też. Nikomu nic do tego. Ale jeśli przy okazji uśmiechasz się do mnie porozumiewawczo, a przy tym szpanujesz zegarkiem za dwadzieścia tysięcy, pracując na magazynie, to już coś jest nie tak. Może to wzbudzić niezdrową ciekawość. Nie chcemy wpadki. Jeśli o coś potrzeba zapytać przed spotkaniem, kontaktujcie się ze mną przez maila. Założyłem specjalnego, na zagranicznym serwerze, nie do wyśledzenia. Tu macie adres. – Podałem wydrukowane pośpiesznie na zwykłych kartkach wizytówki, gdzie oczywiście najważniejszym członem adresu był mój pseudonim „Don Alberto”.  
– To po co nam te pieniądze? Skoro nie możemy ich używać? – spytał ktoś siedzący z tyłu.  
– Będziemy z nich korzystać, kiedy znajdziemy sposób, aby je wyprać. To nie temat na dziś.  
– Tak *à propos*. Właśnie... – podjął Karol. – Bo... mnie zależy, żeby spłacić to auto... Mogę je zwrócić, ale... No fajnie by było...  
– On chce zapytać, kiedy wreszcie zaczniemy zarabiać – wtrącił Wojtek.  
– I to jest bardzo dobre pytanie! – Uśmiechnąłem się tajemniczo.  
Uniosłem palec wskazujący, spojrzałem najpierw na moich dwóch kumpli z zarządu, potem



przejechałem wzrokiem po pozostałych. Upajałem się widokiem oczu, które na widok mojej miny rozbłysły światłem podekscytowania. U niemal każdego, poza Michałem, który zaczął mnie już wkurwiać. Wciąż siedział z oczami wbitymi w podłogę i wyrazem twarzy godnym potępieńca oraz uniesioną ręką. Zostawiłem go jednak na później, nie chciałem sobie psuć tej doniosłej wielkiej chwili.

– Marcel Wiśniewski – oświadczyłem donośnie. – Komuś coś mówi to nazwisko?

Spojrzeli po sobie niepewnie.

– Ten prezes? Banku Krajowego? – upewnił się Darek. – Ale on przecież nie żyje, znaleziono go w Wiśle.

– Noooo. – Pokiwałem głową. – Ten sam.

– Zmartwychwstał? – zainteresował się Wojtek, ale pokazałem mu kółko na czole i zamilkł.

– Ktoś go wrzucił do tej Wisły? Pan, szefie? A może przeszkadzał naszemu głównemu szefowi? – zamyślił się ochroniarz Kostrzeba.

– Może tak, może nie. – Uśmiechnąłem się tajemniczo. – Obowiązuje mnie *omerta*, zмова milczenia. Nie zdradzę, co się wydarzyło – oświadczyłem. – Tutaj mam jednak dokumenty tego Wiśniewskiego oraz jego pendrive'a. Nasz Mentor chce sprawdzić, czy damy radę sensownie go wykorzystać, może nawet spieniężyć. Na pedrivie są bardzo wrażliwe i ważne dane.

– Spoko, zaraz go opylę za dobre pieniądze, w sprzedaży jestem dobry – pierwszy odezwał się Karol.

– Dobre pieniądze to ile? – spytałem.

– Taki to można kupić za kilkadziesiąt złotych, a z ciekawymi danymi to i za tysiąka pójdzie...

– Karolku – zwróciłem się do niego w łagodny, ale wyraźnie protekcyjny sposób. – Przecież nie po to gość stracił życie, aby cenne dane, które miał przy sobie, wyceniać na marny tysiąc. Jeśli go nosił ze sobą, a nie zostawiał ani w banku, ani w domu, to na pewno jest wart dużo więcej. Są na nim takie informacje, że... mogą stracić wiele osób z piedestału – zablefowałem.

– Jakie informacje? – Ciekawość kolegów brała górę.

– Takie, o których nie mogę mówić, a nawet pomyśleć. Mentor mi zabronił, inaczej mogę stracić życie, a on ma oczy i uszy wszędzie, nie wiem, jak to robi, ale wie o wszystkim szybciej ode mnie. Nie zaryzykuję, musicie mnie zrozumieć.

– Okej, to ile może być wart?

– Myślę, że przynajmniej sto tysięcy, może nawet więcej – wyszeptalem.

– O kurde – równie cicho powiedział Darek.

Od razu atmosfera stała się tajemnicza, tak jakbyśmy handlowali co najmniej prochami.

– To komu go sprzedamy? Za taką kasę trudno będzie – rzeczowo zapytał Karol.

– Głośniej, panowie! – krzyknęła Jola. – Też chcemy słyszeć!

– Bankowi – powiedziałem z przekonaniem i już o wiele głośniej. – Gość był tam prezesem, to prawie pewne, że jego następca będzie zainteresowany pendrive'em. Musimy tylko przemyśleć, jak go o tym poinformować.

– Maila wyślemy – zaproponował Darek. – Założyłeś już przecież lipną skrzynkę pocztową, na wszelki wypadek wyślemy z internetowej kafejki czy skądś.

– Byłoby najprościej – mruknąłem pod nosem – tylko skąd weźmiemy jego prywatny adres mailowy, bo ten, który jest na stronie internetowej banku, obsługuje sekretariat. Telefon byłby lepszy, ale skądś musielibyśmy go zdobyć, komuś podwędzić, bo z naszych nie możemy. Od razu by nas namierzyli, gdyby prezes powiadomił policję. Ale i tak, podobnie jak z mailem, prywatnego numeru nie zdobędziemy.

Zapadła żenująca cisza, na którą oczywiście czekałem. Wyprężyłem się i głęboko, ale też głośno odetchnąłem, po czym tonem przywódcy oznajmiłem:

– Kurierem, do rąk własnych prześlemy. Napiszemy, że mamy pendrive'a zmarłego prezesa i jako biznesmeni troszczący się o dobre imię banku i jego najważniejszych pracowników proponujemy znaleźne w kwocie... no właśnie w jakiej, aby nie było za mało, ale też nie za dużo. Jeśli zagramy za wysoko, ryzyko porażki też będzie wysokie, a tego nie chcemy.

– Może tę stówkę wydebimy – rozbudził się nagle Karol.

– A jeśli to nie bank będzie chciał zapłacić, tylko prywatnie nowy prezes? – powiedziałem w zamyśleniu. – To raczej takiej kasy nie wyłoży. Ale czterdzieści tysięcy pewnie przełknie bez problemu, tyle ma co miesiąc, jak sądzę.

– Dobra, może być – przytaknęli.

– Okej, zatem wpisujemy... znaleźne dla nas czterdzieści tysięcy, które ma przesłać na numer rachunku... ale jakiego? – dopytywał Darek.

– Założymy na słupa – zaproponował jeden z tych nowych, którzy przyszli. – I napiszemy, że jeśli nie będą zainteresowani naszą propozycją, to pendrive'a wyślemy do prokuratury. Tylko najpierw tego słupa trzeba znaleźć. Aha i jeszcze dołączymy zdjęcie pendrive'a, żeby nie myślał, że to bluff. Na pewno ktoś z zarządu banku go rozpozna. Albo też zdjęcie dokumentów Wiśniewskiego, to ich przekona.

– Świetnie. A zatem ustalone. – Klasnąłem. Z miną sugerującą pochwały przeciągnąłem wzrokiem po zgromadzonych. Znowu moją uwagę przykuł ten nieszczęśliwiec Wiech. Kuźwa, wciąż siedział jak na stracenie. Ręka już mu trochę opadła, chyba ścierpła.

– No co tam, panie Wiech? Coś chciałeś powiedzieć? Zaproponować?

Wiech się wybudził z odrętwienia. Ale nie nabrał energii. Opuścił dłoń, dwa razy sapnął, pociągnął nosem, odchrząknął i wstał. Oczami wciąż błędził po posadzce.

– Bo ja... – zaczął ochryplym głosem. – Ja... Muszę zrezygnować. Nie mogę należeć do mafii.

– A dlaczegóż to? – spytałem, siląc się na miły ton. W środku się jednak zagrzałem, nie miałem jeszcze pomysłu, jak reagować w takiej sytuacji.

– Żona... Żona mi nie pozwala... – wyjaśnił słabym, prawie drżącym głosem Wiech.

Wszyscy umilkli. Wpatrywali się to w Wiecha, to we mnie, wyczekując mojej reakcji.

Ja pierdołę, żona mu nie pozwala...

Przełknąłem ślinę. Pierwsza zdrada. A to ja jestem szefem i muszę się zmierzyć z sytuacją.

– Żona... – powtórzyłem wolno. – A żona skąd wie? Zapomniałeś już, co znaczy *omerta*?

Patrzyłem mu prosto w oczy, choć on na mnie nie patrzył. Miałem zdecydowany ton, wiedziałem, że tego oczekują ode mnie zebrani.

– Nie zapomniałem, ale... – podjął tłumaczenie. – Jesteśmy jednością. Nie mamy z żoną przed sobą tajemnic. Ona nikomu nic nie powie – zapewnił i wtedy pierwszy raz spojrział na mnie.

– Hmm... Rozumiem... – Pokiwałem dobrotliwie głową. – Cóż. Twój wybór. Możesz wyjść.

– A jakie będą konsekwencje? – zainteresował się Wojtek.

Uśmiechnąłem się tajemniczo.

– Za złamanie *omerty*? Cóż... Dowiedcie się w swoim czasie. To już sprawa dla szefostwa, zostawcie to mnie, nie będziemy teraz psuć miłego nastroju – odpowiedziałem spokojnie. – Pan, panie Wiech, może już wyjść, dobranoc.

– Ale... bo... żona... – podjął znowu Wiech. – Ona chce zapłaty.

– Niby za co? – spytałem.

Myślałem, że wybuchnę. Czułem, jak szczęki mi się zaciskają, nie chciałem jednak pokazywać po sobie zdenerwowania. Zacisnąłem dłoń na portfelu świętej pamięci Wiśniewskiego.

– Za milczenie – doprecyzował Wiech.

– Oj. – Przekrzywiłem głowę i spojrzałem na niego, zaciskając usta. – Proszę przekazać żonie, że nie ulegamy szantażom – wyjaśniłem stanowczo. – A jeśli podejmie kroki mogące zaszkodzić naszej organizacji, spotka się z brutalną reakcją, czego jej nie życzę.

Michał pokiwał głową, chyba się nawet uklonił. Nie byłem w stanie tego zarejestrować, bo w głowie mi buzowało. W każdym razie wyszedł. W tym czasie uspokajałem oddech. Inni patrzyli na mnie z uznaniem, wciąż milczeli. Zrobiło się bardzo poważnie, niemal grobowo. Pomyślałem, że w sumie dobrze, że jeszcze nie mamy na sobie tych czarnych ubrań, bo wtedy już w ogóle byłoby przygębająco.

– Na dziś to chyba wszystko – oznajmiłem, przerywając ciszę. – Kolejne spotkanie ustalimy mailowo. Załóżcie sobie trefne adresy i podeślijcie na ten mój, żebyśmy mieli stały kontakt.

Kiedy wyszli i zostaliśmy już tylko we trzech, Darek spytał:

– To co zrobisz z tą żoną?

Kuźwa. Co za pytanie! Nie wiedziałem jeszcze, co z nią zrobię. Napatoczyła się, gnida, nie wiadomo skąd. Nie rozważałem wcześniej takich sytuacji.

– Dopiero się wdrażam – przyznałem. – Przekażę tę sprawę Mentorowi, niech on się tym zajmie, nawet nie będę dopytywał, co i jak, i kiedy...

– Masz rację. Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć – przyznał Karol.

## Rozdział 6

Późnym wieczorem, delektując się piwem pszenicznym, odpaliłem laptopa. Tym razem jednak nie po to, aby przeglądać internet, ale już z obowiązku. Jako szef musiałem przejrzeć mafijną skrzynkę pocztową i zapoznać się z pytaniami, do których zadawania zobowiązałem moich członków, aby nie tracić niepotrzebnie czasu na naszych spotkaniach. Okazało się, że jest już całkiem sporo wiadomości. Wszystkie puste. Bez pytań. Poprzesyła mi po prostu swoje nowe adresy. Każdy rozpoczynał się od pseudonimu. Angelo, Marco, Luigi, Roberto. Wśród nich zauważyłem wiadomość z adresu „Donna Maria”.

Kuźwa, znowu jakiś tępak – przebiegło mi przez myśl. Przecież jako mężczyzna powinien się podpisać „Mario”, poza tym nie powinien używać określenia „don”. Ale kiedy spojrzałem na temat wiadomości, zdziwiłem się jeszcze bardziej.

*Buongiorno, tesoro* – co błyskawicznie przetłumaczyłem na „Dzień dobry, kochanie”.

Kliknąłem, skonfundowany tytułem.

Treść była już po polsku, co oznaczało, że mój rozmówca nie włada włoskim w stopniu pozwalającym napisać list.

Drogi Don Alberto!

Piszę, bo zaimponowałeś mi swoją wielką wizją i determinacją w realizacji celu, jakim jest stworzenie mafii. Nie będę owijać w bawełnę. Podnieca mnie to i pragnę zostać Twoją kobietą. Odkryłam, że mamy wiele wspólnych cech. Odwaga, stanowczość, zaangażowanie. Jestem dla Ciebie idealną partnerką. Nawet nie wiesz, jak bardzo marzyłam o kimś takim jak Ty. Przypadek sprawił, że się odnaleźliśmy w tym szalonym świecie. Chyba nie pozwolisz, by przeznaczenie przeszło Ci koło nosa?

Twoja

Donna Maria

Zdębiałem. Czytałem te słowa kilkakrotnie.

Żart? A może podpucha? Może policja w ten sposób próbuje zastawić na mnie pułapkę? Nieeee, za wcześnie przecież. Jeszcze nie mają powodów do tego, żeby mnie szukać... Poza tym dopiero co założyłem maila. Czyżby pod pseudonimem „Donna Maria” kryła się Jolanta?

Ale ona ma narzeczonego, wyglądała na zakochaną. Poza tym wspominała, że maila nie założy, właśnie z powodu faceta, który był bardzo zazdrosny. Używali jednego laptopa, bała się, że mógłby ją nakryć. Z drugiej strony... cholera ich wie, co te baby mają w głowach.

Tak czy owak, na pewno to jakaś podpucha. Odpisałem więc:

To pomyłka. Nie zakładam żadnej mafii.

Musiała siedzieć pod mailem, bo odpowiedź przyszła niemal natychmiast.

Bez żartów, kochany. Mafia już istnieje, przecież wiem. Rozumiem ostrożność, dlatego założyłam nam konta na szyfrowanym komunikatorze. Tam swobodnie porozmawiamy. Podaję Ci login. Czekam.

Pod spodem wpisany był adres komunikatora, a także login „Don Alberto” i odpowiednie hasło.

Kurde. Nie wiedziałem, co robić. Czuję pewien rodzaj podekscytowania, byłem też ciekaw, kim jest owa „Donna Maria”, zarazem jednak nie chciałem wyjść na frajera, który naiwnie i łatwowiernie podąża za anonimem.

A jednak ciekawość zwyciężyła.

Uruchomiłem komunikator, wpisałem login i hasło. Ukazało się typowe dla internetowych czatów okienko. Na zielono błyskał użytkownik „Donna Maria” – musiała mnie już wcześniej dołączyć.

Jesteś – napisała. Ledwie przeczytałem, gdy wiadomość zniknęła.

Jolka? – Nie wytrzymałem, musiałem o to zapytać.

Nie Jolka. Z tej strony Magda Wiech – padła odpowiedź.

Wiech? Żona Michała? A to dopiero twarda sztuka! – przeszło mi przez myśl. Kontaktuje się ze mną, by uniknąć kary za złamanie *omerty*. Chce mnie uwieść, cwaniara. Tak łatwo nie dam się podejść.

Podobało mi się jednak, że Wiechowcie podjęli się próby negocjacji. To świadczyło o respekcie dla mnie. Bali się. Może nawet to nie ona, lecz Michał pisze do mnie, udając swoją małżonkę.

Ciekawy mail – odpisałem. – Ale nie jestem zainteresowany.

Nie ufasz mi. Spodziewałam się tego. Udowodnię, że jestem warta. Ciebie i zaufania.

Jak? – to akurat napisałem spontanicznie. Nie zamierzałem wchodzić w dyskusję, ale byłem ciekaw.

Zniknę. Pokażemy mojemu mężowi – temu mięczakowi, który nie potrafił zawalczyć o kasę, oraz twoim kolegom, że z mafią nie ma żartów. Że Don Alberto potrafi skutecznie likwidować ludzi. Po prostu zniknę. Z dnia na dzień.

Czytałem jej znikające wpisy z coraz większą ciekawością. Jednocześnie wciąż z tyłu głowy miałem myśl, że to podpucha. Że może to nie ona, lecz Michał ze mną koresponduje. Albo oboje.

Nie zastanawiając się długo, właściwie wcale się nie zastanawiając, wcisnąłem ikonkę kamerki. Usłyszałem sygnał połączenia. Jeden, drugi... Obraz pojawił się, zanim rozbrzmiał trzeci sygnał. Więc szybko.

– Dlaczego łączysz się przez kamerkę? Nie uprzedzałeś. – usłyszałem damski głos. Ale obraz nie pokazywał twarzy. Kamera skierowana była na dekolt jasnoniebieskiej bluzki.

– Sprawdzam cię. Pokaż twarz.

– O to nie możesz prosić. Nieumalowana jestem. Nie spodziewałam się połączenia.

– Gdzie Michał?

– Śpi.

– Akurat.

– Poczekaj.

Magda wstała i kamera zaczęła się przesuwać po wnętrzu. Był to pokój z aneksem kuchennym, pełnił zapewne rolę salonu. Skromnie urządzony, niezbyt ciekawy. W oczy rzuciły mi się zasłony o krzykliwym wzorze. Kamera przeniosła się do niezbyt dobrze oświetlonego przedpokoju, a potem do drzwi sypialni. Zobaczyłem damską dłoń z pomalowanymi paznokciami, która pchnęła drzwi. Potem telefon z kamerą wsunął się do pokoju. Nie było nic widać, ponieważ światło było zgaszone. Słyszałem jednak delikatne pochrapywanie. Magda chyba się domyśliła, co chciałbym teraz powiedzieć, bo zbliżyła się do łóżka i włączyła lampkę nocną. Wtedy zobaczyłem twarz śpiącego Michała. Przebudził się na chwilę, oślepiony światłem.

– Śpij, śpij – powiedział kobiecy głos. – Tylko książki szukam, już wychodzę.

Wyłączyła lampkę i wyszła.

– Zadowolony? – spytała, gdy ponownie znalazła się w salonie.

– Może tak, może nie – odparłem zdawkowo, wciąż nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. – Zapewne postanowiłaś ugadać się ze mną, żeby uniknąć kary dla Michała za złamanie *omerty*. Rozczaruję cię. To nie ja ustanawiam kary. Robi to ten, który jest nade mną. *Capo di tutti capi*.

Po drugiej stronie usłyszałem coś w rodzaju parsknięcia. Nie roześmiała się w głos, ale tak jakby parsknęła nosem.

– Przecież oboje wiemy, że ten cały *capo di tutti capi* wcale nie istnieje – powiedziała.

Zdębiałem.

– Ja to wiem. Ale skąd ty? – rzuciłem bezmyślnie. Natychmiast pożałowałem głupoty.

– No właśnie... – Tym razem Magda roześmiała się w głos. – To był blef, bo przeczuwałam, że nikogo takiego nie ma. Kobieca intuicja – zdradziła. – Teraz możemy porozmawiać? Mam kilka pomysłów. Napaliłam się.

– Ale na co? – spytałem. Szczerze mówiąc, trochę mnie wystraszyła.

– Na mafię. Chcę być kobietą mafii. Twoją kobietą. Wiem, że dopiero startujesz, przecież jestem na bieżąco. Ale kręci mnie to. Potrzebuję wyzwania, adrenaliny. Mój mąż jest zbyt spokojny, by przeżyć z nim życie na takim poziomie emocji, których oczekuję. Chcę być żoną szefa mafii. Twoją. Dogadajmy się. Oboje jesteśmy zdeterminowani, mamy określoną wizję życia i cele. Nie znajdziesz nikogo lepszego niż ja. Sam pomyśl, musiałbyś trzymać w tajemnicy przed potencjalną narzeczoną, kim jesteś. To męczące. Potem okazałoby się, że ona jednak tego nie akceptuje. Dramat. A ze mną? Od początku sprawa jest jasna. Potrzebujesz żony. Może jeszcze nie teraz, ale za jakiś czas żona będzie niezbędna w stworzeniu prawdziwej rodziny.

Pokiwałem głową. Miała rację. Żona była jednym z punktów mojego planu. Rzeczywiście trudno byłoby mi znaleźć kobietę, która tak bez wahania zaakceptowałaby moją profesję.

– Ale nawet nie wiem, jak wyglądasz – zauważyłem.

– To nieważne. Mój wygląd zależy od ciebie.

– Jak to?

– Od tego, ile na mnie przeznaczysz. Kosmetyczka, chirurg plastyczny, ortodonta – to wszystko kosztuje. Do tego odpowiednio drogie ubrania, buty, torebki, perfumy. Ach, no i fryzjer. Lubisz długie włosy? Musiałabym przedłużyć. Chyba że wolisz krótkie. Będę wyglądać tak, jak sobie wymarzysz, stanę się twoim ideałem. Stanę się ideałem dla każdego, by inni mogli ci zazdrościć. Będę cię przecież reprezentować jako żona. Będę robiła przyjęcia, rauty, spotkania...

Mówiła coraz więcej, rozwijając swoją wizję, i przyznając, że zacząłem to wszystko sobie wyobrażać. Podobało mi się, że jest tak otwarta i gotowa na zmiany. Przekonała mnie, że może wyglądać dokładnie tak, jak tylko sobie wymarzę. Ależ bym wtedy utarł nosa Julce! Nawet przestało mi przeszkadzać, że wpatruję się w jej niebieską bluzkę i nie widzę twarzy. Zadawała mnóstwo pytań, jakiej wielkości lubię biusty, czy ma być blondynką, czy brunetką. Czy podoba mi się Angelina Jolie, czy raczej Nicole Kidman.

– Niestety nie urosnę – zaznaczyła uczciwie. – Mam metr sześćdziesiąt, pewnie wolałbyś wyższą. Ale piętnastocentymetrowe szpilki załatwią sprawę – obiecała.

Piętnastocentymetrowe szpilki. Aż zrobiło mi się gorąco. Miałem nadzieję, że nigdy nie skończy tej rozmowy. Była już pierwsza w nocy, ale zupełnie odechciało mi się spać. Odpowiadałem na te wszystkie pytania z zaangażowaniem, wyobrażając sobie kolejne elementy wyglądu mojej przyszłej żony. Jaki ma mieć nos, jakie brwi, usta, kości policzkowe. To wszystko pochłonęło mnie tak mocno, że przykro mi się zrobiło, kiedy znów zadała pytanie:

– Więc ile możesz na mnie przeznaczyć?

– Ale że z góry czy miesięcznie? Bo na razie... – Umilkłem, smutny z powodu odsuwania się w czasie wszystkich tych operacji i korekt, o których mówiła.

– Wiem, wiem. Na razie jeszcze nie zarabiacie. Jestem cierpliwa. Chcę tylko deklaracji, że wchodzisz w ten układ i na jakie kwoty mogę liczyć, gdy pieniądze wreszcie się pojawią.

– Na każde... kwoty... – przyznałem. Bo całkiem byłem już miękki. Poza tym dawno temu obiecałem sobie, że nie będę oszczędzał na żonie.

– Każde. To mi wystarczy – oświadczyła. – A właśnie. Wiem, że potrzebujecie słupa. Chyba mam takiego. Moja babcia przebywa w domu opieki. Jej oczywiście nie będę angażować, ale dobrze znam jej współlokatorkę, panią Wiesię. Cierpi na demencję. Kiedyś dała mi swój portfel, w którym na karteczce zapisany był dostęp do konta, była tam też karta do bankomatu. Chciała, żebym kupiła sobie prezent. To było z pół roku temu, przed Bożym Narodzeniem. Demencja od tego czasu postąpiła. Pani Wiesia zapomniała, że dała mi to wszystko. Co jakiś czas robię więc sobie prezenty, używając jej karty. Opłata za dom starców jest w zleceniach stałych, więc dom opieki dostaje kasę na czas. Reszta, czyli te wszystkie czternaste emerytury i jakieś inne profity, dały całkiem niezłą sumkę, już trochę szcuplejszą dzięki moim zakupom. Myślę jednak, że możemy podawać to konto, szybko będę z niego wypłacała gotówkę. Jeśli policja namierzy, to niech pytają staruszkę. – Roześmiała się.

Ja też się roześmiałem. Wyobraziłem sobie funkcjonariuszy, którzy próbują wydobyć ze starszej pani informacje dotyczące operacji na jej koncie osobistym.

– Świetnie – uznałem. – Dogadamy się.

– Więc za kilka dni zniknę – przypomniała. – Skorzystam z kasy pani Wiesi, żeby zapłacić za hotel.

– Ale Michał zapewne powiadomi policję.

– Wszystko przemyślałam. Postraszymy go. Będzie mógł mnie wykupić.

Uniosłem brwi. Ta dziewczyna zamierzała obrobić własnego męża! Na co jeszcze ją stać?

– Emocjonalnie to nie jest mój mąż – zaznaczyła, chyba czytając mi w myślach. – Ma trochę oszczędności, to straszna sknera, odkryłam to dopiero po ślubie. Z tobą będzie inaczej.

– Ale kiedy cię wykupi, znów będziesz z nim.

– Wykupi mnie z dobrego serca. Podesłemy mu mój palec.

– Utniemy ci palec?

– Nie mnie! Ogarnij jakiś. To ma być straszak. A potem, kiedy Michał zapłaci, postawimy mu warunek, że ma się ze mną rozwieść. I to będzie ta kara. Bo przecież kara musi być.

Pokiwałem głową, choć ona tego chyba nie widziała. Nieźle to wszystko wymyśliła, cwaniara. Ale wychodziło na to, że rzeczywiście wszystko się spina. Pochwaliłem jej kreatywność. Omówiliśmy szczegóły. Wyglądało to dobrze.

Tylko ten palec. Skąd go wziąć?

\*\*\*

– Dzień dobry, szefie. – Ochroniarz zwyczajowo przywitał się ze mną, gdy wjeżdżałem na parking. Był ubrany na czarno, co jednak nie było niezwykajne, ponieważ jego uniform zawsze był w takim kolorze. Przybrał pseudonim Stefano, co starałem się zapamiętać.

– *Buongiorno*, Stefano – odpowiedziałem i uniosłem dłoni.

Ale szybko opuściłem, bo poczułem się bardziej jak król niż jak mafioso. Chyba że... Pomysły znów zaczęły się rodzić... Chyba że miałbym jakiś sygnet, który wystawiałbym do... całowania?

Nie... To też głupie, nie czułbym się chyba w takim wydaniu swobodnie.

A może bym się czuł?

Zostawiłem tę kwestię na później.

Tego dnia parking wyglądał już zwyczajniej. Zniknęło nawet czerwone ferrari, widocznie Darek nie miał przekonania, że szybko go stać będzie na spłatę.

Ja tymczasem odnosiłem wrażenie, że już za chwilę zaczną służyć konkretne pieniądze. Jeśli uda nam się ten ruch z pendrive'em Wiśniewskiego, przetrzemy pierwsze mafijne szlaki i brama do rajów zostanie otwarta.

Spotkanie zespołu ustawiłem jak zwykle na dziewiętnastą. Wprawdzie tego dnia miałem kurs włoskiego, więc nie planowałem robić zebrania dziś, ale rozmowa z Magdą przyspieszyła moje działania. Mieliliśmy już słupa i konto bankowe, a zatem można było wdrażać plan pod kryptonimem „bank”.

Po drodze do swojego biura zauważałem kątem oka postacie w czarnych spodniach i czarnych koszulach. Nie wpatrywałem się w nie, pamiętając o zasadzie, którą sam narzuciłem, by nie wymieniać znaczących spojrzeń.

– Następny! – usłyszałem zdumiony głos koleżanki, która zajmowała biurko nieopodal mnie. – Wyście się jakoś zmówili? Nie za gorąco w tych czarnych koszulach?

– Ktoś jeszcze? – Udałem zdziwienie. – Zresztą, co mnie obchodzi, jak się inni ubierają. Ja miałem ochotę na czarny.

– Ja też – mruknął Karol, ostentacyjnie wzruszywszy ramionami.

– Ja tak samo – wtrącił Wojtek.

Michał Wiech siedział cicho, wpatrując się w ekran monitora i udając, że ciężko pracuje. Był w dżinsach i jasnym T-shircie. Chyba nie czuł się na tyle pewien, żeby spojrzeć nam w oczy. W ogóle nie unosił wzroku znad laptopa.

Przez moment zastanawiałem się, jak to możliwe, że taki introwertyk jak on zdobył tak energiczną, żywiołową, odważną i przebojową Magdę. Ale szybko przestałem się nad tym głowić. W końcu jakie to miało znaczenie? Być może właśnie z powodu takich par podczas rozwodów pojawia się wątek niezgodności charakterów, różnic nie do pogodzenia.

Ze mną Magda na pewno się nie rozwiedzie, pasujemy do siebie jak dwie części jabłka. Będziemy tworzyć zgraną parę. Najpierw jednak musi rozwieść się z Michałem.

Skąd, u licha, wziąć ten palec?

I wtedy, ledwie o tym pomyślałem, zadzwoniła mamusia. Zazwyczaj, kiedy jestem w biurze, nie odbieram telefonów od mamy. Tym razem odebrałem.

– Zapomniałeś o urodzinach ojca – zaczęła z wyrzutem. – Wczoraj cały dzień czekał na życzenia i cisza.

Ojciec! Olśniło mnie. Przecież ojciec po wypadku zachował tę uciętą dłoń i trzymał ją w szklanym pojemniku, w formalinie. Słój pewnie dalej stoi na półce w salonie, niczym trofeum albo puchar. Matka z początku była wściekła, że ojciec ustawił tę dłoń tak na widoku. On jednak się uparł. Tłumaczył, że to integralna część jego ciała, że czuje z nią fizyczną więź. Dlatego nie potrafił oddać jej w szpitalu. Ba! Nawet się nie przyznał lekarzom, że ją ma. Była na tyle zmasakrowana, że i tak nie zdołaliby jej przyszyć – tłumaczył. Powiedział chirurgowi, że dłoń zaginęła. Że może została zjedzona przez psy, kręcące się obok stolarni. Właściwie nikt nie dochodził, co stało się z tą dłonią. Więc ojciec wsadził ją do słoika. Mama była naprawdę zdruzgotana. Z czasem się jednak do tego przyzwyczaiła. Teraz już nikt nie zwracał uwagi na tę dłoń, nawet ja o niej zapomniałem. A jednak na pewno wciąż tam stoi.



– Przyjadę! – oświadczyłem natychmiast.  
– Kiedy? – Zdziwiła się mama.  
– Nawet dziś! A nie – przypomniałem sobie o wieczornym spotkaniu – dziś nie dam rady. Jutro! Akurat jest weekend, dobrze się składa. Dawno was nie widziałem.  
– Słyszałeś, Włodziu? Stęsknił się. – Mamę ścisnęło w gardle. – Wspaniale, synku, przyjeżdżaj, przygotowuję pyszny obiad.  
– Przywiozę tort – zaproponowałem. – I jakiś dobry trunek dla ojca.  
To drugie mogło okazać się niezbędne, także dla mnie, żeby się znieczulić. Trudno mi było na razie wyobrazić sobie, że ucinam palec z nieruchomości, wyjętej z formaliny dłoni własnego ojca.  
Ale plan Magdy wymagał poświęceń. Z dwojga złego lepiej uciąć palec z obciętej już wcześniej dłoni, niż szukać ochotnika.  
Dam radę – pomyślałem. W końcu jestem silny, odważny i niezniszczalny.

\*\*\*

Na spotkanie mafijne przyszedłem jeszcze bardziej pewny siebie niż zwykle. Miałem wrażenie, że wszystko mi się układa, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Że ledwie o czymś pomyślę, to zaraz zaczyna się realizować, bo nawet jeśli przez chwilę mam problem, to świat szybko przynosi rozwiązania.

Podobało mi się to. Tak samo jak podobało mi się, że wszyscy członkowie, bez wyjątku, zastosowali się do moich poleceń dotyczących stroju. Na zebraniu okazało się, że znów jest nas więcej, ale także ci nowi byli już odpowiednio ubrani. Zapragnąłem jeszcze więcej dowodów lojalności. Mafia się rozrastała, musiałem mieć pewność, że moi żołnierze będą sprawnie wykonywać polecenia. Tym bardziej że zbliżała się właśnie pierwsza akcja, kryptonim „bank”.

– *Buonasera, signori* – zacząłem, ale po ich minach wywnioskowałem, że to niezbyt dobry pomysł. Bali się chyba, że pojedę z włoskim i nic z tego nie zrozumieją. – Och, *scuza*, przepraszam, przyzwyczajenie. Dobry wieczór, panowie. I pani. – Spojrzałem na Jolkę. – Otwieram kolejne spotkanie, mamy do omówienia kilka ważnych spraw. Na początek informuję, że musicie wszyscy odwołać swoje wakacyjne plany. Urlopów w tym roku nie będzie.

– Co??? – po magazynie przeszedł szmer niezadowolenia.

– Ale jak to? Mam już opłacone wczasy w DarłóWKu – powiedział Paweł, poprawiając maseczkę na twarzy, którą wciąż nosił z powodu braku zębów.

– Ja za tydzień miałem lecieć do Hiszpanii z rodziną – wtrącił Piotr. – Przecież nie odwołam, bo stracę.

– Takie są koszty – odparłem spokojnie. – Mafia to nie same korzyści. Na wynagrodzenie trzeba zapracować. A dopiero zaczynamy.

Zerknąłem na Darka i Karola, szukając w nich oparcia. Niestety byli równie zdziwieni i zniesmaczeni jak reszta.

– Dziś odpuście dwa tygodnie urlopu, ale za jakiś czas będziecie mieć dwa miesiące, w najlepszych hotelach – powiedziałem. – Gra chyba jest warta świeczki? Poza tym... To nie prośba, lecz rozkaz. Macie odwołać plany urlopowe, rodziny niech sobie jadą, wy zostajecie.

– A jeśli nie posłuchamy, to co? – spytał Wojtek.

– Oczywiście każdy ma wybór. Ale są też konsekwencje. Możesz jechać na wakacje. Pytanie, czy z nich wrócisz. I w ilu częściach... Mafia to nie zabawa, czy tak trudno to zrozumieć?

– A Wiech? Dostał już karę? Bo jakoś widziałem go dzisiaj całego – zauważył Wojtek.

Uśmiechnąłem się.

– Spokojnie. Wszystko w swoim czasie. Kiedy nadejdzie jego kara, z pewnością się o tym dowiesz.

Szmer niezadowolenia wciąż się unosił. Odczekałem chwilę. Potem poinformowałem, że mamy już słupa i konto, więc możemy działać, co trochę ich udobruchało, bo poczuli zapach zbliżającej się kasy. Dałem im weekend na wykreowanie pomysłów, w jaki sposób przekazać kopertę z naszymi żądaniami do rąk własnych następcy Wiśniewskiego. Poinstruowałem przy tym, pamiętając, że wielu z nich to bezmyślne tłuki, że trzeba najpierw zrobić rozpoznanie dotyczące banku.

– Ale w weekend bank to chyba będzie zamknięty? – zastanawiał się Paweł.

– W sobotę otwarty do czternastej – powiedział Jan, patrząc w smartfona. Zaimponował mi, że nie

narzekał, od razu podjął działanie.

– Świetnie, Stefano – pochwaliłem. – Jako ochroniarz masz przewagę, potrafisz dostrzec detale, zorientować się, gdzie są kamery. Zajmij się tym.

– Tak jest, szefie!

Kiedy wyszli i zostaliśmy tylko we trzech, chłopaki spojrzeli na mnie z wyrzutem.

– Nie mówiłeś, że trzeba będzie odwołać wakacje – mruknął Karol. – Przecież widzieliśmy się dziś, mogłeś uprzedzić, jesteśmy zarządem.

– To dyspozycja wydana na gorąco. Dostałem ją chwilę przed zebraniem od *capo di tutti capi*. Przykro mi.

– Ten gość od nas wymaga, ale sam na razie niewiele daje – zauważył Darek.

– Pendive’a przecież dał – przypomniałem.

– Ale Wiech złamał zasady i dzisiaj przyszedł do pracy jakby nigdy nic. To wpływa na morale. Prościej byłoby zrezygnować z wakacji, gdyby Wiecha nie było. Albo gdyby chociaż przyszedł obity jakiś czy coś.

– Wiech dostanie swoją karę – zapewniłem. – Zajmijmy się naszymi sprawami. Niedługo zacznie się kasa. Trzeba pomyśleć o pralni pieniędzy.

Przytaknęli. Rozstaliśmy się w zgodzie.

## Rozdział 7

W sobotę obudziłem się w wyjątkowo dobrym nastroju. Weekend zapowiadał się znakomicie, w końcu miałem odwiedzić dawno niewidzianych rodziców, a do tego była jeszcze nadzieja, że wrócę z palcem. Do Radomia jest tylko półtorej godziny jazdy samochodem, oczywiście jeśli nie ma korków, ale po drodze chciałem jeszcze wstąpić do cukierni po tort i do marketu po butelkę dobrego alkoholu. Może nawet dwie, niech widzą, że mnie stać.

Ogoliłem się i bardzo dokładnie wyszczotkowałem zęby – zdrowe, białe zęby to podstawa, wizytówka handlowca szczoteczki. Handlowca... Na chwilę się zamyśliłem, patrząc w lustro, w twarz szefa mafii. Przez moment się zastanawiałem, czy jak przystało na mafiosa, ubrać się na czarno, co weszło mi już w krew, czy może jednak bardziej uroczyście w białą koszulę. Ostatecznie wybrałem wersję drugą, bo przecież jadę nie na mafijne spotkanie, ale na urodziny. Spojrzałem na zegarek, było już po dziewiątej, jeszcze tylko cukiernia i market, na dwunastą powinienem dojechać.

Podróż minęła mi jak z bicza strzelił, piękna pogoda, mały ruch na trasie, sprzyjało mi wszystko, żadnych niespodzianek, nawet gumy nie złapałem. Pod dom rodziców podjechałem w samo południe.

– Wszystkiego najlepszego, tato, stu lat zdrowia życzę – radośnie się przywitałem już od progu – przywiozłem tort urodzinowy i oczywiście dobrą wódeczkę, taką, jaką lubisz, białą, nie kolorową, pamiętam, że po kolorowych głowa cię bolała.

– Dziękuję bardzo, nie sądziłem, że o tym pamiętałeś. – Ojciec odwdzieczył się uśmiechem, mocno mnie przytulając.

– Tak dawno cię, synku, nie było, jak wyrosłeś! – Mamusia aż piała z zachwytu.

Znów wyrosłem? Tak jakbym ciągle rósł przez te ostatnie dziesięć lat – ale już nie zwracałem na to uwagi, bo i tak za każdym razem, kiedy się widzieliśmy, powtarzała to samo, ciągle dla niej będę małym synkiem. Pewnie nawet wtedy, gdy dowie się, że jestem najpotężniejszą osobą w kraju.

– Co słyhać, synku? Opowiadaj, tak się cieszę, że widzę cię rozpromienionego, zaraz podam obiad, to sobie z ojcem kielicha wypijecie.

– Obiad chętnie zjem, a i tortem nie pogardzę, ale pić nie będę, bo muszę dzisiaj wracać, dużo spraw mam jeszcze do załatwienia – odpowiedziałem, spoglądając ukradkiem na półkę. Jest...

– Jak to? To nawet za moje zdrowie się ze mną nie napijesz? – z pretensją w głosie odezwał się ojciec. – Daj sobie na wstrzymanie z tymi szczoteczkami chociaż do poniedziałku, robota nie zajac, zwłaszcza taka – dodał kąśliwie.

Już miałem odpowiedzieć, że przykro mi i że naprawdę mam ostatnio dużo pracy, kiedy uświadomiłem sobie, że jak posiedzę z ojcem przy flasce, to będzie to dobra okazja, aby coś wymyślić o palcu, który był mi potrzebny.

– A niech tam, tato, masz rację, robota nie zajac – przyznałem.

– Słuchaj ojca, a dobrze na tym wyjdiesz – powiedział wyraźnie ucieszony. – Młodym się wydaje, że są mądrzy, ale to tylko złudzenie, bo najważniejsza jest mądrość życiowa, którą zdobywa się z wiekiem. Otwarty umysł to jak otwarte okno, przez które niechcący można wypaść. Gdybym był teraz w twoim wieku, inaczej bym pokierował swoim życiem. – Zamyślił się, jakby szukał jakiejś przydatnej ojcowskiej wskazówki, po czym spytał: – I co ty masz z tego handlowania szczoteczkami do zębów? Masz tylko służbowy samochód i telefon...

– ...I laptop – wszedłem w jego słowa.

– No tak, laptop, wielkie mi halo, ale nic swojego, nawet własnego mieszkania. A i wynagrodzenie pewnie tylko takie, żebyś tylko mógł do gara coś włożyć, opłacić nie swoje, tylko wynajęte mieszkanie. I przypadkiem nie wybił się za bardzo finansowo, bo pracodawcom zależy tylko na zyskach z najmniejszej twojej pracy i na tym, abyś jak najdłużej był od nich zależny. Krwiopijcy, mafia wyzyskiwaczy. Nigdy się niczego tak nie dorobisz. Pomyśl o jakiejś zmianie, może własna firma? Jeśli sam nie zadbasz o finansową przyszłość, to twój pracodawca, a już na pewno państwo, tego za ciebie nie zrobi, wręcz przeciwnie – wydoją cię na maksa w imię własnych partykularnych interesów oraz populistycznego działania w istocie tylko dla

pozyskania nad tobą władzy i...

Wywód przerwała mamusia, oznajmiając, że już stawia obiad na stole. Lubiła, gdy wszyscy siadali do stołu razem, delektując się jej potrawami, a panowie wtedy sobie popijali, bo sama już od dawna unikała alkoholu.

– Pycha – powiedziałem ku uciesze mamy.

– Smakuje ci? Ojciec to nawet mnie nie pochwali, gdy coś dobrego ugotuję, tylko ciągle na coś utyskuje, odkąd oboje jesteśmy na emeryturze. W stolarni był kimś, fachowcem, któremu się nawet kłaniano, miał szacunek, a tam, w tym telemarketingu, to zdarzało się, że i jakieś przekleństwa usłyszał pod swoim adresem. Dobrze, że to już za nim, bardzo się denerwował. Ciągle to przeżywa – zdradziła.

Po kilku głębszych wypitych z ojcem podjąłem temat ręki. Zastanawiałem się, jak tego palca zdobyć, poprosić o niego? Może samemu ukraść? – każde rozwiązanie wydawało się zarówno idiotyczne, jak i koszmarnie samo w sobie.

– Ooo... widzę, że ręka ojca dalej na tej półce stoi – rzuciłem niby od niechcenia.

– Oj, stoi, nie mam już słów, może ty go przekonasz, że najwyższy już czas gdzieś ją schować. Kiedy sąsiadka przychodzi, to ten słoik chustą przykrywam – irytowała się mamusia.

– Może do garażu ją dać, niech czuwa – jak ta ręka Boska – nad samochodem – zaproponowałem.

I nagle zrobiło się paskudnie cicho, jakby zbliżał się jakiś kataklizm albo co najmniej sabat czarownic rozprawiających nad przyszłością ręki – aż pożałowałem, że się odezwałem.

– Tato, może jeszcze po kielichu? – desperacko podjąłem próbę naprawienia błędu i rozładowania atmosfery.

– To polej, synu – odezwał się zaskakująco łagodnym, choć trochę jakby nieobecny głosem. – Chyba macie z matką rację.

Nieoczekiwanie rozwiązanie problemu przyszło samo, a raczej alkohol to uczynił. Ojciec, niosąc słoik do garażu, potknął się i go upuścił. A kiedy westchnąłem, wyrażając żal z powodu rozbitego słoika... zaklął bez większego żalu w głosie: „Chuj z nim”.

– Chętnie bym wziął jeden palec, tato.

– A na cholerę ci palec?

– No... żeby ojca palec nade mną czuwał.

– No chyba że tak – odrzekł, patrząc na mnie trochę już mętym wzrokiem, po czym niewiele się zastanawiając, odciął tego najmniejszego, wprawdzie najmniej pokiereszowanego, tyle że bez paznokcia.

Zawinął go w jakąś szmatkę, która leżała na małym stoliku warsztatowym, i wręczył mi zawiniątko, mówiąc:

– Masz i pilnuj go jak oka w głowie. – Resztę ręki położył na półce w garażu.

Kiedy wróciliśmy do domu, w łazience odpaliłem tajny komunikator i wysłałem do Magdy wiadomość:

Możesz znikać.

Piliśmy z ojcem do późnej nocy, ja z euforii, że mam palec i los ustrzegł mnie przed koszmarem jego obcinania, ojciec natomiast pewnie tylko dlatego, że miał się z kim napić i pogadać o ważnych życiowych sprawach.

Kiedy rodzice poszli spać, a ja siedziałem na kanapie (choć czułem się jak na karuzeli, tak mi się w głowie kręciło), odwinąłem szmatkę i obejrzałem palec. Mimo że najmniejszy ze wszystkich, wciąż był gruby. A bez paznokcia wyglądał jak nie palec, ale kawałek dziwnej parówki. Trudno będzie przekonać Wiecha, że to paluszek jego pięknej żony. Uznałem więc, że skoro ręka leży bez opieki, utnę kolejnego – takiego z paznokciem. Paznokcia się pomaluje, będzie wyglądał na damski.

Chwiejąc się, poszedłem do garażu. Nie potrafiłem tam jednak włączyć światła. Oświetliłem więc wnętrze latarką z telefonu, chwyciłem przez szmatkę dłoń ojca i wróciłem do mieszkania.

Alkohol sprawił, że nie odrzuciło mnie, gdy położyłem zdobycz na kuchennym stole. Zastanawiałem się, który palec byłby odpowiedni. Każdy wyglądał grubo, ale przecież mógłby robić za kciuk. Ważne, żeby paznokieć był pomalowany.

Niewiele myśląc, bo przecież znajdowałem się już w takim stanie, że mogłem jedynie wyznaczać sobie kolejne zadania, przeszedłem do łazienki i przetrząsałem szafki. Lakiery do paznokci na szczęście stały na wierzchu. Same czerwone i bordowe, matka innych nie używała. I dobrze, czerwień dla kobiety jest

idealna.

Nigdy nie malowałem paznokci, a teraz, gdy szumiało mi w głowie, zadanie było bardziej utrudnione. Nie wiem, dlaczego nie wpadłem na pomysł, żeby najpierw uciąć palca, a dopiero potem, gdy wytrzeźwieję, go pomalować.

Odkręciłem lakier i wyjąłem wilgotny pędzelek ociekający gęstą czerwoną cieczą. Wpatrywałem się w paznokcie, podejmując arcyważną decyzję: który z nich pomalować? Wybrałem ten kolejny palec po małym, chyba serdeczny. Paznokciec na nim wydawał mi się najdłuższy. Byłem tak skupiony, że nie usłyszałem, jak otwierają się drzwi sypialni rodziców, a potem nie usłyszałem kroków w kierunku łazienki. Nie dostrzegłem, kiedy ojciec, zaciekawiony rozpalonym światłem w kuchni, przystanął w progu i oniemiał. Nie widziałem, jak wpatrywał się we mnie, pochylonego nad jego dłońią i operującego niezręcznie pędzelkiem umaczanym w lakierze do paznokci. Ręka mi drżała, więc malowałem po bokach, potem usiłowałem to zetrzeć, ale się nie udawało.

– Co jest, kurwa? – Usłyszałem głos ojca. Jęczący niemal, płaczliwy. – Co robisz!?

Spojrzałem na niego zdumiony.

– Eeeeeeeee – wymamrotałem. Tylko tyle byłem w stanie z siebie wydusić.

– To moja ręka? – spytał, choć przecież dobrze wiedział.

Nie odpowiedziałem.

– Przecież dałem ci już palca! – krzyknął wzburzony, ale zaraz się opanował, nie chcąc obudzić mamy. – Chcesz całą rękę? A bierz! Bierz!

Dalej milczałem. Kątem oka ze zgrozą obserwowałem, jak lakier na obrzeżach palca wysycha, teraz na pewno go nie usunę – przemknęło mi przez myśl.

– Ale dlaczego... malujesz mi paznokcie? – Do ojca dopiero teraz dotarło, co robię. Był zdruzgotany, jego wzrok wyrażał oszołomienie.

– No... Bo... – Szukałem sensownej odpowiedzi.

Wyzwoliła mnie od niej mamusia. W przedpokoju rozbłysło światło.

– Co się dzieje? Krzyczeliście? Kłócicie się? – Usłyszeliśmy jej zaniepokojony głos. Po szuraniu kapci mogliśmy się zorientować, że nadchodzi. Ojciec doskoczył do mnie, chwytając w biegu ścierkę kuchenną, którą narzucił na leżącą na stole dłoń, usiadł na krześle obok i szepnął:

– Ani słowa matce.

Pokiwałem głową.

– Dyskutujemy o życiu – wyjaśnił mamie lekkim tonem, który musiał go pewnie dużo kosztować. – Ale już kładziemy się spać, prawda, synu?

Znów pokiwałem głową.

– No więc uprzątń tu i do łóżka.

– Oczywiście – zgodziłem się bez wahania.

Patrzyłem za nimi, jak wracają do sypialni. Tacy starzy i pewnie już bardzo zmęczeni. Jeszcze niedawno byli młodzi. Jeszcze niedawno zapewne mieli mnóstwo marzeń, jak ja teraz. Ale oni wtedy poszli ścieżką wytyczoną przez społeczeństwo, przyjęli reguły ustalone przez innych. Nie łamali zasad, płacili podatki, nie kwestionowali, nie podważali. Żyli tak, jak uważali, że żyć się powinno. Jak ich rodziny, znajomi, sąsiedzi. Jak większość na tej planecie. Nie buntowali się, nawet nie ryzykowali, w obawie, że mogliby złamać jakieś społeczne reguły. Albo że straciliby ten skromny dobytek, który już mieli. Czyli dwupokojowe mieszkanko na starym osiedlu w Radomiu. Wprawdzie z piwnicą i garażem. Ale bez balkonu.

Patrzyłem, jak znikają za drzwiami sypialni. Wersalka, która tam stała, pamiętała czasy mojego dzieciństwa. To kiedyś był mój pokój. Niewiele się w nim zmieniło poza tym, że zamiast biurka stanęła druga szafa. W której zresztą były stare ubrania, bo rodzice rzadko kupowali nowe. Rzadko kupowali cokolwiek nowego. Wszystkie pieniądze szły na bieżące potrzeby. Nigdy nie byli za granicą, nie licząc tygodnia spędzonego w Czechach z okazji okrągłej rocznicy ślubu. Rzadko bywali w restauracjach, mama wolała sama gotować, przeliczając koszty potrzebnych produktów. Nie chodzili do kina, do teatru, a jeśli gdzieś wychodzili lub wyjeżdżali, to tylko do znajomych, rodziny lub sąsiadów. Z sąsiadami mieli wspaniałe stosunki, to przynajmniej rekompensowało braki w innych sferach życia.

Potem odsunąłem ścierkę i spojrzałem na dłoń ojca leżącą na stole. Dłoń bez palca i z jednym pomalowanym krzywo paznokciem. Jeszcze nie tak dawno, ledwie dwadzieścia lat temu, gdy byłem mały, ta

właśnie dłoń głaskała mnie po głowie, gdy zasypiałem, ta dłoń poklepywała mnie po plecach w geście pocieszenia, wreszcie ta dłoń wskazała mi kierunek, choć wtedy jeszcze o tym ani ja, ani ojciec nie zdawaliśmy sobie sprawy. Pamiętam jednak, jak wygłaszał swoje mądrości, unosząc palec wskazujący i tłumacząc, że światem rządzi mafia.

Może nie byłem teraz zbyt trzeźwy, ale mój umysł działał w miarę sprawnie. Obiecałem sobie, że dla tej dłoni zrobię wszystko, by jej utrata nie poszła na marne.

Nazajutrz nie poruszaliśmy z ojcem tematów dotyczących minionego wieczora. Mama przejęła ster w rozmowach, wypytując mnie o kwestie towarzyskie. Czy mam jakąś dziewczynę, bo ta ostatnia, Weronika, była taka miła i mama miała nadzieję, że do siebie wrócimy. Nie wspomniałem, że Weronika dawno już jest zamężna, a mama też chyba zapomniała, że spotykałem się z nią sześć lat temu. Nie chciałem jednak pozbawiać jej nadziei na rychły ożenek, dlatego wspomniałem, że mam kogoś na oku. Wymieniłem nawet imię – Magda. Nie zdradzałem jednak szczegółów, tłumacząc, że to dopiero początek znajomości.

Kiedy wróciłem do Warszawy, był już późny wieczór. Czułem się tak zmęczony, jakbym przez kilka dni wędrował po górach. Rozpakowałem słoiki, które dała mi mama, i włożyłem je do lodówki. Dłoń ojca oraz ucięty z niej palec upchnąłem w zamrażarce między pizzą ze sklepu a pierogami. Nie miałem formaliny, w których mógłbym je trzymać – uznałem, że zamrażarka musi na razie wystarczyć. Potem wzięłem prysznic, a następnie sprawdziłem maile. Kostrzeba wysłał raport z rekonesansu w banku, Jola, która w obawie przed narzeczonym założyła sobie tajne konto tylko na chwilę, pytała, czy planuję w sierpniu wysłać ją do Kolumbii po kokainę, bo szykuje jej się ślub koleżanki i musi potwierdzić obecność. Dostałem też maila od Darka w sprawie Gabriela, szefa działu marketingu, który napisał, że ma on poparcie tylko jednego członka mafii, brakuje mu drugiego głosu i co w tej sytuacji, bo bardzo mu zależy i mógłby sporo wnieść do naszej organizacji. Napisał też Karol z pytaniem, czy może wyłudzić haracz od salonu fryzjerskiego, który znajduje się na parterze jego bloku i jego zdaniem sporo zarabiają.

Postanowiłem odpisać na maile rano. Niech uczą się cierpliwości. Poza tym chciało mi się spać. Prowadzenie mafii to cholernie angażujące zajęcie. Oby szybko pojawiła się kasa za tę ciężką pracę.

\*\*\*

– Dzień dobry, szefie. – Kostrzeba, jak zwykle na stanowisku, uklonił się i uniósł szlaban.

– *Buongiorno!* – odrzyknąłem, dając mu do zrozumienia, że ten język jest właściwy na powitanie.

Było już południe, słońce grzało jak diabli. Kłąłem w myślach na durny nakaz ubierania się w czarne koszule.

Kiedy wszedłem do budynku, nadziałem się na Borcucha. Szlag! Zapomniałem, że wrócił z wakacji. Stał opalony – ale wcale niewyglądający jakoś zdrowiej i przy recepcji i tłumaczył coś tej młodej pindzie, której imienia nie pamiętałem i nie chciałem się go uczyć – tej francy, co dzień w dzień zwracała mi uwagę o spóźnienia. Chyba też dopiero co przyjechał, bo w jednym ręku miał neseser wypełniony po brzegi dokumentami, a w drugim trzymał kawę w papierowym kubku.

– Pan Marek! – Ucieszył się na mój widok. Ale szybko mina mu zrzędła. – Wyrazy współczucia.

– Dziękuję – odparłem spontanicznie.

Nie wiem dlaczego, ale założyłem, że wyraża mi współczucie z tego powodu, że właśnie pojawił się w biurze.

Dopiero kiedy w hallu pojawili się Karol i Wojtek wychodzący na fajkę i Borcuch na ich widok znów odruchowo wyraził współczucie, zorientowałem się, że chodzi o nasz ubiór. On w tym czasie też się zorientował, że chyba nie musi nam składać kondolencji.

– Panowie tak na czarno? – spytał. – Latem?

Spojrzelśmy na siebie. Nie mieliśmy przygotowanego wytłumaczenia. Przypomniałem sobie jednak o szefie marketingu, o którym pisał w mailu Darek. Uznałem, że można na niego zwalić, w końcu był prawie już nasz.

– Gabriel Kokot zaproponował takie rozwiązanie – wyjaśniłem, uśmiechając się do Borcucha. – Przy czarnych koszulach zęby wydają się bielsze. Zasada kontrastu.

– Ach. – Prezes spojrzał na mnie zdeorientowany, nie zrozumiał, co mam na myśli. – Wszyscy postanowiliście prezentować uśmiech metodą kontrastu?

– Nie wszyscy. To nieobowiązkowe, więc tylko chętni. Ci, którym zależy – doprecyzowałem. – W

końcu handlujemy szczoteczkami do zębów.

– Świetny pomysł. – Borcuch pokiwał głową z uznaniem. – Rzeczywiście, kto lepiej pokaże właściwości produktu niż pracownik. Brawo. Oby wszyscy u nas zaczęli stosować metodę kontrastu.

– Od kobiet nie wymagamy, wyglądałyby zbyt żalobnie – wtrąciłem. – Tylko Jola chciała na czarno. Jest sekretarką działu handlowego, uznała, że powinna.

– Wspaniale. – Borcuch klasnął. – Podoba mi się to.

– Idziesz zapalić? – zagadnął Karol.

– Nie palę – rzuciłem odruchowo.

– Ale mamy takie beznikotynowe – powiedział, wpatrując się we mnie znacząco. – Musimy omówić plan na ten tydzień, bo dentyści zaczynają wyjeżdżać na urlopy.

– Aj, to nie przeszkadzam panom – szepnął niemal przepraszająco Borcuch. – Palcie, ile potrzebujecie. – Omawiajcie przy tym, co potrzebujecie. Serce rośnie, gdy po powrocie z urlopu widzę takich zaangażowanych pracowników. Może i ja przywdzieję czarną koszulę na znak solidarności.

– Pan nie! – krzyknąłem natychmiast. – Pan jest tu prezesem – wyjaśniłem spokojniej. – Pan musi w białej, błękitnej, jasnej jakiejś. Poza tym u pana, przy tej opaleniźnie, nie potrzeba większego kontrastu.

– No racja – przyznał po chwili. Uśmiechnął się do nas i odszedł.

Wyszliśmy na zewnątrz. Karol od razu zapalił marlboro, Wojtek wyjął podgrzewacz tytoniu. Nie mieli żadnych beznikotynowych wynalazków. Wyglądali na podenerwowanych.

– Ty się lepiej dzisiaj w firmie nie pokazuj – powiedział stanowczo Karol.

– Bo co? Borcuch mnie już przecież widział, nie skomentował spóźnienia.

– Nie o spóźnienie chodzi. Ani nie o Borcucha. Michał szaleje. Wiech. Jego żona zaginęła. Wszedł wczoraj pobiegać, a kiedy wrócił, jej nie było. Drzwi otwarte, to znaczy niezamknięte na klucz. Została torebka, dokumenty, telefon. Wygląda na to, że albo wyszła bez niczego, albo została... porwana.

– Hmm – westchnąłem znacząco.

– Wszyscy są podekscytowani – wtrącił Wojtek. – Ale też wystraszeni. To dzieje się naprawdę.

– No, dzieje się – przyznałem.

– Wiech jest w obłądnie. Powiadomił policję. Na razie nic nie zrobili, bo musi minąć jakiś czas, chyba czterdzieści osiem godzin... – powiedział Karol.

– Ale napomknął, że to pewnie nasza sprawka, zemsta za jego odejście i złamanie *omerty* – dodał Wojtek.

– W każdym razie szaleje. Lepiej, żebyś nie wchodził. Nie teraz, kiedy wrócił Borcuch. Głośna awantura mogłaby zwrócić jego uwagę.

– No racja. – Pokiwałem głową. – Dobra, to uciekam. Do zobaczenia o dziewiętnastej.

Podaliśmy im dłoń. Byliśmy poważni i skoncentrowani. Dziś wieczorem czekało nas wiele pracy. Nie dość, że trzeba było omówić plan dostarczenia pendive'a, to jeszcze Wiech. A niech mnie. Naprawdę sporo się działo.

Dlatego postanowiłem się zrelaksować na mieście. Sauna, masaż, dobra kawa. Potrzebowałem tego, by nabrać sił przed zebraniem. Potem napisałem do Magdy na tajnym komunikatorze. Nie liczyłem, że odpowie, przecież nie wzięła telefonu. Nie mogłem się jednak powstrzymać, ciekaw byłem, co u niej. Ale odpisała! Okazało się, że kupiła nowy aparat.

Widzisz, ja też inwestuję w nasz projekt – oświadczyła, po czym słowa zniknęły.

Jak wynajęłaś pokój w hotelu, skoro nie masz przy sobie dokumentów? – zagadnąłem. Intrygowało mnie to.

Bo nie w hotelu. Wynajęłam apartament przez internet, podałam dane pani Wiesi, zapłaciłam jej kartą. Mailem dostałam kod do otwarcia drzwi – wyjaśniła.

Jakie to proste – pomyślałem. Ale byłem z niej dumny, że tak wszystko pięknie ogarnęła. Potem omówiliśmy sprawy dotyczące jej męża. Powiedziała, że Michał ma czterdzieści pięć tysięcy oszczędności. Poinstruowała mnie, jak mam poprowadzić tę sprawę, żebyśmy zgarnęli całość.

Pomyślała o wszystkim. Mnie zostało już tylko pojechać do domu po palec. Miałem nadzieję, że zdąży się do wieczora rozmrozić.

Kiedy pojawiłem się w magazynie, grubo przed dziewiętnastą, wszyscy już byli. Wyczekiwali mnie. Oczy im błyszczały, ale widoczny był też strach, o którym wspominał Wojtek.



– Czy ona żyje? – spytał Darek.  
– Jeszcze tak. – Pokiwałem głową z powagą. Zaakcentowałem słowo „Jeszcze”.  
– O kurczę, ja się do tego nie nadaję! – jęknęła płaczliwym tonem Jolanta. – Pisałam się na przemyt, ale nie na porwania i morderstwa. Kuźwa. Nie nadaję się!  
– Spokojnie. – Uniosłem dłonie.  
– Ja też nie! – krzyknął Kostrzeba. – Mogę ścierać krew, uprzętać trupy, ale żeby zabijać...  
– Jeszcze nikt nikogo nie zabił – zauważyłem.  
– No właśnie – powiedział Kostrzeba. – Ktoś pewnie będzie musiał to zrobić.  
– Oby nie ja – westchnął Leszek, a po nim kolejni.  
– Wykupmy ją! – zaproponowała Jolka.

Uśmiechnąłem się pod nosem, ale na zewnątrz zachowałem powagę. Wszystko szło zgodnie z planem Magdy. Jak to możliwe, że przewidziała reakcję jedynej kobiety w zespole?

– To nie nasza sprawa – zauważyłem. – Sprawą Wiecha i jego żony zajmuje się *capo di tutti capi*.  
– Wykupmy ją – powtórzyła błagalnym tonem Jola. Inni jej zawtórowali. – Przecież możesz coś zrobić, masz z nim kontakt. To niewinna kobieta.  
– Musi być jakaś kara – powiedziałem.  
– Oszczędźmy ją, przekonaj szefa – upierała się Jolanta.

Pomyślałem, że to jednak był dobry ruch, żeby przyjąć do szajki kobietę. Faceci pewnie nie byłiby tacy zdeterminowani, by gość bronić.

– Dajcie mi chwilę, muszę wykonać telefon – odparłem wreszcie.

Oddaliłem się za regały, na których piętrzyły się paczki z zapakowanymi już i przygotowanymi do transportu szczoteczkami do zębów. Udałem, że wykonuję telefon. Mówiłem szeptem. Właściwie ruszałem tylko ustami. Byle co, z tej odległości i tak nie mogli przecież zauważyć.

Kiedy wróciłem, minę miałem pokerową. Upajałem się tym, jak się we mnie wpatrują. Z wyczekiwaniem, z nadzieją.

Z nadzieją, kurwa. Mafiosi!

Chciałem im właśnie oświadczyć, że *capo di tutti capi* przychylił się do ich wniosku o wykupienie ofiary. Ale nie zdążyłem, bo w tym momencie otworzyły się z impetem stalowe drzwi i do magazynu wpadł rozwścieczony Michał Wiech. Wyglądał jak obłąkany, oczy miał przekrwione, ziejące ogniem, a ruchy dynamiczne. Kierował się wprost na mnie, nie miałem wątpliwości po co.

– Gdzie ona jest?! – krzyczał. – Do kurwy nędzy!

Zbliżał się szybciej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Był jak torpeda, jak tornado, jak wystrzelony pocisk. Biegł, a może nawet unosił się w powietrzu.

Doskoczyłem do Pawła.

Paweł, owinięty tą szmatą, która już nawet nie przypominała maseczki, zamarł. Wręcz poczułem, jak sztywnieje, jak się spina. Stałem tuż za nim.

– On! – krzyknąłem do rozpędzonego Wiecha. – On wszystko wie! To jego sprawa!

I ukucnąłem. Jakoś tak naturalnie, odruchowo. Po prostu usunąłem się z linii strzału.

A strzał nastąpił. Prawy sierpowy, czy jak to tam zwą. Paweł się zatoczył. Maseczka nasiąknęła krwią.

– Kuuuurwa! – jęknął, przykładając dłoń do twarzy.

– Gdzie ona jest? – pytał Wiech, nachylając się nad Pawłem i szykując do kolejnego ciosu. Karol z Wojtkiem chwycili go za ramiona, dzięki czemu nie mógł się już ruszyć.

– Nic nie wiem – odpowiedział Paweł. Niemał płakał, a przynajmniej tak to wyglądało.

– Spokojnie, panowie – powiedziałem, wstając. Rozłożyłem ręce szeroko, w geście pojednania. – Spokojnie, dogadajmy się. On nic nie wie. – Wskazałem na Pawła.

– Gdzie ona jest? – powtarzał owładnięty furią Wiech. Rzucił się, wyrывał, ale chłopaki mocno go trzymały.

– Wyjebał mi zęby, kutas! – krzyknął Paweł, zauważywszy na ściągniętej już z twarzy maseczce kła i dwójkę.

– Jeszcze jeden i będziesz mógł wstawić protezę za darmo – pocieszyłem. – Nie dziękuj. Musimy sobie pomagać.

– Gdzie ona jest? – wrywał się Wiech.  
– Spokojnie. Żyje. Możesz ją wykupić. Kara i tak nastąpi, ale przynajmniej żona będzie żyć – zaznaczyłem.

Michał patrzył na mnie oniemiałym wzrokiem.

– Możesz ją wykupić – powtórzyła z ulgą Jolanta. Patrzyła na Michała pocieszającym, współczującym wzrokiem.

– Za ile? – Wiech na moment oprzytomniał i zadał konkretne pytanie.

– Pięćdziesiąt tysięcy – odparłem. Wiedziałem, że ma tylko czterdzieści pięć oszczędności, ale Magda kazała podwyższyć tę kwotę. Uznała, że może uda się wydębić jeszcze jakieś zaskórniaki, o których niekoniecznie posiadała wiedzę.

– Nie mam tyle – powiedział Wiech.

– Pięćdziesiąt tysięcy i żona będzie bezpieczna. Masz godzinę na zorganizowanie kasy – poinstruowałem.

Wiech zaklął coś pod nosem, ale wyraźnie przestał się rzucać.

– Policję na was naśle – powiedział.

– Zapraszamy – odparłem. – Niech przyjdą. Mamy tu właśnie spotkanie zespołu. Pokażemy im szczoteczki.

– Nie przeginaj, Michał – wtrącił Wojtek. – Po prostu zorganizuj kasę. Wszyscy jesteśmy z tobą.

To było chyba niepotrzebne, bo Wiech najwyraźniej uznał, że da się negocjować. Magda to przewidziała. Palec trzymałem w schowku w samochodzie.

– Jesteście chorzy! – krzyknął Wiech. – Zapłacę. Ale jeśli nie zwrócicie mi Magdy, naśle na was gliny!

– Zegar tyka – powiedziałem spokojnie.

Michał wybiegł.

Zapadła grobowa cisza. Chłopaki i Jolanta być może mieli ochotę o coś zapytać, ale nikt się nie odważył. Tym razem zupełnie na mnie nie patrzyli. Może cieszył ich fakt, że Michał pobiegł zorganizować pieniądze i tym sposobem ominie ich zrzutka, na którą jeszcze przed chwilą byli tacy chętni.

– No dobrze. Jedna sprawa w toku. Zajmijmy się kolejną – powiedziałem. – Pendrive Wiśniewskiego. Panie Kostrzeba, prosimy o krótkie streszczenie rozpoznania, jakiego pan dokonał.

Jan wstał. Jak uczeń wywołany do tablicy. Z kieszeni wyjął kartkę.

– W hallu banku na parterze znajduje się recepcja – zaczął – tam udzielają informacji, jak i gdzie załatwiać sprawy bankowe, tam też niektórym wydają identyfikatory „gość”. Również tam przyjmują przesyłki kurierskie. Dalej, w głębi, tuż przed wejściem do wind stoi pracownik ochrony, czuwający nad tym, aby tylko uprawnieni, posiadający odpowiednie identyfikatory mogli z nich korzystać. Kamery są wszędzie.

– Rozumiem. – Pokiwałem głową z uznaniem. – A zatem jak bezpośrednio dotrzeć do prezesa? Jak przechytryć pracowników recepcji i ochrony? Jak zadbać o anonimowość oraz przekonać sekretarkę prezesa, że tylko jemu do rąk własnych możemy dostarczyć przesyłkę. Jak?

Kostrzeba odchrząknął. Wyglądało na to, że ma już odpowiedzi.

– Po pierwsze, aby uniknąć rozpoznania przez kamery, trzeba zmienić wygląd i sposób poruszania się – peruka, ciemne okulary, symulowanie utykania na jedną nogę. To ważne, bo wzbudza litość i chęć niesienia pomocy. Tę chęć musimy wykorzystać. Kiedy już uda się dotrzeć do sekretarki prezesa, należy bezwzględnie żądać bezpośredniego z nim spotkania. I na koniec – nasz kurier musi mieć przypięty widoczny identyfikator ze zdjęciem, lipnym nazwiskiem oraz duży napis na bluzie, logo firmy kurierskiej – to uspi czujność.

– Świetna robota, Stefano – pochwaliłem. Kostrzeba skinął głową, nieco speszony, ale wyraźnie zadowolony. – Świetna robota. Więc wszystko mamy ustalone. Kto zatem może podjąć się tego zadania?

Zapadła cisza, po czym pierwsza odezwała się Jola.

– Może ja? Jestem na wózku inwalidzkim, wzbudzam u wielu litość... Powinni mnie bez problemu przepuścić.

– Sorry, wybacz, ale nie znam kuriera, który by jeździł na wózku – dobiegł głos z sali.

Przytaknąłem. Mnie też ten pomysł wydawał się chybiony.

Innych propozycji jednak nie było. Przeciągnąłem wzrokiem po wszystkich zebranych. Wcześniej aktywni, teraz ze spuszczoneymi głowami, niby szukający czegoś w telefonach. Ja pierdolę, żaden? A wszyscy mienia się członkami mafii.

– Cóż... Skoro nie ma chętnych, proponuję księgowego, Piotra. Jest starszy, trochę przygarbiony, a do tego w okularach, moim zdaniem najlepszy do ucharakteryzowania – oznajmiłem, patrząc głęboko w oczy Pasternaka. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, po sali rozległ się gromki aplauz.

Tylko Piotr milczał, jak zwykle smutny, walczący z własnymi myślami. Chyba poza mną jedynie on tak naprawdę zdawał sobie sprawę z powagi zadania.

– Piotrus – powiedziałem prawie ojcowskim, zatroskanym głosem, celowo zmiękczając jego imię – jak widzisz, wszyscy liczą na ciebie, czy i ja mogę na ciebie liczyć?

– Tak – odpowiedział, ale nie wyglądał na przekonanego.

– Świetnie. Masz dwa dni na zorganizowanie charakteryzacji. Akcja pojutrze, o godzinie zero, czyli o ósmej rano. Nie martw się, będę cię asekurował.

Wprawdzie nie za bardzo wiedziałem, jak niby miałbym go asekurować, ale uznałem, że moja obecność spowoduje u niego poczucie bezpieczeństwa, w końcu sam szef mafii miał go chronić. To zresztą nasza pierwsza akcja, nie wyobrażałem sobie, że nie miałbym nad tym wszystkim kontroli.

– Kolejne sprawy... – napomknąłem, zamierzając odnieść się do tematów poruszanych w mailach. Natychmiast uniósł się las rąk. Serio, jak w szkole. Trochę mnie to przerażało. Tłumaczyłem sobie jednak, że to dobrze, dyscyplina musi być. Chyba nawet tak lepiej, niżby mieli przekrzykiwać się jeden przez drugiego. Dałem głos Arturowi, bo aż się wrywał, niczym kujon, wymachując dłonią z rozcapirzonymi palcami.

– Mój szwagier jest policjantem – oświadczył. – Mógłbym go zwerbować, mielibyśmy wtykę.

– Świetna myśl. Zapisz, Piotrze – zwróciłem się do księgowego – że wynagrodzenie szwagra Artura pójdzie z funduszu łapówkowego.

– Mamy już ten fundusz? – spytał Darek.

– Fundusz już jest – powiedziałem. – Tylko jeszcze nie ma tam pieniędzy.

Jak na zawołanie pojawił się Wiech. Spocony, zdyszany. Przyniósł kopertę, w której znajdowało się pięć tysięcy złotych.

– Tylko tyle? – zdziwiłem się. Ale tak naprawdę wcale nie byłem zdziwiony, Magda uprzedziła, że Michał będzie oszczędny, nazwała go nawet sknerą.

– Nie mam więcej – powiedział. – To wszystko, co udało mi się wypłacić. Teraz mam debet na karcie.

Akurat – prychnąłem w myślach. Dobrze przecież wiedziałem, ile ma oszczędności.

Nie dałem jednak po sobie poznać, że cokolwiek wiem. Skinąłem głową i oświadczyłem, że skontaktuję się z „szefem”.

Znow poszedłem za regały wypełnione paczkami ze szczoteczkami do zębów i znow udałem, że odbywam rozmowę. Potem, wciąż z telefonem przy uchu, wróciłem, ale nie spojrzałem na Wiecha ani na kolegów. Czułem na sobie ich wzrok, wyczekujący, zaciekawiony, niecierpliwy. Wyminąłem ich jednak i – udając, że słucham poleceń szefa – poszedłem w kierunku drzwi.

– Don Alberto? – spytał Darek. Dopiero wtedy się odwróciłem. Dłonią dałem znak, że wszyscy mają zostać. I czekać, aż wrócę.

Kiedy wyszedłem z magazynu i zamknąłem za sobą drzwi, puściłem się biegiem na mały parking znajdujący się poza terenem firmy. Celowo postawiłem właśnie tam samochód, by nie złapały go żadne kamery firmowe.

Biło mi serce, kiedy otwierałem schowek i odwijąłem szmatkę. Widok był nieprzyjemny, ale zdusiłem w sobie niechęć i nacisnąłem palec. Był miękki. Uff. Szybko wyjąłem kupione wcześniej w drogerii sztuczne paznokcie i dokleiłem jednego do palca. Na szczęście był już pomalowany.

I nagle poczułem do siebie obrzydzenie. Dotarło do mnie, co robię. Doklejam sztuczny, pomalowany na czerwono paznokieć do martwego palca, uciętego z martwej dłoni mojego żyjącego ojca. Nie powinienem tak robić. Miałem wrażenie, jakbym bezcześcił zwłoki. Ale potem przypomniałem sobie, że ojciec sam uciął tego palca. I trochę mnie to pocieszyło.

Czas leciał. Wiedziałem, że nie mogę się teraz rozczulać. Robota to robota, nikt nie mówił, że będzie lekko. Ważne, żeby szybko przyniosło efekty. Upewniłem się, że paznokieć dobrze się trzyma, po czym

zawinałem palec w szmatkę i znów puściłem się biegiem, tym razem w drogę powrotną.

W magazynie panowała cisza. Kilka osób paliło w kącie, co było absolutnie zabronione, ale teraz nikt się nie przejmował zakazami panującymi w firmie działającej tu za dnia. Wkurzył mnie ten dym i smród, ale nie skomentowałem. Ucieszyłem się, że czują się zestresowani. Na takich wyglądali. Przede wszystkim Wiech.

Ale i mnie udzielił się stres. Pierwszy raz miałem wymienić palca za kasę.

Byłem zdyszany, dlatego kiedy wszedłem, musiałem najpierw uspokoić nieco oddech. W dłoni ścisnąłem szmatkę.

Ci, którzy palili, zgasilili pety, zduszając je pod stopami, i przeszli bliżej środka, gdzie przebywała reszta grupy. Panowała atmosfera wyczekiwania. Ta cisza, niezmacona nawet szeptem, zdawała się przytłaczająca.

– I co? – pierwszy odezwał się Darek.

– Gdzie Magda? – irytował się Wiech. – Zapłaciłem przecież. Zaniósłeś tę kasę? Gdzie Magda?

– *Capo di tutti capi* jest zadowolony – powiedziałem ochryple. Odchrząknąłem, nie spodziewałem się, że mój głos tak zabrzmiał.

Odetchnęli. Wiech stał z czoła niewidoczny pot.

– Więc gdzie Magda? Odstawią ją do domu?

– Jest zadowolony – ciągnąłem – i dziękuje za pierwszą ratę. Magdę też będzie oddawał ratami.

Podąłem Michałowi zawiniątko. Odruchowo odebrał szmatkę i ją rozwinął. Potem krzyknął i upuścił. Palec upadł i wysunął się z materiału.

– Kuuuurwa!!! – krzyknął jak zarzynane zwierzę i znów chciał się na mnie rzucić z pięściami. Ale tym razem moi żołnierze byli szybsi. Chwycili go, nie pozwalając na żaden ruch.

Jolanta niemal zemdląca. Usłyszałem nieprzyjemny dźwięk kół jej wózka, sunących szybko w kierunku drzwi.

– Nikt nie wychodzi! – nakazałem. Dźwięk ustał.

Reszta milczała. Wpatrywali się w palec, bojąc się do niego zbliżyć.

– To chyba kciuk – szepnął Wojtek.

Nastało nagłe poruszenie. Nie chciałem, żeby za mocno się przyglądali, w obawie, że dostrzegą te subtelne szczegóły, które mogłyby wskazać, że palec nie należy do młodej kobiety. Chwyciłem więc palca i zawinałem go szczelnie.

– Nie chcesz go, trudno – powiedziałem, wpatrując się w pobladłego Wiecha. – Jest wart pięć tysięcy. Reszta Magdy kosztuje czterdzieści pięć. Możesz płacić w ratach, i tak samo będzie ci zwracana.

– Ale ja nie mam aż tylu pieniędzy – wymamrotał Wiech. Spuścił już z tonu. – Mam jakieś trzydzieści pięć, może czterdzieści. Nie wpłynęła jeszcze pensja...

Brawo. Mówił prawdę.

– Zrzucimy się – zaproponowała słabym głosem Jolanta.

– Tak, możemy się dorzucić – przystał Jan. – Na osobę nie wyjdzie tak dużo...

– Jak chcecie. – Wzruszyłem ramionami.

Potem puściliśmy Wiecha wolno, ustaliwszy, że nazajutrz mają być pieniądze. Darek trochę się obawiał, że Michał może powiadomić gliny. Ale ja się tego nie bałem. Wszyscy już przecież zobaczyli, co potrafi szef. Ten *capo di tutti capi*, który nie istnieje.

– Przypominam tylko – powiedziałem, kiedy Michał wyszedł – że ta kasa niestety nie jest dla nas.

– Oczywiście – przytaknęli zgodnie. Księgowy właśnie wyliczał, po ile muszą się zrzucić. Wykazał się przy tym mądrością, bo mnie nie policzył. Kolejny punkt dla Piotra.

– Dla nas będzie do podziału kasa z pendive'a – ciągnąłem. – Obgadajmy nasz plan, już późno.

## Rozdział 8

W umówionym miejscu byłem już przed ósmą, obserwując z oddali wejście do banku, jednocześnie rozglądając się za Piotrem. Trochę się denerwowałem, czy wszystko pójdzie po naszej myśli. Spojrzałem na zegarek – było już prawie dziesięć po ósmej – a Piotra nie było. Może się przestraszył i wycofał? – zastanawiałem się.

– Cześć – usłyszałem nagle. Gdyby nie znajomy głos, trudno by było go rozpoznać.

– Cześć – odparłem wyraźnie ucieszony.

Spod czapki z daszkiem wychodziły mu długie, siwe sztuczne włosy, miał ciemne okulary, przypięty identyfikator i wielką naklejkę na kamizelce KURIER SPECJALNY.

Poszliśmy do banku. Piotr przodem, ja trochę z tyłu, tak, aby nie wchodzić razem do środka. Kolejka do recepcji była spora, ale Piotr, lekko kuśtykając, od razu skierował się do ostatniego stanowiska, które obsługiwało tylko przesyłki kurierskie.

– Dzień dobry, ja z przesyłką do prezesa – zwrócił się do siedzącej tam kobiety.

– Oczywiście, proszę zostawić, przekażemy.

– Ale to przesyłka do rąk własnych.

– Może pan zostawić, doręczymy – zapewniła z przyjaznym uśmiechem.

Obejrzał się, lekko zbity z tropu, ale nabrał większej pewności siebie, kiedy zobaczył, że jestem nieopodal, w kolejce do recepcji. Wiedział, że go asekuruję.

– Do rąk własnych, to do rąk własnych, tutaj zostawić nie mogę, jestem kurierem specjalnym – odparł, udając już wyraźne poirytowanie. – Przecież może pani wezwać pracownika ochrony i z nim pójść do prezesa.

– Proszę o dowód osobisty, muszę pana zarejestrować, aby wydać identyfikator gościa. – Kobieta zwróciła się do Piotra aż za ciepłym głosem, tym razem sztucznie się do niego uśmiechając.

– Dowodu nie mogę.

– Bo?

– Bo RODO? – Piotr nie dawał za wygraną. – Mogę pani dać mój kurierski identyfikator, z niego może sobie pani wszystko spisać.

Obserwowałem go ukradkiem i trochę podziwiałem, jak dobrze sobie radził. A w głębi duszy rozpierała mnie duma, że to ja, a nikt inny wybrałem go do tego zadania. Jestem świetnym obserwatorem, jestem nieomylny.

Kiedy już oddalał się w asyście ochroniarza do wind, byłem przekonany, że nie gorzej poradzi sobie z sekretarką.

Czekając na Piotra już na zewnątrz, czujnym okiem obserwowałem otoczenie banku, zwłaszcza czy nie pojawi się policja, co zwiastowałyby duże kłopoty. Co jakiś czas spoglądałem na zegarek. Czas dłużył się niemiłosiernie, różne złe myśli zaczęły mi się kotłować w głowie. Ale Piotr wreszcie się pojawił.

– I jak? – spytałem.

– Bez problemu, szefie.

Teraz pozostało nam już tylko czekać...

Do firmy wróciliśmy osobno, Piotr zdążył się przebrać. Koledzy wyczekiwali nas w magazynie. Była dopiero dziesiąta i w tym miejscu taki tłum ubranych na czarno mężczyzn i jednej kobiety nie wyglądał dobrze. Wcześniej o tym nie pomyśleliśmy, dopiero Borcuch nam to uświadomił. Musiał nas obserwować z okna w swoim gabinecie, bo ledwie zebraliśmy się w magazynie, on też się pojawił, zaciekawiony.

Chłopaki nie wiedzieli, jak się w tym momencie zachować. Zaczęli więc całą grupą przechadzać się między regałami, a Darek, jako kierownik magazynu, udawał, że im objaśnia skomplikowany system rozdzielników. Wyglądali jak wycieczka z przewodnikiem. Na środku hali stał wózek, na którym siedziała Jola, oczy miała spuszczone, udawała, że coś zapisuje w swoim kajeciku. Tuż za nią, nieco skulony, jakby chciał się schować za jej wózką, stał Michał Wiech, ściskając w dłoniach grubą kopertę wypełnioną kasą. Kawalek dalej, na jednym z krzeseł siedział Piotr, księgowy, wciąż jeszcze chyba zaaferowany poranną akcją w banku. Zdążył się przebrać, ale zapomniał zdjąć ciemne okulary. Zauważywszy Borcucha, zaczął kiwać głową i mamrotać pod nosem jakieś liczby. Prawdopodobnie chciał ukryć zdenerwowanie, ale wychodziło na odwrot. Jakby bardzo stresowało go to liczenie.

W pierwszym odruchu zamierzałem iść za chłopakami, zniknąć z oczu Borcucha między regałami. Potem uznałem, że chyba powinienem raczej pilnować Wiecha, żeby się nie rozmyślił i nie uciekł z pieniędzmi. Wreszcie dotarło do mnie, że przecież jestem szefem i inni zapewne oczekują ode mnie, że zajmę się tych cholernym prezesem.

A Borcuch spacerował, rozglądał się, nic nie mówił. Ręce miał złożone z tyłu.

– Dzień dobry, panie prezesie – powiedziałem, patrząc na niego odważnie. – Co pana sprowadza do magazynu?

– No właśnie. – Zamyślił się. – A pana?

– Mnie? – odparłem odruchowo. Jeszcze nie miałem odpowiedzi, grałem więc na czas.

– Pana. I... resztę – dodał.

– Ach. To pomysł Gabriela, z marketingu – zacząłem.

Pomyślałem, że chyba trzeba wreszcie przyjąć tego Gabriela, mimo że nie znalazł drugiego polecającego. Ja mogę nim zostać. Tak często ostatnio Gabriela wspominałem, że aż wstyd, że go tu z nami nie było.

– Ciągłe wdraża nowatorskie metody, wie pan, jak to jest z tymi marketingowcami. – Ostentacyjnie wywróciłem oczami.

– Co tym razem? – zainteresował się Borcuch.

– Gabriel uważa, że siedząc za biurkami, pracujemy w oparciu o abstrakcję. Mamy swoje wykresy, słupki. A powinniśmy widzieć, ile rzeczywiście jest tych paczek, ile szczoteczek się tu znajduje. To wszystko trzeba sprzedać. – Wykonałem szeroki gest ręką po magazynie.

Borcuch przytaknął w zamyśleniu, podążył wzrokiem za moją dłonią.

– I my to sprzedamy – dodałem. – Teraz widać, ile ich jest...

– No, może... rzeczywiście... takie naoczne sprawdzenie... – zastanawiał się Borcuch.

– To działa – zapewniłem gorliwie. – Pan spojrz na księgowego. Ten to dopiero jest w szoku. To wszystko trzeba sprzedać.

– A pani Jolanta? – spytał prezes. – Też kazaliście jej tu przyjść? Przecież to niewygodna, po tej posadzce koła się ślizgają...

– Cały dział handlowy tu jest – zauważyłem przytomnie. – A Jola jest naszą sekretarką. Musi wiedzieć, jakimi metodami pracujemy.

– Może i tak, może i tak... To wszystko trzeba sprzedać, ma pan rację – ożywił się nagle, jakby dopiero teraz do niego dotarło, że nasze zebranie w tym miejscu zostało zorganizowane dla dobra jego firmy.

– No właśnie. A może... – Udałem, że się trochę waham. – Może byłoby zasadne, panie prezesie... żebyśmy się tu przenieśli. Na jakiś czas. Tu będziemy pracować, zamiast w biurze. Jest kilka stołów, rozłożymy swoje laptopy. Gabriel mówi, że najlepsza metoda sprzedaży to wizualizować sobie ilości, jakie są do sprzedania. Ale niektórzy mają problem z wyobraźnią, a tu, w magazynie, wszystko mamy jak na dłoni.

– Ciekawe spojrzenie... Nie słyszałem o... – zaczął Borcuch, ale mu przerwałem.

– Czasy się zmieniają – powiedziałem. – Trzeba podążać za trendami. Musimy to sprzedać, panie prezesie. Konkurencja nie śpi...

Trafiłem w punkt. Borcuch aż zazgrzytał zębami, usłyszawszy o konkurencji. Jeszcze nie tak dawno byliśmy jedyną manufakturą sprzedającą ekologiczne drewniane szczoteczki na taką skalę. Borcuch był w tym prekursorem, zaczynał w czasach, kiedy świat dopiero uczył się, czym jest ekologia. Na tym się właśnie dorobił. Ale teraz nie był już jedyny, a firm takich jak nasza zaczęło przybywać jak grzybów po deszczu. Wciąż jeszcze broniła się nasza marka, znana od lat. Ale konkurencja deptała nam po piętach. Szczególnie nowo powstała Ekoszczotunia, która oferowała jeszcze bardziej ekologiczny i jeszcze bardziej biodegradowalny produkt niż nasz. Wprawdzie używali drewna bukowego oraz bambusa jak my, ale włosie u nas było nylonowe, a oni chwalili się takim w pełni naturalnym – naturalnym w stu procentach! To dobijało Borcucha.

Dlatego zgodził się na pomysł, żebyśmy przenieśli dział handlowy do magazynu.

– Księgowy też nam się tu przyda – dodałem. – On na bieżąco wszystko wylicza, czy robimy obrót i takie tam.

– Jeśli to pomoże sprzedażowo przebić konkurencję...

– Pomoże – zapewniłem, uśmiechając się do niego łagodnie. Nawet poklepałem go po plecach. Nie do wiary! Pierwszy raz poklepałem prezesa po plecach. Ja, handlowiec, raczej z tych dla prezesa przezroczywych, pozwoliłem sobie na taki gest.

Ale byłem szczęśliwy, że wszystko tak pięknie się ułożyło! W dupie miałem konkurencję szczoneczkową, nie zamierzaliśmy przecież biegać z wywalonymi jęzorami, żeby nie dopuścić Ekoszczotuni do naszego rynku. Miałbym robić to, żeby nabijać kabzę Borcuchowi? Żeby mógł razem z Julką znów wyjechać do Tajlandii na cały miesiąc? Cały miesiąc! Cholera jasna!

Kiedy Borcuch wyszedł, zadowolony, że jego zespół tak prężnie działa, wróciliśmy na miejsca. To znaczy na środek magazynu, gdzie Jolka pocieszała właśnie Michała, że on na pewno nie będzie musiał się tu przenosić, może zostać w biurze, przecież nie należy do mafii.

– Tu jest kasa – powiedział Wiech, kiedy do niego podszedłem i podał mi kopertę. – Cała – uściślił. – Moich czterdzieści i pięć od chłopaków, zrzucili się. I od Joli. Bardzo wam dziękuję. – Skinął głową do reszty.

– Świetnie – pochwaliłem.

– Więc co z moją żoną? Kiedy do mnie wróci?

– Dziś wróci. Ustalicie szczegóły rozwodu.

– Ale jakiego rozwodu? Nie rozstajemy się.

– Kara musi być – oświadczyłem twardo. – Ocaliłeś żonę, żyje, to chyba najważniejsze. Ale złamanie *omerty* wymaga poniesienia konsekwencji. Po prostu się rozwiedziecie, nie będziecie już tworzyć rodziny, snuć wspólnych planów. Zaczynasz od początku, musisz znów kogoś sobie znaleźć.

Mówiąc to, upajałem się ciszą, która nastała. Wszyscy, łącznie z Wiechem, byli przerażeni, ale też pod wrażeniem decyzji, jaką podjął nasz rzekomy szef. Takiej kary nikt się nie spodziewał, a była bardzo bolesna.

– Nie mogę tego zrobić – jęknął płaczliwie Michał. – Magda mnie kocha, ona tego nie przeżyje.

– Ważne, że w ogóle żyje – powtórzyłem z naciskiem. – Czyż nie? Przykro mi, takie są zasady, trzeba było z mafią nie zadzierać.

Powiedziawszy to, odwróciłem się na pięcie i ściskając pod pachą kopertę z pieniędzmi, odszedłem za regały – udając, że melduję szefowi otrzymanie kasy. W rzeczywistości skontaktowałem się z Magdą na naszym tajnym komunikatorze. Napisałem, że mam gotówkę, i spytałem, w jaki sposób ją przekazać. Odpisała natychmiast, dając mi gotową instrukcję. Znów była o krok do przodu, wszystko przemyślała. Podała adres domu starców, który miał być dla nas bezpiecznym miejscem transferu gotówki. Pieniądze ukrywać mieliśmy pod łóżkiem w pokoju numer dwadzieścia trzy, należącym do niejakiego pana Stasia – zniedołężniatego staruszka, który nie ogarniał, co się wokół niego dzieje. Magda zdążyła się dowiedzieć, że do tego pacjenta przychodzą wolontariusze, czytają mu czasem, opowiadają, co się na świecie dzieje. Pan Staś nie reaguje, nawet na nich nie patrzy. Ale wszyscy wierzą, że te wizyty mają sens. Teraz musieliśmy znaleźć kolejnego wolontariusza, który odwiedzi pana Stasia i włoży pod jego łóżko paczuszkę. Magda odwiedzała własną babcię, więc przy okazji zamierzała zajrzeć do pana Stasia i odebrać przesyłkę. Tak samo miało to działać w drugą stronę: nasze pieniądze, wyjęte z konta pani Wiesi, Magda miała ukrywać pod łóżkiem, a trefny, znaczy nasz wolontariusz miał je odbierać.

Nie miałem wątpliwości, że do tego najlepiej nadaje się Jolka. Żaden mężczyzna, nawet ja, nie podołałby takiemu zadaniu. Nie dałby rady udawać wolontariusza zatroskanego staruszkiem. Tym bardziej że kasę trzeba będzie odbierać kilka razy w tygodniu. Ale Jolanta? Sama borykająca się z niepełnosprawnością, wrażliwa, empatyczna, miła. Do tego ładna i uśmiechnięta. Wolontariuszka idealna.

Do dużej koperty dorzuciłem tę wczorajszą, małą. Kiedy wszyscy wychodzili, w tym zanoszący się płaczem Wiech, poprosiłem Jolę, żeby została. Przekazałem jej przesyłkę i poinstruowałem, co ma robić, jako kto i gdzie.

– Pokój numer dwadzieścia trzy, pan Staś. Kopertę wpychasz pod łóżko.

– A ten pan Staś? Da mi w zamian jakieś prochy? Upewnijmy się, że wózek jest przygotowany. Nie wiem, jak zdjąć te zaślepki na rączkach.

– Nie, nie, żadne prochy... chociaż... – Zamyśliłem się, w końcu dom starców mógłby być niezłym punktem zbytu. Albo punktem odbioru. Ale to wymaga głębszej analizy i większej pracy. – Na razie żadne prochy. Będiesz kurierem. Dostarczasz koperty i odbierasz koperty. To wszystko.

– No nie wiem, czy dam radę – zawahała się Jolka. – Trudno się tak wychylić z wózka, żeby sięgnąć pod łóżko...

– To najpierw postaw paczkę na ziemi i dopchniesz ją nogą.

– Nie ruszam nogami – przypomniała.

– Kurde.

– Może kija jakiegoś znajdę po drodze...

– Jasne! I z kijem do dziadka!?

– Laskę! Laskę wezmę. Pożyczę od sąsiadki, ona ma. Laską łatwiej będzie operować. Wsunąć, wysunąć, co trzeba spod łóżka, już kiedyś tak robiłam.

– Przyjedziesz tam na wózku, a zarazem z laską? Jolka! Myśl! Nie możesz zwracać na siebie większej uwagi, niż to konieczne.

– To nie wiem... Może składana laska? Taka teleskopowa, da się ją ukryć pod bluzą...

– Zrobimy tak – zdecydowałem. – Teraz zaniesiesz kopertę i ją po prostu wrzucisz pod to łóżko. Jeśli będziesz w odpowiedniej odległości i zrobisz wymach ręką, powinno się udać.

– A jeśli nie?

– Znajdziesz na miejscu coś, czym dopchniesz.

Jolanta pokiwała głową.

– A potem coś się wymyśli – powiedziałem.

– To już teraz mam jechać?

– No pewnie, jak najszybciej. Chłopaki zaraz tu przyjdą z laptopami, będziemy urządzić biuro. Borcuch nie zauważy, że cię nie ma, jedź!

Nalegałem, bo bardzo zależało mi na czasie. Chciałem, żeby Magda od razu mogła dysponować tą gotówką. Tęskniłem za nią, chciałem już się wbić w te pełne usta, które zamierzała zrobić. Dokładnie takie, jakie jej wysłałem. Wysłałem jej tyle różnych zdjęć tylu różnych kobiet, moim zdaniem idealnych, że byłem pewien, iż efekt będzie oszałamiający. To będzie ideał nad ideały. W dodatku mój!

Ciekawiło mnie, kiedy wreszcie ją zobaczę, kiedy jej dotknę, kiedy ją przytulę i kiedy... to wszystko. Ciekawiło mnie, ile potrwa ich rozwód, obiecała, że to pójdzie szybko, nie zamierzała wyklócać się o kasę, nie zależało jej na mieszkaniu, które było na kredyt. Nie mieli też dzieci, co ułatwiało sprawę.

\*\*\*

Wieczór zapowiadał się piękny. Po pracy pojechałem na kurs, gdzie pocałowałem klamkę, bo pomyliłem dni. Nawet mnie to nie zdziwiło, żyłem ostatnio tak intensywnie, że miałem prawo zamotać się w czasie. Pomyślałem, że może w ogóle powinienem zrezygnować z nauki, nie miałem na razie na nią przestrzeni.

Dochodziła osiemnasta, gdy dotarłem do domu. Byłem głodny, dlatego wyjąłem słoik z zupą od mamy, przelałem do talerza i zjadłem bez odgrzewania. Potem odczytałem maile. Była wśród nich wiadomość od Jolki, która informowała o wykonaniu zadania. Brawo. Następnie otworzyłem komunikator, gdzie czekało już na mnie śmieszne zdjęcie przedstawiające obandażowaną dłoń z czterema palcami. Magda tak sprytnie podwinęła kciuk i tak pięknie owinęła bandażem dłoń, że wyglądało prawdziwie. Uśmiechnąłem się. Brawo. Potem przyszła kolejna wiadomość od mojej Donny Marii, że wszystko poszło gładko i ona za rolę nieszczęśliwej, rozgoryczonej żony powinna dostać oscara. Podobno nawet uroniła kilka łez, gdy Michał powiedział o warunku mafii, którym był rozwód. Poinformował ją, że ma się wkrótce wyprowadzić. Roztrzęsiona wiadomością, zamierzała pojechać do babci, by się w ramionach staruszki wypłakać i ucałować ją na dobranoc. Spieszyła się, żeby zdążyć w godzinach odwiedzin, czyli mniej więcej do dwudziestej. Wiedziałem, że nawet jeśli nie uda jej się ucałować babci, na pewno starczy jej czasu, by odwiedzić pana Stasia. Moja dziewczyna. Zuch!

Rozsiadłem się wygodnie na mojej niewygodnej kanapie, rozprostowałem nogi, opierając je o blat stolika. Otworzyłem piwo, odchyliłem się i przymknąłem oczy. Pełen relaks. Podobała mi się taka praca, polegająca na tym, że sprawdzam, czy zadania zostały wykonane. Sam właściwie nie musiałem nic robić – tylko rozdzielać zadania wśród innych. Uznałem przy okazji, że wtajemniczanie wszystkich we wszystko nie ma większego sensu. Te nasze spotkania, na których jest coraz więcej osób, mijają się z celem. Najważniejsze sprawy powinienem omawiać tylko z zarządem i na nich scedować kolejne zadania, koordynację poszczególnych i tym podobne.



Za oknem słychać było szum miasta, klaksony samochodów, krzyki rozwydrzonych dzieci. Ustawiłem sobie za cel, by najdalej za rok, półtora, mieć już własny dom w pięknym miejscu, najlepiej w górach albo nad jeziorem. Albo nad morzem. Byle nie w mieście. Z dużym ogrodem, z własnym stawem, po którym pływałyby łabędzie. Za parkanem byłby las.

Wiedziałem, że czeka mnie dużo pracy, ale cel był przecież do osiągnięcia. Im więcej Wiśniewskich i pendrive'ów, im więcej ofiar do wykupienia, tym szybciej miałbym ten dom.

Trzeba rozejrzeć się za pralnią pieniędzy.

Sączyłem piwo, upajając się wizją. Dokładałem kolejne elementy, takie jak garaż na pięć samochodów, domek dla gości, altanka na grilla i basen. Potem dobudowałem jeszcze domek na drzewie z myślą o dzieciakach. Ciekawe, czy Magda wolałaby najpierw chłopca, czy dziewczynkę?

Potem dorzuciłem korty tenisowe i stajnię. I minizoo – to też z myślą o dzieciakach.

Było mi tak dobrze, tak przyjemnie i tak błogo, jakbym naprawdę tam był.

A potem dostałem wiadomość od Magdy:

Pani Wiesia nie żyje.

Kurwa mać! Ale jak to? Co to ma niby znaczyć?

Zerwałem się z kanapy i wpatrywałem w telefon. Wiadomość już zniknęła, przez moment miałem nadzieję, że wcale jej tam nie było.

Ale zielony migający punkt pokazywał, że Magda jest aktywna. Moja Donna Maria coś jeszcze pisała.

Mamy problem, kochanie, ona umarła już wczoraj.

Cholera, cholera! Krążyłem po pokoju jak lew, wygłodniały i spięty.

Obsługa szuka jej rzeczy, nie wiedzą, gdzie są dokumenty – ciągnęła Magda. – Na szczęście miała demencję, więc zakładają, że gdzieś ukryła głęboko i trochę zajmie, zanim znajdą. Ale czas goni, muszę pozbyć się karty. Konto też pewnie niebawem zostanie zamknięte.

Cholera – wystukałem drżącymi palcami. To jedyne, na co było mnie stać.

Myśli mi się jednak kłębiły. Zrobiło mi się słabo. Może Magda i mnie wrobiła? Może zgarnie tę kasę od prezesa banku i czmychnie z kraju. A ja zostanę z problemem, będę musiał wziąć kredyt, żeby spłacić wspólników i członków. Cholera! Nie znałem tej baby, zaufałem jej jak totalny głupiec. Oszustki chyba tak działają. Rozpalają wyobraźnię, obiecują miłość po grób i snują wielkie plany, a potem czyszczą konto i uciekają. A ty płaczesz, bo byłeś naiwny. Piękne usta, piętnastocentymetrowe obcasy! Halki, pończochy, koronki! A nawet nie widziałem jej twarzy!

Nie martw się, coś wymyślę – napisała. – Jeśli zablokowali już konto, to trudno.

Trudno?! Pinda jedna, oszustka pieprzona! Zgarnęła pięćdziesiąt tysięcy od męża plus czterdzieści naszych za pendrive'a i bezczelnie usiłuje mnie pocieszać? Gnida parszywa, przebrzydła żmija, nietoperzyca chrzaniona!

Znajdę innego słupa, tu takich nie brakuje. Daj mi dzień, może dwa, znajdę zastępstwo za panią Wiesię – kontynuowała.

Ale list z żądaniem już poszedł! – napisałem wzburzony. Zastanawiałem się, jak jej dać do zrozumienia, że wiem, co kombinuje, gnida.

No trudno – wyraźnie nie dawała za wygraną.

Aż mną trzęsło.

I tak nie wiadomo, czy zapłaci – ciągnęła.

Pewnie już zapłacił i pewnie już zdążyłaś wyjąć te pieniądze, pindo – pomyślałem, przeliczając szybko, że to bardzo możliwe. List dostarczyliśmy o ósmej, a teraz była dwudziesta. Do tego czasu bank zaksięgowaliby wpłatę ze trzy razy.

Ale przesyłkę spod łóżka pana Stasia odebrałam – oświadczyła.

A ja myślałem, że eksploduje mi mózg. Czuję się parszywie – oszukany, wykorzystany, głupi. Cały się trząsałem, choć racjonalnie pragnąłem się pocieszyć, że to tylko czterdzieści tysięcy. Bardziej mnie jednak rozbiło to, że ukochana okazała się szuja. A ja naiwniakiem, cepem, który dał się zaorać. Może z Michałem to wymyślili, pewnie są w zмовie. Wszystko szło jak po maśle, aż za łatwo, teraz dostałem odpowiedź. Ukartowali to wspólnie, być może nawet Magda tym kierowała, bo jako jedyna wiedziała, że nie ma żadnego Mentora. Co za perfidna suka.

## Rozdział 9

Obudziłem się zlany potem, to była koszmarna noc. Nie dość, że długo nie mogłem zasnąć, to jeszcze miałem złowieszcze sny. Wszystko było tak ponure, tak stresujące i jeszcze... nie wiedzieć czemu, przyśnił mi się Adam, ten mój kolega, właściwie wróg z kursu włoskiego. Grał w tym śnie zabójcę, okropność. Po przebudzeniu miałem w głowie zamęt przeplatany jakimś nieokreślonym lękiem. Miałem wrażenie, że cały świat wali mi się na głowę. Chwilę mi zajęło dojście do równowagi – cholera, przecież jestem szefem, mam zaufanych ludzi, mam pomysły, nie mogę się tak rozklejać.

Jestem silny, odważny i niezniszczalny!

Żadna baba, tym bardziej pospolita oszustka, nie spowoduje, że się złamię. W dupie z Magdą, całą tą Donną Marią, w dupie z tymi czterdziestoma tysiącami, które mieliśmy mieć, a które zajmowała. Dam radę! Muszę tylko podjąć działania. Teraz! Natychmiast. Co zrobiłby Don Corleone?

Podłożyłby zapewne komuś łeb konia. Albo rybę. Z rybą prościej, ryb dostatek w każdym większym markecie. Nie może być mrożona, musi być świeża, niewypatroszona.

Tylko komu ją podesłać, nie miałem przecież żadnych wrogów. Jeszcze. Poza Wiechem, ale cholera wie, może Magda i jego wykiwała. Może obydwaj jesteśmy jej ofiarami?

A ojciec mi całe życie powtarzał: „Nie ufaj kobietom!”.

Nie mam pojęcia, jakie miał doświadczenia, zanim poznał mamę, ale tego właśnie mnie uczył: „Nie ufaj kobietom!”.

No to, kurde, nie posłuchałem! I mam!

Nie ma co się rozczulać i płakać nad rozlanym mlekiem.

Trzeba podjąć działania. Postraszyć czymś, najlepiej rybą, jak to robi mafia, potem zgarnąć kasę. Ale od kogo?

Była siódma rano, o tej porze zazwyczaj dopiero się rozbudzam, teraz jednak byłem tak pobudzony, że nawet nie potrzebowałem kawy. Uznałem, że z braku wrogów rybę należy podesłać komukolwiek, byle to było miejsce publiczne i łatwo dostępne, najlepiej restauracja.

Nie było na co czekać, kasy potrzebowaliśmy już, inaczej morale załogi mocno by spadło. Wysłałem więc grupowego maila do członków zarządu oraz do Pasternaka, z poleceniem, że mają natychmiast kupić rybę, zapakować ją, dołączyć karteczkę z żądaniami, a Piotr ma tę przesyłkę dostarczyć do restauracji, wszak kamizelkę z doszytym napisem „kurier specjalny” już miał, peruki i ciemnych okularów też z pewnością jeszcze się nie pozbył.

O dziwo, chłopaki odpisały natychmiast.

„Ale jaka ryba? – pytał Darek. – Mam w lodówce łososia w plastrach, może być?”.

„Co dokładnie mamy napisać? Masz kolejnego pendive’a, którym będziemy szantażować? O jaką restaurację chodzi?” – dopytywał Karol.

„W tej peruce jest za gorąco – odpisał Piotr. – Czy mogę posłużyć się samą czapką z daszkiem i okularami?”

Odpisałem, że łosoś w plastrach odpada, ryba musi być świeża i w całości. Poinformowałem, że tym razem nie mamy pendrive’a, idziemy na oślep. Restauracja powinna być włoska. Najlepiej kilka, więc trzeba kupić kilka ryb. Czapka z daszkiem wystarczy.

I wtedy przypomniałem sobie, że nie mamy już słupa. Głowiłem się, w jaki sposób restaurator miałby przekazać pieniądze. Uznałem jednak, że tym będę się martwił później. Nie ma co czekać, trzeba działać, a każdy dzień opóźnienia naraża nas na straty.

„Do przesyłek dołączcie kartki z moim adresem mailowym” – zarządziłem.

Kontakt pozwoli prowadzić negocjacje. Do tego czasu z pewnością znajdę sposób na przekazanie gotówki albo znajdę słupa z kontem bankowym.

Byłem pobudzony. Miałem wrażenie, że teraz dopiero stałem się prawdziwym szefem – wydającym dyspozycje, bezpardonowym w działaniu i przede wszystkim – szybkim.

Potrzebowałem sukcesu. Natychmiast. Potrzebowałem kasy spływającej strumieniami. Potrzebowałem uznania w oczach moich podwładnych.

„Jestem silny, odważny i niezniszczalny” – znów musiałem to sobie powtarzać.

Wziąłem długi prysznic. Będzie dobrze.

O dziewiątej nadeszła informacja, że mają ryby. O dziewiątej trzydzieści je pakowali. Przypomniałem im o rękawiczkach, zachowaniu wszelkiej ostrożności. Znaleźli cztery niby-włoskie restauracje, zwykłe pizzerie, niedaleko biura. Otwierały się dopiero o jedenastej.

Zastanawiałem się, czy w ogóle jechać do firmy. Bałem się, że kiedy tam się zjawię, zaczną dopytywać o sytuację z bankiem. Musiałbym zwodzić, że jeszcze nic nie wiem, nie chciałem pozbawiać ich nadziei. Liczyłem na to, że akcja z rybami przyniesie nam choć trochę gotówki, dzięki której przełknięcie porażki bankowej każdemu przyjdzie łatwiej.

Ale potem napisał Karol, że ma pieniądze i musimy się naradzić, co z nimi zrobić.

„Jakie pieniądze?” – spytałem, przecież nie było jeszcze jedenastej, nie zdążyli podłożyć ryb.

Odpisał, że to skomplikowane. I że porozmawiamy, kiedy będę.

Więc zebrałem się przed jedenastą. Niechętnie, ale byłem ciekaw, co to za kasa.

Kiedy podjeżdżałem pod firmę, już z daleka zauważyłem, że coś się dzieje. Obcy ludzie przed wejściem rozmawiali z Borcuchem. Na wszelki wypadek samochód zaparkowałem poza firmą. Czujność nade wszystko.

Kiedy mijalem bramę, dobiegł mnie głos Kostrzeby:

– Dzień dobry, szefie, teraz lepiej tam nie iść.

– Ooo... a to dlaczego?

– Przyjechali na jakąś kontrolę.

– Nie przedstawili się? Przecież ty ich wpuszczasz za bramę.

– No właśnie oni przyjechali, gdy był u mnie Borcuch, aby się przywitać, i gdy ich zobaczył, to minę miał nietęgą, raczej się ich nie spodziewał, pewnie jakaś grubsza sprawa.

– Rzeczywiście ciekawe – mruknąłem pod nosem.

– I dziwne, bo Borcuch nigdy wcześniej do mnie nie przychodził, tylko jego sekretarka po dzienne raporty ochrony. Może to nas szukają, szefie?

– Skąd, o nas przecież nikt nic nie wie. Sprawdzę, o co chodzi – odparłem, zachowując kamienną twarz.

– Szef to ma mocne nerwy – usłyszałem na odchodne.

Ruszyłem w kierunku magazynu spokojnym, ale też wolnym krokiem. Staralem się zachowywać normalnie, w głowie znów jednak budziły się nocne koszmary i pytanie: że niby nas szukają? Niemożliwe... Dołożyłem wszelkich starań, obowiązuje nas *omerta*. Chyba że... ktoś celowo zdradził? Minęło wiele tygodni, odkąd założyłem mafię, wszystko do tej pory układało się tak, jak to sobie wymyśliłem. Czyżby teraz miało się to skończyć? Kiedy tyle jeszcze miałem do zrobienia?

Na chwilę się zatrzymałem, bacznie obserwując otoczenie. Borcuch z tajemniczymi gośćmi weszli do głównego budynku. Kim są ci ludzie?

Nie dawało mi to spokoju. Nie wiedziałem, czy uciekać, czy zachować zimną krew. Kiedy więc zauważyłem stojącego pod wejściem i palącego papierosa Zbigniewa, faceta z działu promocji, który był niewtajemniczony w nasze mafijne działania, podszedłem. Niby od niechcienia, najpierw żaląc się na upał, zagadnąłem:

– A ci dwaj, którzy z Borcuchem tu stali, to kto?

– A bo ja wiem? – Zbyszek wzruszył ramionami. – Jakaś kontrola. Ze skarbówki chyba.

Ze skarbówki! Uff. Poczulem, jak napięcie odpuszcza. My ze skarbówką nie mamy przecież nic wspólnego, jedynie firma Borcucha. Niech on się poci.

W lepszym już humorze pomaszerowałem dziarsko w kierunku magazynu. Naszła mnie myśl, że warto tę kontrolę wykorzystać. W końcu nieczęsto taka się zdarza. Wyglądali poważnie, w dodatku ubrani na czarno, jak my. Uznałem, że to może być dobry sposób na zwiększenie posłuchu członków mojej mafii. Przecież wystarczy, że powiem, iż to nasz Mentor, szef wszystkich szefów – *capo di tutti capi* wysłał swoich ludzi, by przeprowadzili kontrolę, bo chce sprawdzić, jak się zorganizowaliśmy. Uznałem ten pomysł za genialny. Każdy taki ruch był na wagę złota. Iluzja, w jakiej wszystkich ich trzymałem, była nieoceniona. Ja przecież nie miałem jeszcze takiego szacunku jak Mentor.

W magazynie trwało poruszenie, wszyscy byli ciekawi, co to za goście. Kostrzeba zdążył ich poinformować, że Borcuch wpuszczał na teren firmy nieznanym, i zrobiło się jakoś dziwnie.

– To kontrola – wyjaśniłem wpatrującym się we mnie kolegom i Joli. – Pod przykrywką urzędników przyszli do firmy wysłannicy naszego szefa. Nie to, żeby mi nie ufał – zaznaczyłem szybko – ale uprzedzał, że lubi sprawdzać, zaglądać. Jak to mówią: pańskie oko konia tuczy. Włosi wyznają tę samą zasadę.

– Myślisz, że tu przyjdą? – spytał Paweł.

– Nie wiem, może chcą się tylko wywiedzieć, czy zachowujemy dyskrecję i dotrzymujemy *omerty*.

– Na wszelki wypadek markujemy ciężką pracę – zaproponował Karol.

Co nie było wcale takie głupie, bo trudno nazwać ciężką pracą nasze mafijne spotkania. Jediną pracą na rzecz mafii wykonywałem właściwie tylko ja, z pomocą Darka, Karola i Pasternaka, Joli oraz Kostrzeby – z doskoku. Reszta wciąż czekała na zadania. Bezproduktywnie. Po prostu czekali. Siedząc i tworząc bajeczne plany, na co wydadzą pieniądze, które kiedyś spłyną.

Ustawiliśmy stoły, jeden obok drugiego, rozłożyliśmy laptopy, dzięki czemu także Borcuch, gdyby tu wpadł, zobaczyłby nas ciężko pracujących. To był dobry ruch, ponieważ ledwie zajęliśmy miejsca, pojawili się: prezes i dwaj smutni panowie ubrani na czarno.

My na czarno, oni na czarno. W ciemnym magazynie oświetlonym jarzeniówkami.

– To nasze biuro handlowe – powiedział Borcuch do urzędników. – Takie... nowatorskie metody... Dzień dobry! – gruchnął w naszym kierunku. – Księgowego szukam. Dzwoniłem do niego na komórkę, ale nie odbiera.

Nie odbiera, bo rozwozi ryby – dopowiedziałem w myślach.

– Załatwia jakieś sprawy na mieście – wyjaśniłem.

– Sprawy na mieście – powtórzył prezes i wykrzywił usta w nieładnym grymasie.

Ale nikt poza mną nie zwrócił na to uwagi. Wszyscy, zamiast na Borcucha, patrzyli na urzędników, przekonani, że to wysłannicy naszego szefa.

– Bardzo ciężko tu pracujemy – wypalił nagle Darek. – Dzień w dzień, od rana do nocy.

Wszyscy, jak na zawołanie, pokiwali głowami. Nawet Borcuch.

– No tak, to wszystko trzeba sprzedać – powiedział prezes, pokazując gościom półki uginające się od paczek ze szczoteczками, których ostatnio nie ubywało, bo ich nie sprzedawaliśmy.

– Na efekty trzeba trochę poczekać – napomknąłem. – Ale jesteśmy na dobrej drodze.

– O tak, na bardzo dobrej drodze – podchwycił Darek. Jakby koniecznie chciał pokazać, że on też jest tu ważny. – Bardzo dobrej. Na autostradzie, można by rzec.

– Tak, tak – zapewnili gorliwie koledzy.

Potem zapadła krępująca cisza. Dawało się wyczuć przedziwne napięcie. Aż nagle drzwi z impetem się otworzyły i do magazynu wpadł Piotr Pasternak, z rozwianym włosiem, ciężko oddychający. Zdażył zdjąć czapkę i zmienić okulary na własne. Zapomniał jednak o kamizelce, na której widniał wielki napis:

KURIER SPECJALNY.

– A pan to... kto? – spytał zdezorientowany Borcuch.

– Księgowy. – Pasternak ugładził włosy, nadając im zwyczajowy przylizany wygląd, dzięki czemu bardziej już przypominał siebie. – Dzwonił pan, ale telefon miałem wyciszony, przepraszam, sprawy urzędowe.

– W urzędzie skarbowym coś pan wyjaśniał? – zainteresował się prezes.

– W ZUS-ie – zareagowała błyskawicznie Jolanta. – Moje dokumenty dostarczał, że też zapomniałam. A przecież wciąż zmieniają się te przepisy dotyczące zatrudniania osób z niepełnosprawnościami. Dziękuję, Piotrze. – Skinęła życzliwie głową w kierunku Pasternaka.

– Nie ma za co. Specjalne dokumenty, tak, tak... – mamrotał Piotr, zdejmując kamizelkę.

– Bo tu panowie z urzędu skarbowego – przedstawił gości Borcuch. – Chcieli zamienić kilka słów, wyjaśnić pewne kwestie.

– A nie wpłynęło żadne pismo – zauważył Pasternak. – Kontrola bez uprzedzenia?

Spojrzelśmy po sobie z kolegami. Świetnie się złożyło, że wyniknęła taka sprawa. To tylko uprawdopodobniło moje kłamstewko.

– Wysyłaliśmy – poinformował jeden z urzędników, ten wyższy. Na potwierdzenie wyjął ze swojej czarnej aktówki odpowiedni dokument.

Pasternak zmienił okulary na takie do czytania i przejął papier.

– To nie do nas – oświadczył po chwili. – Ta firma, o której tu mowa, mieści się kawałek dalej, pod

numerem dwadzieścia siedem. Tu jest dwadzieścia pięć.

– Nie do nas? – zdziwił się Borcuch. – Nie doczytałem... Czyli u nas wszystko w porządku?

– A to się jeszcze okaże – odparł urzędnik, ten niższy.

\*\*\*

– Co za dzień! – odetchnął głośno Karol, kiedy wreszcie zostaliśmy sami. Mogliśmy zamknąć laptopy i odsunąć się od stołów.

– Aż się spociłem – przyznał Wojtek. – Wyglądało groźnie. Ta cisza przez dwie minuty... Myślałem, że zaraz zrobią pokazówkę i najpierw zastrzelą Borcucha, a potem któregoś z nas.

– Niby dlaczego? Przecież kasę od Wiecha dostali – zauważył Darek.

– Ale na kolejne wypłaty wciąż czekają. Wiadomo już, co z tym bankiem? – dopytywał Wojtek.

– Bez nerwów. Mam dobry kontakt z Mentorem. Chcieli tylko sprawdzić, jak się tu zorganizowaliśmy – uspokoilem.

– Więc to nie była skarbówka? – spytał Piotr.

– Była – powiedziałem. – Nasz Mentor wszędzie ma wtyki.

– O w mordę.

– Raport poproszę – zgrabnie, ale stanowczo zmieniłem temat. – Wszystkie paczki dostarczone? Jaka reakcja?

Wszyscy wpatrywali się w Pasternaka, zaciekawieni.

– Wszystkie rozwieszone – odpowiedział. – Co do reakcji... różnie. Nie liczyłbym na odzew.

– Dlaczego?

– W jednej restauracji otworzyli i pokręcili z niedowierzaniem głową na widok ryby, uznali, że to jakiś żart, nawet nie przeczytali kartki, paczka wylądowała w koszu.

– Mogłeś naciskać, że mają czytać komunikat – powiedziałem zdegustowany.

– Mówiłem. Ale mnie olali. W drugiej restauracji uznali, że to kampania vegeterrorystów.

– Kogo? – prychnął Grzegorz.

– Powtarzam, co mówili – zauważył Piotr. – Ci też nie byli zainteresowani karteczką.

– A reszta? – niecierpliwiłem się.

– Dwie pozostałe też wylądowały w śmieciach – wyznał Pasternak. – Nie wzięli tego poważnie.

– Kurde – wycedził Darek.

– Pewnie jakieś maolaty, nie znają się – mruknąłem.

– Chyba trzeba by zamiast ryb podrzucać łby koni – zauważył Leszek. – Ale to trochę skomplikowane...

– Ważne, że zaczęliśmy – podkreśliłem. – Warto zmodyfikować strategię. Ryby są dobre, ale trafiają na nieodpowiedni grunt. Żadne pizzerie, do prawdziwych włoskich restauracji trzeba, oni się znają na rzeczy.

– Racja – przyznał Darek. – Grunt to wyciągnąć lekcję z tej porażki.

– Nie lubię porażek – mruknął Karol. – A co z tym bankiem?

Bezwiednie zacisnąłem szczękę.

– Momencik – powiedziałem, bo w tej właśnie chwili zadzwieczał mój telefon i spałem się jeszcze mocniej. Poszedłem między regały, ściskając telefon w złości tak mocno, że palce niemal mi pobladły.

Znałem ten sygnał, powiadomienie z tajnego komunikatora. Co jeszcze wymyśliła? Donna Maria, niech ją cholera trzaśnie! Nie sądziłem, że będzie na tyle bezczelna, by jeszcze coś pisać. Zgarnęła przecież już całą kasę, czego jeszcze chce?

Muszę na jakiś czas zniknąć, kotku – napisała.

Aż mi się zrobiło niedobrze. No jasne, że znika. Ale po chuj mnie o tym informuje? Nie miałem pojęcia, jak zareagować. Czy straszyć, że kiedyś ją dorwę, czy zignorować i liczyć na to, że moje milczenie okaże się dla niej mocniejszą formą wyrazu.

Wtedy pojawiła się kolejna wiadomość:

Znalazłam świetną klinikę w Turcji. Zrobię zęby, będziesz zachwycony. Potem we Francji zrobię cycki i nos. Z miesiąc nie będę przez to wszystko dostępna. Więc robi się mały kłopot. Ale dasz sobie radę.

Kłopot? Co za menda! Jedzie swoim scenariuszem, jakby miała mnie za tępaka! Chce dać sobie

miesiąc na znalezienie przyjemnego miejsca do ukrycia i uważa, że dalej łykam wszystko jak pelikan. Musiałem ukucnąć, tak słabo mi się zrobiło. Nie do wiary, jak ta kobieta oddziaływała na mnie. Byłem owładnięty furją, robiło mi się ciemno przed oczami i przez to czułem się jak sparaliżowany, nie umiałem nic sensownego odpisać. Tak żeby poszło jej w pięty.

Ale pojawiła się następna wiadomość i wtedy usiadłem.

Udało mi się znaleźć dwóch słupów – pisała – niestety nie mają demencji, weszli w ten układ świadomie. Pan Gieniusz w zamian za dostęp do konta chce, żebyśmy dostarczali mu raz w tygodniu pisma dla panów i jakiś alkohol, zgodziłam się. A pani Grażynka oczekuje, że zabijemy salową, bardzo jej nie lubi. Też się zgodziłam.

Czytałem to aż dwa razy i pewnie czytałbym trzeci, ale wiadomość znikła i pojawiła się nowa:

Więc jakoś to załatwicie. Karty do bankomatów i dostępy do kont schowam tam, gdzie zwykle. Aha, przyszły te pieniądze z banku. Czy mogę uszczknąć trochę? Bo przy okazji cycków i nosa zrobiłabym też liposukcję, a nie wiem, czy na wszystko starczy.

Wpatrywałem się w ten tekst, póki nie zniknął, i czułem, jak krew odpływa mi z mózgu i przepływa niżej, niżej i niżej.

Kochana moja! Najwspanialsza! Donna Maria! Ideał, doskonałość chodząca. Żadna tam harpia! Jak mogłem w ogóle tak o niej pomyśleć? Moja cudna, najpiękniejsza na świecie (już wkrótce!), *bellissimo!* Moja kobieta, moja duma, moja mądra, świetnie zorganizowana prawie narzeczona! Wspólniczka w zbrodni! Przyszła żona!

To jak, kotku? Jesteś tam? – pytała teraz. Kotku! Moja kociczka!

30% weź. – Napisałem zwięźle, bo dłonie bardzo mi drżały. Z podekscytowania, z euforii. Ze szczęścia. Niemal czułem, jak moje serce się zasklepia i goją się rany.

Będziemy w kontakcie. Zadbaj, by na tych kontaktach zawsze coś było. Spisałam sobie dostępy, więc w razie potrzeby będę robiła przelewy za bilety lotnicze czy coś. Więc lepiej, żeby tam było dużo.

Na końcu dała uśmiezek. Zabawną emotikonkę z przymrużonym oczkiem. A potem jeszcze dwie, takie z buziaczkami. I do tego pięć serduszek.

Byłem oszołomiony. Znow wszystko zaczęło się układać.

W odpowiedzi wysłałem trzy emotikony ze znaczkiem dolara i jedno serduszko. Chciałem klikać w te serca, żeby było ich kilkanaście, kilkadziesiąt, miliard, nieskończenie wiele. Ograniczyłem się jednak do jednego. By nie okazywać zbyt dużej słabości.

Magda sprawiła, że skrzydła z powrotem zaczęły mi rosnąć. Nabrałem jeszcze większej energii niż rano. Aż mnie ta energia rozsadzała.

Wszyscy zauważyli zmianę w moim wyglądzie, gdy wyszedłem wreszcie zza regałów.

– Oczy ci błyszczą, rumieńce jakieś masz na twarzy. Kto to był? – zainteresował się Karol.

– Szef – powiedziałem ochryple, po czym odchrząknąłem. – *Capo di tutti capi* zadzwonił, że kontrola wypadła pozytywnie.

– Tak jest! – krzyknął Darek, wstając z krzesła i robiąc przedziwny obrót, który chyba pokazywał radość.

Wszyscy się cieszyli, na czele ze mną.

– To jeszcze nie wszystko – oświadczyłem głośniej. – Prezes banku zapłacił!

Teraz ja nie byłem w stanie ustać spokojnie i zrobiłem wymach dłonią, a potem jeszcze piruet.

– Hurra! – krzyczeli jeden przez drugiego! – Mamy to!

– Potrzebujemy więcej takich akcji! – zawołał Wojtek. – Chcę mieć szybko dobry samochód!

– A ja dobry wózek! – pisnęła Jola.

– Więc, panowie i pani, trzeba się spiąć i ostro działać. Mafia to nie przelewki – powiedziałem stanowczo. – Jest nas w sumie dwunastu.

– Dwanaścioro – poprawiła Jolanta.

– A potrzebujemy dwustu – ciągnąłem. – Musimy zbudować sieć w całej Polsce, to pozwoli usprawnić działania. Potrzebujemy więcej kurierów specjalnych, więcej słupów, na *cito* potrzebujemy też pralni pieniędzy. Przecież za chwilę pójdzie kula śnieżna.

– No właśnie... *À propos* nowych członków... – zagaił Karol. – Ci z działu produkcji chcą dołączyć.

– Oni nie – zaperzyłem się. – Kto ich w ogóle chciał zwerbować? Mówiłem przecież, że...

– To ja – przyznał Leszek. – Bo nie wiedziałem, że jest zakaz. Dopiero kiedy szukałem dla nich drugiego popierającego, zgłosiłem się do Darka i on mi powiedział.

– Więc trzeba im odmówić.

– Odmówiliśmy – zaznaczył Darek. – Ale... No wiesz, to zawzięte byczki, nawet ten okularnik. Napalili się. Dali nam kasę.

– Łapówkę – uściślił Karol. – Żebyśmy cię przekonali.

– Ile? – spytałem, zachowując niewzruszoną minę. Byłem jednak pod wrażeniem, że chłopaki nie zgarnęły pieniędzy dla siebie, tylko się przyznały.

– Po pięć stów od łebka. W sumie trzy tysiące, bo ich jest tam sześciu.

– Niech wpłacą po dwa tysiące, wtedy pogadamy – zdecydowałem.

Dwanaście tysięcy to już coś, potrzebowaliśmy kasy. Każdej ilości, bez znaczenia od kogo.

– Dział produkcji się przyda – ocenił Karol.

– Postuluję, żeby przyjmować również kobiety – powiedział Paweł.

– Już nie przeginaj. – Spojrzałem na niego ostro. – W mafii nie było i nie będzie kobiet.

Poza Donna Marią – pomyślałem, ale oni o tej współpracownicy przecież nie wiedzieli.

– A Jolanta?

– Wyjątek potwierdzający regułę. A właśnie, Jolu. – Skierowałem wzrok na sekretarkę. – Trzeba odebrać przesyłkę. Dziś też będziesz robić za wolontariuszkę.

– Jasne, szefie. Ale pojedę za godzinkę, bo o tej porze to tam salowa przychodzi, ostatnio musiałam czekać, aż skończy.

– Czasy się zmieniają – upierał się Paweł. – Jest równouprawnienie. Dlaczego nie chcemy przyjmować kobiet do mafii?

Ale nie słuchałem, co mówił. Zacząłem błędzić myślami, bo nagle przed oczyma stanął mi obraz tego, co napisała Magda.

Mamy zamordować salową? Kurwa mać!

## Rozdział 10

Wcieliłem w życie nowe zasady, bo zespół się rozrastał. Doszedł do nas dział produkcji, informatyk, część działu marketingu oraz dwie osoby z promocji – w tym niestety kobieta, która określiła się jako osoba niebinarna, ze zmienną tożsamością płciową, aktualnie identyfikująca się jako mężczyzna. Zupełnie nie wiedziałem, co z tym zrobić, szczególnie że miała już wymagane dwa głosy poparcia. Tłumaczyłem, że nie przyjmujemy kobiet, a ona się upierała, że jest mężczyzną i że zgodnie z naszymi zasadami może przystąpić do mafii. I będzie miała pseudonim Bruno. Urządziłem głosowanie, licząc że chłopaki nie dadzą się nabrać na takie oszukaństwo, wyglądała jak baba, znaliśmy ją przecież, zawsze była Małgosią. Ale przegrałem. Tym samym dając zielone światło do przyjmowania kolejnych kobiet, bo żaden z nas nie odważyłby się pytać, kto właściwie jest kim. Ale żadna więcej na szczęście się nie zgłosiła. Może dlatego, że było lato, wołały jechać na wakacje i ubierać się w kolorowe stroje, niż paradować w czarnych ciuchach i do roboty dzień w dzień. Bo pracowaliśmy niemal bez ustanku. Akcja wysyłania ryb do restauracji prowadzonych przez Włochów przynosiła całkiem niezły efekt, oni od razu wiedzieli, że mają płacić. Dzięki temu mieliśmy już w kasie trochę pieniędzy oraz mnóstwo pomysłów na kolejne działania. Było wiadomo, że liczba prawdziwie włoskich restauracji jest w Warszawie ograniczona i trzeba będzie rozszerzyć zasięg. Nie marnowaliśmy czasu. Motywowała nas kasa. Powtarzaliśmy sobie, że im szybciej zarobimy krocie, tym szybciej będziemy mogli zaszaleć, przede wszystkim spłacić kredyty, a potem kupić te wszystkie domy i samochody, wyrwać się z jarzma pracy na etat i wreszcie zacząć naprawdę żyć.

Zrobił się jednak problem ze słupami. Pani Grażyna zagroziła, że zablokuje dostęp do konta, bo nie wypełniliśmy warunków umowy, pan Gieniuś natomiast, po otrzymaniu od nas przesyłki z pismami i alkoholem, urządził sobie miły wieczór, po którym niestety dostał udaru i teraz był w śpiączce. Wciąż żył, dzięki czemu mogliśmy używać jego konta, ale trzeba się było spodziewać najgorszego.

Byliśmy jednak zmotywowani i chętni do rozwoju. Głowy nam buzowały od pomysłów. Różnorodnych, każdy miał jakieś. Aż za dużo się tego zrobiło, dlatego musiałem przeorganizować strukturę grupy. Zaproponowałem chłopakom, byśmy przyjęli do zarządu kilka zaufanych i sprawdzonych osób – czyli Piotra Pasternaka, Jana Kostrzebę oraz Jolantę i Gabriela. Zależało mi, by powoli oddawać dowodzenie innym, a samemu zajmować się już tylko kontrolą i wyznaczaniem kolejnych kierunków. Potrzebowaliśmy spektakularnych działań, które przyniosą nam więcej kasy niż te pieniądze od Włochów. Niby niemałe, ale jednak po podziale – grosze.

Darek i Karol nie byli chętni, bo to oznaczało mniejszy zysk jednostkowy dla członka zarządu, ale przekonałem ich, że ostatecznie każdemu z nas się opłaci. Wystarczy podejmować więcej działań, ale do tego trzeba przyjąć więcej członków, szukać ich poza firmą, wśród zaufanych znajomych, wśród rodziny, trzeba zbudować sieć.

– Ktoś musi tym wszystkim zarządzać – zauważyłem. – Nas trzech to za mało. Księgowy robi wyliczenia, ogarnie wypłaty, jest nam potrzebny, przyda mu się awans. Jan jest doskonałym obserwatorem, w dodatku ma wiedzę o zabezpieczeniach w budynkach, jest dobrym doradcą, też trzeba go awansować. Jolanta zostanie naszą asystentką, jest dobrze zorganizowana. No i Gabriel, wiadomo, marketing rzecz święta. Takie czasy. Potrzebujemy dobrego marketingu.

Przy okazji przeorganizowałem styl pracy. Ponieważ obecnie większość pracowników naszej firmy należała już do mafii, wróciliśmy do biur. Nie było sensu tłoczyć się w magazynie, szczególnie że Paweł musiał dorobić regałów, ponieważ niesprzedane szczoteczki nie mieściły się na tych istniejących. A dodatkowe regały zabrały nam przestrzeń. Na szczęście dział produkcji przystopował z wytwarzaniem szczoteczek, bo zajmował się teraz czymś innym. Dzięki temu mieliśmy nadzieję, że przyrost paczek nie będzie tak wielki jak w ostatnich tygodniach i zostanie nam trochę miejsca na okazjonalne wieczorne spotkania.

Ustaliliśmy, że będziemy się spotykać tylko jako zarząd i omawiać najpilniejsze sprawy. Oni będą mi zdawać raporty z działań, a Pasternak dodatkowo raport finansowy.

Zanim jednak do tego doszło, postanowiliśmy zrobić ostatnie spotkanie całej grupy, by na forum, z pełnymi honorami, awansować wybranych członków i ogłosić nowe zasady funkcjonowania mafii.

Ledwie pomieściliśmy się wszyscy w zawałonym paczkami magazynie, nie było gdzie ustawiać



krzesel, dlatego część osób stała. My trzej też staliśmy – naprzeciwko nich, ubrani bardziej odświętnie, wprowadzie wciąż na czarno, ale tym razem mieliśmy na sobie krawaty.

Na początku był hałas, wszyscy rozmawiali, a to o ostatniej akcji, w czasie której ryby się zaśmierdły w upale, a to o wciąż zbyt małych pieniądzech, przez co Paweł nadal chodził w maseczce, bo nie stać go było na implanty, a piątego zęba nie dał sobie wyrwać. A to o cholernej pogodzie utrudniającej funkcjonowanie w czarnych ubraniach, a to o Borcuchu, który podobno stał się podejrzliwy i nawet zwołał jakieś specjalne posiedzenie swojego zarządu.

Ale zarządem tak naprawdę byliśmy my – i to się dla mnie liczyło, nie Borcuch. Wkurwiało mnie, że tak narzekają. Cieszyłem się, że już niedługo nie ja się będę z nimi użerał i że nie będzie już takich grupowych spotkań.

– Prosimy o ciszę! – powiedziałem donośnie. – Zaczniemy zebranie, szkoda czasu.

– Kiedy dostaniemy broń? – krzyknął stojący z tyłu narwany facecik z produkcji.

– Właśnie! – podchwycił inny. – Co to za mafia bez gnatów!

Kurwa. Zerknąłem na chłopaków. Wzrokiem chciałem im pokazać, że wiedziałem, przecież wiedziałem, do cholery, że z tymi z produkcji będą tylko kłopoty.

Ale chłopaki nie rozumiały mojego spojrzenia.

– Ma rację – mruknął Darek. – Powinniśmy mieć broń.

– Proszę o ciszę! – krzyknąłem, bo znów tworzył się hałas. – To nie jest teraz ważne.

– Jak to nie jest ważne? – krzyknął ten narwany. – To podstawa!

– Mamy swoje priorytety – zaznaczyłem spokojnie, acz stanowczo.

Naprawdę cieszyłem się, że wkrótce nie będę się z nimi użerał.

– Na razie nie damy wam broni – wyjaśniłem, starając się, by mój głos brzmiał pewnie. – W przyszłości dostaną ją ci, którym będzie potrzebna. Nie wszyscy.

Niektórzy odetchnęli z ulgą. Ci z produkcji jednak wyrazili minami niezadowolenie.

– Dziś spotykamy się, by poinformować was o kilku zmianach – ciągnąłem, zmieniając temat. – Najważniejsza jest taka, że ja usuwam się w cień. Wszystkie bieżące sprawy załatwiać będą inni członkowie zarządu. Niniejszym awansuję... – tu wymieniłem pseudonimy wszystkich wybranych.

Jolanta, Piotr, Jan i Gabriel patrzyli po sobie, nie bardzo jeszcze rozumiejąc, co właśnie się wydarzyło. Do innych też to chyba nie docierało, ponieważ zamiast braw, których oczekiwaliśmy, nastąpiła cisza.

– Mam słuchać ciecia? – Wojtek wyraził powątpiewanie, wskazując brodą na Kostrzebę.

– Członka zarządu mafii włoskiej – podkreśliłem z naciskiem, co było dobrym ruchem. Pokazało, że stanowiska, w których przez lata funkcjonowaliśmy, przestają właśnie istnieć i już nas nie określają. Kostrzeba nie był już cieciem, choć wciąż zachowywał tę przykrywkę na zewnątrz. Teraz był szefem, podległym ważniejszemu szefowi, czyli mnie, ale jednak szefem, który miał pod sobą mnóstwo osób.

– Powitajmy nowych członków zarządu – powiedział uroczyście Darek. I zaczął klaskać.

Piotr, Jan i Gabriel wstali, nieco jeszcze speszeni, ale dumni. Jolanta nie mogła wstać, lecz uniosła rękę w geście zwycięstwa.

– Gratulacje! – krzyknął Karol i przyłączył się do oklasków. – Zaangażowanie, lojalność, dyskrecja i determinacja! Macie wszystkie te cechy. W dodatku wykonaliście ciężką pracę, należał wam się ten awans!

Wreszcie rozległy się brawa, najpierw nieśmiało, niezbyt głośno, z każdą chwilą jednak wzbierały na sile. Jakby do uczestników spotkania właśnie dochodziło, że każdy z nich może w przyszłości awansować na członka zarządu mafii, skoro Kostrzebie się to udało oraz Jolancie, mimo że ona nawet nie była facetem.

– Szanowni państwo! – Uniosłem dłoń na znak, by przestali klaskać. – Na dziś to wszystko. Idźcie do domów i odpocznijcie, jutro czekają was kolejne wyzwania. A niebawem pierwsza wypłata. Gotówką. Oczywiście tylko dla tych, którzy brali czynny udział w akcjach. Dlatego podkreślam, że warto się starać, być aktywnym, a do tego pozyskiwać nowych członków, którzy pomogą nam rozwijać organizację. Przypominam o *omercie*. Dziękuję i dobranoc. Członków zarządu proszę o pozostanie.

Kiedy magazyn opustoszał i zostali w nim tylko zainteresowani, odpaliliśmy szampana. Nie chcieliśmy robić tego przy wszystkich, za dużo by zeszło butelek. Należało jednak opić awans kolegów i koleżanki, by podkreślić tę doniosłą chwilę. Jola nie skorzystała z poczęstunku, bo poruszała się samochodem przystosowanym do wózka i obawiała się, że nie udałoby się zamówić odpowiedniej taksówki.

Kostrzeba też nie pił z powodu leków, które brał na serce. Księgowy również odmówił, dziwne. Piliśmy więc tylko we czterech, dzięki temu było dla nas więcej, a bąbelki szybko uderzały do głowy.

Zadowoleni z życia i perspektyw, omawialiśmy plan. Jolanta notowała, wychwytyjąc wszelkie ważne informacje: kto za co będzie odpowiedzialny, jak ma wyglądać teraz podział obowiązków oraz, rzecz jasna, co było też ważne dla księgowego, jak należy rozliczać wpływy.

Ucieszyli się, kiedy oświadczyłem, że członkowie zarządu mają z tej puli najwięcej. Oczywiście nie licząc mojej działki, rozumieli jednak, że ta musi być wysoka, szczególnie że odpalam sporo naszemu Mentorowi – szefowi wszystkich szefów, którego imienia nigdy nie wymawiałem.

– Są jakieś pytania? – spytałem, sącząc kolejny kieliszek perłowego płynu.

Było mi dobrze. W dodatku chwilę wcześniej, gdy wyszedłem do toalety, odkryłem, że Magda przysłała piękne zdjęcie z Turcji. Same usta, lekko rozchylone, z trochę widocznymi śnieżnobiałymi zębami. Najpiękniejsze usta świata. Otulające najdroższe zęby świata. Jeszcze nie mogła wysłać mi pełnego uśmiechu, bo szczeka zbyt ją bolała, ale to zdjęcie było dla mnie wystarczające. Wzruszyło mnie, że moja kobieta tak bardzo się poświęca. Tyle bólu i cierpienia, w dodatku w samotności, bo przecież jej nie towarzyszyłem. Wszystko po to, aby mnie uszczęśliwić. Kochana.

Kiedy więc upiłem kolejny łyk szampana, wyobraziłem sobie, że to toast dla niej. Było mi wspaniale. Póki Piotr nie popsuł nastroju.

Po chuj pytałem, czy są jakieś pytania. Bo on właśnie zapytał:

– A co z manufakturą Borcucha?

– Jak to co? Jest. I niech sobie będzie. – Wzruszyłem ramionami.

– Ale właściwie nie działa... Jako księgowy muszę zwrócić uwagę, że...

– Co cię obchodzi manufaktura durnych szczoteczek? – zirytowałem się.

Tak pięknie nam się rozmawiało, planowało. Musiał to psuć? I przypominać o Borcuchu?

– No cóż... – Piotr odchrząknął. Był całkiem trzeźwy i choć wcześniej udzielił mu się nasz błogi nastrój, teraz spoważniał. – Za chwilę nie będzie na pensje. Nie sprzedajemy, poza realizacją stałych zleceń nie zdobywamy nowych odbiorców, a starych tracimy. Nawet już nie produkujemy... A pieniądze z nieba nie spadną.

– Nam spadają – zarechotał Darek.

Ale mnie przestało być do śmiechu. Rzeczywiście, upadek manufaktury oznaczałby dla nas duże straty. Nie mielibyśmy dochodu, tego gwarantowanego, który pomagał nam teraz w rozkręcaniu własnej firmy, nie mielibyśmy miejsca spotkań, zrobiłby się kłopot. Póki nasze interesy nie będą się kręcić, pozwalając nam na porzucenie zwykłej pracy, nie mogliśmy dopuścić do tego, żeby Borcuch zwinął interes.

– Tracimy starych klientów, owszem – zauważył Karol. – Ale to wszystko przez konkurencję. Gdyby nie Ekoszczotunia, moglibyśmy pociągnąć na dotychczasowych oparach.

– Ale nie możemy – powiedział Piotr. – Jeszcze miesiąc, dwa i manufaktura padnie. W dodatku Borcuch już zaczyna mieć wątpliwości co do tych rzekomych nowatorskich metod naszego działania. Trzeba uśpić jego czujność, wziąć się do roboty, inaczej się nie da, panowie.

– I pani – wtrąciła Jolanta. – Zgadzam się. Nie możemy dopuścić do upadku firmy, za dużo mam obciążeń finansowych, żeby zostać bez pracy.

– Masz przecież pracę. Lepszą – zauważyłem.

– Wysokość wypłaty na razie niepewna.

– Piotruniu – powiedziałem pieszczotliwie, patrząc prosto w oczy Piotra. – Ale przecież ty jesteś księgowym, możesz namieszać w papierach. Szuru-buru i po sprawie. Wykażesz zyski, jakieś tam jeszcze podopisujesz bonusy. Borcuch będzie szczęśliwy, a my zyskamy spokój.

Pasternak zacisnął powieki. Mocno. Jakby go zaszczypały.

– Tak się nie da – wyjęczał. – Poza tym nie mam mocy, by namieszać również na firmowym koncie. A tam już mocno topnieje. Koszty rosną, przychody spadają. Kasa się kurczy, za chwilę nie będzie na nasze wypłaty.

– Trzeba namówić Borcucha, żeby wziął kredyt. Jakiś inwestycyjny czy coś – zaproponował Karol. – Wtedy będzie szmal. A nas ominie niepotrzebna robota w fabryce.

– Oooo... Świetna myśl! – podchwyciłem.

– Panowie. – Piotr spojrział na nas poważnie. – Proponuję, żebyśmy jednak zadbali o obydwie kury.

Borcuch nie jest głupi. Być może teraz jest zakochany i przez to nieco rozproszony i nieuważny, ale na pewno nie głupi. Znam go już tyle lat i wiem, że wreszcie zacznie coś podejrzewać. Poza tym, przypominam, że lada dzień wraca Juliusz Kowalski, to sprawny menedżer, jestem pewien, że poprosi o wyniki finansowe i nie da się łatwo zbyć.

– Gość dobrze prawi – pochwalił Piotra Karol. – Ten kutas Kowalski nie da nam żyć, trzeba mu zamydlić oczy. Tylko jak?

– Najsensowniej byłoby zniszczyć konkurencję. Wtedy odzyskamy pozycję na rynku, klienci wrócą i sprzedamy, co mamy, nie będzie trzeba się starać o nowych – mruknął Darek.

– Dobrze się składa, że akurat jesteśmy mafią – wtrącił Gabriel, patrząc już nieco mętnym wzrokiem, bąbelki na niego zadziały mocniej niż na nas. Ale mówił składnie. – Możemy użyć niestandardowych metod wykańczania konkurencji... Jako marketingowiec mógłbym się tym zająć.

– Słuchamy – zgodził się.

Gabriel wziął głęboki wdech nosem, po czym głośno wypuścił powietrze.

– A zatem – powiedział – ich najmocniejszym punktem jest włosie. Reklamują je jako na-tu-ral-ne, czego my nie mamy, dlatego podebrali nam aż tylu ekoklientów. W ulotkach milczą jednak na temat materiału, z jakiego szczoteczka jest wykonana. Piszą tylko, że drewno bambusowe oraz w pełni na-tu-ral-ne włosie. Dopiero kiedy się zagłębisz, okazuje się, że włosie jest świńską szczeciną. – Spojrzał na nas wymownie, choć zamglonym wzrokiem.

– No i? – spytałem. – Szczecina przecież jest naturalna, nie kłamią.

– Ale jak to brzmi! – Gabriel wychylił się w moim kierunku. – Szczecina. Świńska. Myłbyś tym zęby?

Zamyślił się wszyscy.

– Więc poszedłbym tym tropem – ciągnął Gabriel. – Wyprodukujemy ulotki. Reklamujące ich szczoteczki. Jako robione ze świńskiej szczeciny. Weźmiemy fakturę, przed Borcuchem udamy, że to nasze – wyjaśnił, patrząc na księgowego. – Ale napiszemy na nich wołami, że to szczecina. Świńska.

– To może niektórych odstraszyć – przyznała Jolanta. – Szczególnie vegan... Choć nie wiem, może pozyskują tę szczecinę z żywych zwierząt i krzywda się świniom nie dzieje.

– To nieistotne – kontynuował Gabriel. – Ważny jest komunikat. W marketingu zawsze ważny jest komunikat. A więc szczecina. Od tego startujemy. Ulotki, reklamy w necie. Następny punkt to efekty działania.

– Ludzie są z ich szczoteczek zadowoleni... – wtrąciła Jolanta.

– Jeszcze. Póki nie zobaczą, czym może grozić używanie szczeciny świńskiej – poinformował triumfalnie Gabriel i wziął kolejny łyk szampana. Darek natychmiast dołał do kieliszków.

– A czym może grozić? – spytał.

– Ogólnie to niczym, jest bezpieczna – przyznał Gabriel. – Ale... w końcu jesteśmy mafią. – Uśmiechnął się. – Wszelkie chwytów dozwolone. Więc na ich wielki event, który będzie miał miejsce za cztery dni, w Złotych Tarasach, z udziałem radia i telewizji, gdzie zaprezentują nową odsłonę Ekoszczotuni, wyślemy naszego przedstawiciela.

– Handlowego? – zapytał lekko zdumiony Karol.

– Magazyniera w tym przypadku – uściślił Gabriel.

– Mnie? – zdziwił się Darek.

Gabriel wywrócił oczami jak baba.

– Przedstawiciela ludu. Użytkownika ich szczoteczek – wyjaśnił. – W naszym przypadku magazyniera. Mam tu na myśli Pawła.

– Ale po co? – spytała Jolanta.

– Wyobraźcie sobie. – Gabriel sięgnął po kieliszek. – Złote Tarasy, tłum, wielka promocja z nagrodami. Radio, telewizja. Wiem, jak to się odbywa. Ekoszczotunia nie żałuje grosza. Wystarczy więc, że Paweł dostanie się na scenę i zdejmie maseczkę. Wykrzyczy, że to efekt działania szczeciny.

– Kurde. Niezły plan – przyznałem, biorąc potężny łyk szampana.

– Właściwie ty, Jolu... – Gabriel spojrzał na Jolantę. – Też mogłabyś dostać uczulenia.

– Jakiego?

– No... że cię sparaliżowało po używaniu ich produktów.

– Świetna myśl! – przyklasnąłem, bo uznałem, że to byłoby naprawdę mocne.

– O nie, ja się nie piszę – powiedziała Jolka. – To nieetyczne.

Spojrzelśmy na nią z wyrzutem.

– Nieetyczne – powtórzyła stanowczo. – Nie zrobię czegoś takiego.

– A czy jest etyczne, że nie stać cię na dobry wózek? – spytałem. – Czy etyczne jest, że twój narzeczony, nauczyciel, ledwie wiąże koniec z końcem, choć przecież kształtuje nowe pokolenia? Czy etyczne jest ściąganie z nas, zwykłych pracowników, aż tylu podatków? To jest etyczne? Stworzyliśmy mafię, żeby wydostać się z tego durnego systemu.

– Owszem, ale rozumiałam, że będziemy działać poza zasadami państwa, ewentualnie kroić tych, którzy mają coś na sumieniu, albo że będę kolportować prochy dla uzależnionych, to byłabym w stanie przełknąć. Ale nie chcę krzywdzić ludzi, a przecież za tą firmą ktoś stoi.

– Ktoś, kto działa w tym chorym systemie. Może dzięki naszym działaniom odkryje, że warto z niego wyjść.

Albo rzuci się z mostu – pomyślałem, lecz tego nie powiedziałem głośno.

– No... może... – Jolanta się zamyśliła.

– Właśnie dlatego nie chcieliśmy przyjmować kobiet – zauważył Darek. – Baby są zbyt emocjonalne.

– Wypraszam sobie. Jestem po prostu empatyczna.

– I dlatego zgłosiłaś się do mafii – zakpił Karol.

– Dobra, zrobię to – przyznała po namyśle Jolanta. – Jeśli ma to nam pomóc... Cel uświęca środki.

– Brawo! – klasnął Gabriel. – Więc mamy załatwione.

– Jeśli to wszystko, to będę zmykać – powiedziała Jola. – Jest późno, nie chcę, żeby narzeczony się niecierpliwił.

– Właściwie wszystko – przyznałem, patrząc na ostatnią butelkę szampana. Zaczynało szumieć mi w głowie, a jednak miałem ochotę na więcej. – Pozostaje jeszcze tylko kwestia zamordowania salowej – mruknąłem jakby od niechcienia.

– Kogo? – Spojrzeli na mnie zdziwieni, bo jakoś wcześniej nie miałem okazji lub też nie miałem sumienia poinformować ich o tym nieszczęsnym warunku.

– Salowej z domu opieki – wyjaśniłem. – Tego domu, w którym jesteś wolontariuszką, Jolanto.

– A co ona ci zrobiła? – spytał Darek.

– Mnie nic. Ale pani Grażynka ma z nią na pieńku.

– Kim jest pani Grażynka?

– Ja pierdolę! – warknął Karol.

– Taki układ – odparłem zdawkowo. – Więc kto zabije salową?

Ale w tym temacie nikt, kurwa mać, nikt nie był chętny! Siedzieli jak osły, tępo się we mnie wpatrując, jakbym spadł z księżyca.

– Ale broń to chcecie mieć! – zauważyłem z pretensją w głosie.

– Nie my... to ci z produkcji – powiedział Karol.

– Właściwie można by ich poprosić – podchwycił Darek. – Rzutcy są, mogliby się nią zająć...

– Bez broni? – spytał Gabriel. – Gołymi rękoma? Będą ją dusić?

– Okropność – jęknęła Jolanta. – Ja się na to nie pisałam. Nawet nie mogę tego słuchać.

– Też wolałbym bezkrwawo, mam słabe serce – wtrącił nieśmiało Kostrzeba.

– Jeśli uduszą, to nie będzie krwi – zauważył Darek. – Albo otrucie. Też bezkrwawe.

– Ale właściwie kim jest ta salowa? I ta cała pani Grażynka, która dała nam to zlecenie? – zainteresował się Karol.

– Pani Grażynka to nasz słup – wyjaśniłem spokojnie. – To bardzo miła starsza pani. Mieszka w domu opieki.

– Jeśli można – wtrącił Gabriel, język już mu się trochę plątał. – Z marketingowego punktu widzenia dobrze byłoby zlikwidować nie tylko salową, lecz także pielęgniarki, lekarzy, opiekunów czy kto tam jeszcze jest. No i pacjentów. Poza panią Grażynką, rzecz jasna.

– Ale po co mielibyśmy ich wszystkich likwidować? – spytaliśmy razem, ja i Darek.

– Nie wiem – przyznał Gabriel. – Po prostu mówię, jak lepiej marketingowo. Przy takiej masakrze jest szansa, że wszyscy by o tym mówili. A o pojedynczej sztuce... No nie wiem, raczej nikt nie wspomni.

– Hola, hola, kolego – odezwał się Pasternak. – Ponosi cię wyobraźnia. Nawet mafia nie zabija bez powodu, zazwyczaj to jest konieczność albo zemsta.

– W naszym przypadku konieczność – zauważyłem. – Też wolałbym bez trupów, ale co, jeśli pani Grażynka zmieni dane do logowania na koncie i zastrzeże kartę? Na razie nie mamy innego słupa, a zarazem jakiś brak nam pomysłów, w jaki sposób inaczej transferować hajs.

– Proponuję inne rozwiązanie – powiedział ugodowo Piotr. – Wyślijmy donos szkalujący salową, w wysyłaniu trefnych przesyłek jesteśmy najlepsi. Dom starców sam ją zwolni, wiadomo, że dbają o reputację. A dla pani Grażyny chyba jest najważniejsze, by ta osoba po prostu zniknęła? Powiemy jej, że została zlikwidowana. Rachunek będzie się zgadzał.

Wychyliłem kolejny łyk szampana. Powoli pokiwałem głową.

– Podoba mi się – przyznałem.

Rzeczywiście pomysł bardzo mi się spodobał. Nie zamierzałem nikogo pozbawiać życia. Chciałem jednak, żeby sami zaproponowali coś, co uchroni salową, bo gdybym to ja zaproponował, mogliby mnie wziąć za mięczaka.

– Rachunek będzie się zgadzał – powtórzył Darek z uśmiechem, po czym nachylił się ku Piotrowi i wysunął palca w jego kierunku. – Ech ty, księgowy, księgowy.

\*\*\*

To ciekawe, wręcz fascynujące, jak wiele może zmienić właściwe podejście i odpowiedni sposób myślenia. Zauważyłem to, kiedy znalazłem w skrzynce na listy pismo od właściciela mojego mieszkania, w którym informował mnie o podwyżce opłaty za wynajem. To już drugie takie pismo, poprzednie dostałem jakieś sześć miesięcy wcześniej. Wtedy byłem wkurwiony, bo nie dość, że w ostatnim czasie wzrósł czynsz do wspólnoty, to wzrosły także opłaty za ogrzewanie, prąd, a nawet internet. No i ten chujek właśnie wtedy podniósł mi czynsz za wynajem. Usiłowałem negocjować, ale był nieugięty. Powiedział wtedy, że jeśli mi się nie podoba, to proszę bardzo, mogę się wyprowadzić, on na moje miejsce ma dziesięciu innych.

Teraz wyjąłem to pismo, przeczytałem je i uśmiechnąłem się pod nosem. Dwustuzłotowa podwyżka nie zrobiła na mnie wrażenia. Wręcz przeciwnie, odczułem względem chujka coś w rodzaju współczucia, że musi te pisemka pisać, że musi wszystko sobie wyliczać, a potem doliczać te marne dwie stówy, a to przecież grosze w porównaniu z tym, co zaczynałem zarabiać. Jeszcze niedawno za każdym razem, gdy robiłem przelew właścicielowi mieszkania, bolało mnie serce, bo nachodziła mnie myśl, że on ma, a ja nie, i to jemu muszę płacić. Bolało mnie serce, bo wolałbym płacić na swoje. Właśnie wtedy pierwszy raz rozglądałem się za kredytem. Ale kiedy przeliczyłem, że wziąłbym czterysta tysięcy na marną klitkę, a spłacić musiałbym przez trzydzieści lat w sumie milion pięćset, odechciało mi się. Z każdej strony zdziercy. Mafia – mój ojciec miał rację.

Aktualnie znajdowałem się po tej drugiej stronie, to ja byłem mafią. I dlatego podpisałem to pismo, dorysowałem nawet uśmieszek. Niech ma, niech się cieszy z tych dwóch dodatkowych stów, może potrzebuje na buty dla żony. Moja – prawie-już-żona była właśnie we Francji, gdzie robiła sobie biust. Bo ma. Bo ją stać. A takie dwie stówy to wydaje na waciki.

A potem naszła mnie myśl, że właściwie za jakiś czas mógłbym kupić to mieszkanie. Chwilę później kolejna – że mógłbym kupić cały ten budynek. I dorysowałem kolejny uśmieszek przy swoim podpisie na dokumencie.

Odpowiednie podejście pomaga też okiełznać emocje, patrzeć na świat z większym dystansem – bez nadmiernego stresu, ale też bez nadmiernej ekscytacji. Po prostu obserwować wydarzenia. Ten wniosek nasunął mi się, gdy oglądałem w internecie relację z uroczystej prezentacji nowej szczoteczki marki Ekoszczotunia. Ta szczoteczka w porównaniu z poprzednimi była bardziej obła w kształcie i jak obiecywali producenci, lepiej trzymała się w dłoni. Rzeczywiście, jak to przewidział Gabriel, prezesi Ekoszczotuni nie żalowali pieniędzy na promocję. Na scenie, ustawionej w hallu wielkiej galerii handlowej Złote Tarasy było kilku celebrytów zachwalających ten produkt, odbył się nawet minikoncert, a po nim mnóstwo zabaw i konkursów. Wydarzenie, dzięki obecności gwiazd i hojnym nagrodom, zgromadziło olbrzymią publiczność, a także wielu, zapewne porządnie opłaconych, dziennikarzy. Na YouTube, na kanale EkoJestSpoko można było oglądać relację na żywo, ja jednak zadowolilem się migawkami z występu Pawła i Jolanty, rozprzestrzeniającymi się jak viral po całej sieci. Nie ekscytowałem się jednak nadmiernie, patrzyłem bez

emocji i z dużym spokojem, zupełnie jakbym odhaczał kolejny punkt planu.

Paweł wtargnął na scenę w drugiej godzinie pokazu – w momencie gdy jeden z celebrytów zachwalał naturalne włosie, nie wspominając oczywiście, z czego jest zrobione. Pod sceną kłębił się tłum oczekujący na koncert młodej gwiazdki. Były tam całe rodziny, błyskały flesze. Paweł wbiegł na podest i wyrwał z dłoni prezentera mikrofon.

– Szanowni państwo! – krzyknął. Był bez maseczki, ale mikrofon zasłaniał mu usta. – Ekologia jest ważna! Dziękujemy Ekoszczotuni!

Chyba tylko dzięki tym słowom nikt z obsługi nie zareagował. Stojący w tle prezes nawet się uśmiechnął, co było prawdopodobnie znakiem dla innych, by nie przerywać niespodziewanemu gościowi.

Ludzie zaczęli bić brawa, celebryta też, choć jego mina wskazywała, że nie był zbytnio zadowolony, że ktoś mu zabrał mikrofon.

– Naturalne włosie to podstawa! – krzyczał ze sceny Paweł. – Ekoszczotunia używa świńskiej szczeciny, nie ma nic bardziej naturalnego! – podkreślił. – Mnie wprawdzie ta szczecina nie służy, bo straciłem wiele zębów, odkąd używam ekoszczotuni. – Teraz odchylił mikrofon, uśmiechnął się szeroko wprost do tłumy i do obiektywów. – Ale to nic! Uważam, że dla ekologii warto się poświęcić!

W tym momencie mina prezesa stojącego w tle zrzędła, co uchwyciły kamery na zbliżeniach. Do Pawła natomiast doskoczyli ochroniarze z obsługi.

– Kupujcie produkty Ekoszczotuni – zdążył wykrzyknąć Paweł. – To ważne dla świata!

Ściągnęli go ze sceny. Nie mogli o nic go oskarżyć, bo udawał zachwyconego produktami. Wzięli go za świra, ekoświra, próbowali pytać, czy na pewno te zęby stracił po szczotkowaniu, ale utrzymywał, że tak. Kiedy zszedł ze sceny, dorwali go dziennikarze, wreszcie zaczęło się coś na tej imprezie dziać, coś niespotykanego, szokującego, ciekawego. Zadawali mnóstwo pytań, w tym takie, czy ubiegał się o odszkodowanie. Ale Paweł stanowczo i wiarygodnie utrzymywał, że nie odczuwa takiej potrzeby, że jest zadowolony ze świńskiej szczeciny, mimo iż stracił zęby. Przekonywał, że ekożycie jest ważniejsze niż jedynki i dwójki. Uśmiechałem się pod nosem, ale nie tryskałem euforią. Ot, plan został wykonany. A potem jedna z tych zaangażowanych dziennikarek krzyknęła w tłum: „Czy ktoś jeszcze został poszkodowany przez tę firmę?”. I zgłosiła się Jolka. Ledwie było ją widać. Wciśnięta między ludźmi, w tłumie, na wózku. Wysuwała rękę, ale tylko ja ją dostrzegłem, dziennikarka nie zauważyła. Dopiero chwilę później inny fotoreporter przywahażył Jolantę. Podeszli do niej.

– Pani też? – spytali.

– Tak – odparła smutno. Widać, że było jej trudno kłamać, trzymała jednak fason, mimo że łyż szklity jej się w pięknych brązowych oczach.

– Straciła pani zęby? – dopytywał dziennikarz.

– U... czu... lenie... – wystękała Jolanta. – Re... akcja... alergiczna. Spa... raliżo... wało mnie.

– Och – zmartwiła się dziennikarka.

I nie dopytywała dalej. Odwróciła się do kamery i zaczęła nawijać. Całe szczęście, bo zapewne, gdyby zadała więcej pytań, Jolanta nie wytrzymałaby ciśnienia i motałaby się w zeznaniach. Ale to nie nastąpiło. Naszła mnie myśl, że dziennikarstwo schodzi na psy. Nie dociekają, nie wnikają. Dla mafii to lepiej.

Wszystko zadziało. Informacja o szkodliwym działaniu szczeciny poszła w eter, dzięki czemu niemal na drugi dzień zaczęły sływać do nas zamówienia na nasze szczoteczki wykonane z drewna bambusowego z włosiem z nylonu. Wyprzedaliśmy część zalegających paczek właściwie bez zaangażowania.

– Brawo! – cieszył się księgowy.

– Brawo! – pochwalił Gabriel z marketingu.

I przyjęliśmy Pawła do zarządu, dlatego znów trzeba było przeliczać udziały,

## Rozdział 11

Życie jest piękne, kiedy się wszystko układa. Kiedy się nie układa, jest do dupy. Mnie jednak się układało. Czułem się jak Midas, mityczny król, który czego się dotknął, zamieniał w złoto. W przeciwieństwie jednak do antycznego bohatera mnie nie groziła śmierć głodowa. On za pomocą dotyku zmienił w złoto także chleb. W prawdziwy kruszec, którego nie sposób było ugryźć. Gdyby żył w naszych czasach, miałby prościej, ponieważ współczesne złoto szeleści. Albo w ogóle go nie słysząc, bo jest jedynie cyfrowym obrazem. Naszym złotem był pieniądź w każdej postaci.

Złoto spływało do nas strumieniami, za chwilę miały to być rzeki, a docelowo – za kilka, najdalej kilkanaście lat, mieliśmy już kąpać się w morzu kasy. Ba! W oceanie!

Organizacja rozrastała się w olbrzymim tempie, nad którym nie byłem już w stanie zapanować. Dołączali do nas ludzie z całej Polski. Najpierw byli to kuzyni i znajomi członków naszej manufakturowej mafii, potem kolejni i kolejni, nawet całe rodziny, łącznie z kobietami – nikt już nie patrzył na to, że nie chcieliśmy ich przyjmować. Warunek był jeden: skończone dwadzieścia pięć lat (uznaliśmy, że ta granica gwarantuje nam dojrzałego członka, z młodszymi mogło być różnie) oraz wpisowe w wysokości pięciuset złotych. Połowę wpisowego brał ten, który zwerbował nowych, jako premię uznaniową, natomiast połowa wrzucana była do wspólnej kasy i dzielona jak inne pieniądze.

Pozyskaliśmy też kilku nowych słupów, a do zarządu pod koniec wakacji dołączył Bartek, nasz firmowy informatyk, biegły w cyfrowych zabezpieczeniach, dzięki czemu mogliśmy słać więcej maili z żadaniami zapłaty za wymyślone przewiny naszych przypadkowych ofiar. Bartek wdroył nas także w temat kryptowalut, co stworzyło nam dodatkowy strumień transferu kasy.

Wszystko się układało. Policja wciąż spała. Wiedzieliśmy, że otrzymują zgłoszenia, bo donosił nam o tym Jarek, kuzyn Artura, wysoko postawiony policjant wyczekujący emerytury, który nie pogardził dodatkowymi pieniędzmi wypłacanymi z naszego funduszu łapówkowego. Potem Jarek pozyskał jeszcze kilku swoich kumpli. Nie żalowaliśmy dla nich kasy. Informacja jest przecież na wagę złota. Także tego szeleszczącego.

Więc otrzymywali zgłoszenia, owszem, ale ignorowali je. Właściwie nie było się czego przyczepić. Na policję zgłaszali się bowiem ci, którzy nie zapłacili – a zatem nic nie stracili. Ci, którzy nam przelewali hajs, dziwnym trafem nie szli do glin.

I tak to się kręciło.

Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że sprawą tych drobnych zgłoszeń zainteresował się jakiś nadgorliwy chujek, prokurator. Węszył swoimi kanałami, z pominięciem oficjalnej drogi, dlatego nasi informatorzy też o tym nie wiedzieli.

Węszył jak pies, jak jamnik, tuż przy ziemi, szukając świeżych śladów. Wtedy jeszcze nic nie znalazł. Ale wyczekiwał, skubaniec. Nie mieliśmy o tym pojęcia.

Nasze życie nabierało rozpędu i barw. Nikt już nie utyskiwał na brak urlopu, nawet te żony, które musiały spędzać wczasy samotnie, użerając się z dziećmiakami, przestały narzekać. Dodatkowe, wsunięte przez mężów do pięknych dłoni papierowe stówki wynagrodziły wakacyjną udrukę. Ustaliliśmy przy okazji, że w kolejnym roku będziemy już mogli planować urlopy.

Nie narzekał też Borcuch. Wyprzedaliśmy przez wakacje sporo zalegających szczoteczek. Wprawdzie nie produkowaliśmy nowych, ale magazyn, który sukcesywnie pustoszał, wywoływał u prezesa szczerą uśmiesz, facet nie mógł się nas nachwalić. Przyjmowaliśmy te pochwały z pokorą. Powoli jednak kłuł nam się plan, by w przyszłości kupić od niego tę manufakturę i stworzyć z niej pralnię. Na razie jednak nie mieliśmy pomysłu, jak w niej prac.

Temat pralni powracał jak bumerang. O ile bowiem drobną gotówkę łatwo było upłynnić, to chcieliśmy przecież oficjalnie i na legalu kupić sobie wreszcie te upragnione samochody, mieszkania, domy, a wcześniej pospłacać kredyty, by bankowe pijawki nie ciągnęły już z nas krwi.

Brakowało nam jednak pomysłów. Żaden z nas, łącznie z księgowym, nie umiał znaleźć rozwiązania, które nie wymagałoby nakładów. Najprościej byłoby otworzyć restaurację – wszyscy wiedzą, że w restauracjach najlepiej się pierze. Nierozliczana gotówka od klientów, utracony towar (stłuczone butelki drogich win, popsute mięso, spleśniałe warzywa). Jak prosto oszukać system, mając restaurację. Ale

najpierw trzeba ją otworzyć, wynająć lub kupić lokal, zainwestować w sprzęt. Do prania dużej gotówki potrzebna byłaby duża restauracja, najlepiej kilka. Szkoda nam było jednak na razie na to kasy. Gorączkowo szukaliśmy więc innego pomysłu.

– Sprzedawajmy powietrze – zaproponował Gabriel, podczas jednego z posiedzeń zarządu w połowie września, gdy znów głowiliśmy się nad tematem pralni.

– Że co? – spytałem wtedy, nieco nieprzytomny, bo też intensywnie myślałem i mózg już mi zaczynał parować.

– Powietrze sprzedawajmy. To prawie bezkosztowe rozwiązanie. W dodatku genialne i proste! – ekscytował się Gabriel, któremu najwyraźniej odblokowała się w mózgu jakaś kreatywna zapadka, nakręcał się coraz bardziej, oczy mu błyszczały.

Nie rozumieliśmy, o czym mówi. Patrzyliśmy na niego jak na obłąkańca. Powietrze sprzedawać? Ale kto je kupi?

– A wodę? – spytał niezrażony Gabriel. – Wodę kto kupuje? Wszyscy! A przecież ogólnie dostępna woda, poza tą z kranu w mieszkaniu, gdzie płacimy za jej dostarczenie i uzdatnianie, jest za darmo. Każdy może ją mieć. Nasza planeta stoi wodą, mamy do niej dostęp, możemy korzystać. A jednak kupujemy wodę w plastiku.

– Jest lepsza... – zauważył Kostrzeba, unosząc bezwiednie do ust półlitrową butelkę mineralnej.

– Otóż to! Marketing! – krzyknął Gabriel i wstał, bo z ekscytacji nie potrafił usiedzieć. – Marketing! Marketing! Rozumiecie? Marketing sprzedaje wszystko! Stworzy potrzeby, o których nie wiecie nawet, że je macie! Przez tysiące lat ludzie pili zwyczajną wodę, ze studni. Przez tysiące lat zwyczajna woda była życiodajna i zdrowa. Ale przyszedł marketingowiec i pomyślał, że da się tę darmową wodę wlać do butelek, powiedzieć ludziom, że jest lepsza. I sprzedawać, sprzedawać. Na całym świecie. Wodę!

– Jest lepsza... – powtórzył Kostrzeba, wczytując się w etykietę. – Ma minerały.

– Każda ma – zauważyła Jolanta, ona akurat używała ekologicznego bidonu z filtrem, wielokrotnego użytku. Wlewała do niego wodę z kranu, dzięki czemu oszczędzała na wodzie w jednorazowych butelkach. – Poza destylowaną...

– Właśnie! – krzyknął Gabriel. – Nasza planeta wodą stoi! Wodą i powietrzem! Więc skoro inni już sprzedają wodę, my sprzedawajmy powietrze! – Okręcił się wokół własnej osi, rozchylając ramiona, i pokazując nam tym samym, że produktu mamy w bród, darmowego.

– Ale jak? – spytał Darek. – Jak mamy sprzedawać powietrze? Z wodą może się to udało, bo jest płynna, można ją nalać do butelek, zaetykietować, wymienić, jakie ma minerały, datę spożycia, no wiecie. Ale powietrze?

– Tak samo – odparł Gabriel. – Wystarczy opakowanie. I jakaś rurka, którą mogliby to powietrze wdychać... Opakowanie zaetykietujemy, napiszemy na nim, że to CZYSTE POWIETRZE. Moment jest idealny, idzie jesień, potem zima, w miastach smog, więc czyste powietrze będzie na wagę złota!

– Kurde – westchnąłem z uznaniem. – Dobry plan.

– Ale gdzie będziemy je łapać? – dopytywał Karol.

Gabriel spojrzał na niego z politowaniem.

– Wszędzie, kolego. Wszędzie. Powietrze jest wszędzie. Jak woda.

– No jednak oni tę wodę czerpią z krystalicznie czystych ujęć – zauważył Karol.

– My przywieziemy górskie – zadeklarował Gabriel. – Poproszę ciotkę z Brennej, żeby nam kilka pudeł tego powietrza przysłała. Może być, panie dociekliwy?

Karol pokiwał głową.

– No dobrze – zgodził się po namyśle. – Górskie to górskie. Ale czy przez karton nie ucieknie? Szparkami.

– On ma rację – wtrącił Kostrzeba. – Musimy mieć szklane opakowania albo plastikowe, inaczej ludzie nie kupią. Ja bym nie kupił powietrza z kartonu.

– A z butelki? – dopytał Gabriel.

Kostrzeba przymknął oczy. Myślał.

– No... Czyste, górskie powietrze zimą, gdy będzie smog, z butelki... Może i bym się skusił.

– Wymyślimy haselka „Dbaj o swoje płuca”, „Oddychaj czystym powietrzem, żyj dłużej” i tym podobne – ciągnął Gabriel. – Zrobi się całą kampanię reklamową. Na koszt Borcucha, powiemu mu, że



poszło na promocję szczoteczek, jak z tymi ulotkami, cośmy je produkowali, by zniszczyć Ekoszczotunię.

– Skąd weźmiemy opakowania? – spytał Darek.

– Z Chin. Słoiki się kupi. Takie zakręcane, z rurką. To jedyny nasz koszt, ale to grosze. Rurkę od góry się zaklei. Doda się etykiety i już.

– Tu będziemy pakować? W magazynie? Przecież Borcuch zauważy słoiki – wyraził wątpliwość Paweł.

– Panowie. – Gabriel spojrział na nas pewnie. – Dział produkcji stoi. Nie tłuką szczoteczek. Niech pakują powietrze do słoików, zaklejają rurki, etykietują. Tam Borcuch raczej nie zagląda, bo mu za bardzo pyli nylonem.

– Racja. – Pokiwałem głową z uznaniem.

– Więc musimy wtajemniczyć koleśki z produkcji – zauważył Darek.

Skrzywiłem usta, nie znośm tych dupków. Ale co zrobić, pomysł z powietrzem był dobry, a oni byli członkami mafii, trudno nie skorzystać z działu produkcji przy takim działaniu.

– Ale właściwie jak będziemy tę kasę prac tym powietrzem? – zagał Bartek, informatyk.

– Założymy firmę, będzie na legalu. Najpierw zrobimy objazd po wszelkich imprezach ekologicznych, targach, festynach – tam sprzedamy pierwszą partię, potem będziemy podnosić i podnosić ceny. I prac tę naszą kasę.

– Łapię, łapię – zapalił się księgowy.

– To trochę potrwa, panowie – przyznał szczerze Gabriel. – Zanim rozkręcimy biznes, minie pewnie sporo czasu, musimy to robić ostrożnie, ale uważam, że gra jest warta świeczki. Po pierwsze wypierzemy, co trzeba, a po drugie może się okazać, że trafiliśmy z powietrzem na żyłę złota, jak ci z wodą. Wtedy mamy zarobek podwójny.

– Świetnie – przyklasnąłem. – A zatem do roboty.

Wychodziliśmy ze spotkania podbudowani wizją miliardów słoików wypełnionych powietrzem. Jednocześnie wiedzieliśmy, że Gabriel ma rację i przyjdzie nam trochę poczekać, zanim ta firma rzeczywiście ruszy. Nie ustawialiśmy zatem w poszukiwaniu innych pomysłów na pralnię, tego dnia jednak byliśmy wykończeni myśleniem.

\*\*\*

Wszystko się układało, choć czasem nie po naszej myśli. Już kilka dni po zebraniu, na którym niemal zawiązaliśmy spółkę sprzedającą czyste górskie powietrze, Darek w trybie pilnym zwołał kolejne. Nie chciał zdradzić, o co chodzi, ale był zdenerwowany. Powiedział, że nie ma zamiaru się powtarzać, dlatego musimy spotkać się wszyscy i omówić sprawy niecierpiące zwłoki.

Wystraszyłem się. Choć nie aż tak bardzo, jak gdyby jakieś sprawy chciał omówić Artur będący w ciągłym kontakcie z przekupionymi glinami. Ale się wystraszyłem, bo Darek nie zwoływał samodzielnie spotkań. Pomyślałem, że może ktoś nas zdradził i znów trzeba będzie posłużyć się palcem ojca.

Wieczorem zajęliśmy zwyczajowe miejsca w magazynie. Darek stał.

– Przejdę od razu do rzeczy – powiedział. – Odkryłem, że jakieś cwaniaki już sprzedają powietrze.

– Kto?

– Wszyscy, kurwa! – warknął Darek.

– Ktoś sprzedał nasz pomysł? – zdziwił się Kostrzeba. – Ktoś z nas? – przebiegł wzrokiem po obecnych.

– Od dawna sprzedają, wystarczy przejrzeć internet, Gabrys tego nie zrobił – uściślił Darek. – Jak widać, nie jesteśmy tacy genialni. Ktoś był przed nami. Sprzedają powietrze w puszkach, niektórzy ze specjalnym atomizerem. Możesz sobie kupić czteropak powietrza z Nowej Zelandii. Albo z Kanady. Albo, kuźwa, z Himalajów. A jeśli jesteś świrem, to nawet możesz kupić zanieczyszczone powietrze z Pekinu. Też w puszcze. Więc dlaczego ktoś miałby chcieć kupować od nas. W Polsce też już robią...

– Ale górskie? Z Brennej? – spytał słabo Gabriel.

– Nieważne skąd. Ważne, że już jest. To dla nas podwójna robota, by wykosić konkurencję. Nie mówię, że to się nie uda, ale...

– A ja już zamówiłem słoiki... – przyznał Gabriel. – Pięćset sztuk na początek. I wtajemniczyłem produkcję, już ustawili maszyny pod nowe etykiety.

– Zrobimy te pięćset sztuk – zdecydowałem. – Otwórz działalność gospodarczą, sprzedaj i wypierz, ile się da, potem najwyżej zamkniesz firmę. Ale może powietrze z Brennej to akurat będzie coś, na co ludzie czekają...

– No może... – powiedział smutno Gabriel, zapał trochę mu minął.

– A kolesie z produkcji coś komentowali? – zainteresowałem się.

– Nie. Pytali tylko o tę broń, znowu.

– Cholera. Patałachy jedne. Co się tak upierają?

Gabriel wzruszył ramionami.

– No takie mają wyobrażenia – odparł po chwili. – Chyba nakręcają się, że jakaś uzbrojona inna grupa mogłaby wpaść na halę produkcyjną i oni musieliby się bronić, a nie mają czym.

– Naoglądali się filmów – ocenił Piotr.

– Tak czy siak, warto byłoby mieć jakąś broń – przyznał Karol. – Dla nas. Nie dla nich. Chodzi o to, żeby zobaczyli, że mamy.

– O nie, żadnej broni – zaproponowała Jolanta.

– Jesteśmy mafią – zauważył Karol, patrząc na Jolę wymownie. – Tak tylko przypominam.

– Zgadzam się, najwyższa pora załatwić broń – powiedział Darek. – Może mógłbyś poprosić Mentora, żeby odpalił nam choć kilka sztuk?

– Nie ma szans – odparłem zwięźle, ale po chwili dodałem: – Już z nim o tym gadałem. Broń to towar deficytowy, sami musimy sobie radzić. Na razie dajemy radę bez – podkreśliłem.

– Ale marketing... – wtrącił Gabriel. – Marketingowo broń by nam pomogła. Choć kilka pistoletów... To by się po całej organizacji rozeszło, że w ogóle mamy.

Pokiwałem głową, miał rację. Od strony marketingowej byłoby dobrze pokazać się z jakąś bronią, choć raz.

– Atrapy – zaproponowała Jolanta. – Można przecież kupić repliki, na pewno są takie, które wyglądają jak prawdziwe.

– To ostateczność – zgodził się Karol. – Znaczący się pozna. A nie możemy wykluczyć, że są wśród nas jacyś znawcy. Trefna broń to byłaby wpadka.

– Wizerunkowa, poważna – przyznał Gabriel.

– Ale skąd wziąć prawdziwą broń? – spytałem. – Żaden z nas nie ma pozwolenia.

Przez chwilę milczeliśmy, każdy pochłonięty swoimi myślami.

– Zabierzemy policji – zaproponował Paweł. – Oni mają.

– Jasne. – Kostrzeba wywrócił oczami. – Podejdzmy do patrolu i weźmiemy sobie ich pistolety?

Bardzo śmieszne.

– Ukradniemy – powiedział Paweł. – Wykradniemy – uściślił.

– Jak?

Znów nastała cisza. Trudno było sobie wyobrazić taką kradzież. Podejść jakoś śpiących policjantów? Ale gdzie ich znaleźć, żeby akurat spali? Zrobić sztuczny tłum i wyrwać broń? Na pewno mają jakieś procedury, z pewnością jest odpowiednio przypięta i zabezpieczona.

– Jak? – powtórzyłem z naciskiem, czas leciał, nie chciało mi się gadać o broni.

– Z komendy – zdecydował Paweł.

Kostrzeba znów wywrócił oczami. Pokręcił przy tym głową z dezaprobatą.

– Podłożymy bombę – wyjaśnił Paweł.

– Masz jakąś? – spytał sarkastycznie Darek.

– To przenośnia. Podłożymy prosty ładunek wybuchowy, każdy głupi potrafi go zrobić z trotylu czy coś...

– Chcesz zabić wszystkich policjantów, którzy będą na komendzie? – spytałem. – Wiesz, co nas wtedy czeka?

– Racja – przyznał Paweł. – Lepiej nie zadzierać z nimi aż tak. Nie zabijemy więc. Tylko ogłuszmy. Będą nieprzytomni, a w tym czasie my, w kominiarkach i rękawiczkach, obrobimy komisariat.

– Myśl niegłupia... – przyznał Gabriel. – Ale jak chcesz podłożyć ładunek?

– Wyślemy paczkę – odparł natychmiast Paweł. – W wysyłaniu jesteśmy najlepsi – podkreślił z dumą.

– Ale to komisariat.

– Komenda główna – uściślił Paweł. – Tam mają najwięcej broni.

– Tym bardziej. Wszystkie przesyłki są dokładnie sprawdzane, jak to sobie wyobrażasz? Jeśli otworzy ją ten, kto siedzi w rejestracji, ogłuszysz tylko jego, ewentualnie gości, a uderzenie pójdzie w drzwi wejściowe. Ten ładunek musiałby zostać odpalony gdzieś w głębi budynku, żeby miało to sens.

Paweł się zamyślił.

– Więc wyślemy prezent – ożywił się po chwili. – Komendantowi. A prezentu dla komendanta nikt nie odważy się otworzyć. – Uśmiechnął się szelmowsko.

– No nie wiem... To w końcu policja... – zadumał się Piotr.

– A prezent to prezent. Każdy lubi prezenty, nieprawdaż? Ładnie opakujemy. Z wstążeczką.

– Niby od kogo ten prezent? – drażył Piotr. – Bo od zwykłego Kowalskiego to przecież nie przejdzie. Po co miałby Kowalski prezenty komendantowi przesyłać.

– Czekajcie! – krzyknął Darek, wpatrzony w swojego smartfona, na którym czegoś gorączkowo szukał. – Pod koniec sierpnia było mnóstwo artykułów, że polska policja... O, mam! – Ucieszył się, otwierając odpowiednią stronę. – Że polska policja pomogła kolegom z Czech w schwytaniu groźnego przestępcy. Ukrywał się na terenie naszego kraju, w jakiejś szopie. Ale go namierzyli. Seryjny zabójca, nie byle co. I jest wywiad z czeskim komendantem, który bardzo dziękuje za pomoc.

– Dobrze! Można to wykorzystać! – zauważył Karol.

– Ale jeśli tamten komendant pod koniec sierpnia dziękował, a to było już trzy tygodnie temu, to może nawet wysłał jakiś dziękczynny prezent. Drugiego raczej nie przyjmą – zadumał się Kostrzeba.

– Więc prezent będzie od czeskiego ministra. Albo od prezydenta! W końcu zbiegły seryjny zabójca to sprawa wręcz polityczna. Prezydent Czech wyśle prezent z podziękowaniem.

– No nie wiem... – znów Piotr wyraził wątpliwość.

– Ty byś pogardził prezentem od prezydenta? – zdziwił się Karol.

– To świetny plan. Wypali – stwierdził stanowczo Darek. Inni po krótkiej chwili przyznali mu rację.

Jedynie Piotr oraz ja mieliśmy wątpliwości. Jakoś nie chciało mi się wierzyć, że komendant policji przyjmie rzekomy prezent od prezydenta Czech i tak po prostu go otworzy. To raczej nie było prawdopodobne.

Ale chłopaki się napaliły. Bartek anonimowo wyszukał w sieci informacje o tym, jak skonstruować ładunek, który ogłuszy, ale nie zabije, Paweł zobligował się, że go wykona, a Jolanta, choć z początku przeciwna, obiecała ładnie ten prezent zapakować. Godzina zero wyznaczona została na kolejny poniedziałek. Przesyłkę jak zwykle miał dostarczyć Piotr, a reszta miała czekać w ukryciu na parkingu pod komendą, aż nastąpi wybuch. Wtedy mieli założyć kominiarki i rękawiczki, wpaść do budynku i ogłocić go z wszelkiej broni, jaką tam znajdą.

Plan niby prosty, ale tak niewiarygodnie naiwny, wręcz głupi, że gdyby ktoś chciałby się ze mną wtedy założyć, postawiłbym milion, że się nie uda. Byłem pewien, że – nawet jeśli dostarczą tę przesyłkę – nie zostanie ona otwarta, chyba że przez saperów.

A jednak.

Dobrze, że nikt się nie zakładał. Straciłbym ten cholerny – nieistniejący jeszcze zresztą – milion, no kto by pomyślał!

Kurier specjalny, w osobie Pasternaka w przebraniu, dostarczył przesyłkę, i to do rąk własnych! Komendant akurat był w hallu, zgarnął pudło, ucieszony, że prezydent Czech wykazał się takim gestem. Nie dopytywał o szczegóły, nie pytał nawet o dokumenty dostawy, choć chłopaki je też na wszelki wypadek odpowiednio spreparowały. Podrobili nawet prezydencką pieczęć. Wszystkie napisy były po czesku.

Z tego, co opowiadał Pasternak, komendant był nieco zmieszany podarunkiem, ale poprosił obecnego tam policjanta o zrobienie kilku zdjęć z tym pięknym pudłem, owiniętym białymi, czerwonymi i niebieskimi wstążkami, symbolizującymi kolory Czech.

Pasternak, w obawie, że komendant zapragnie tę przesyłkę otwierać na jego oczach, uklonił się i wycofał, a potem ruszył szybkim krokiem, następnie biegiem, aż na koniec ulicy.

Ale komendant musiał wziąć ze sobą pudełko i zanieść je do swojego gabinetu, bo przez dłuższy czas nic spektakularnego się nie działo.

Aż nastąpiła eksplozja.

– Takie pierdnięcie raczej – mówił Paweł, wyraźnie rozczarowany zbyt małą siłą wybuchu. – Coś musiałem źle wyliczyć... Przepraszam.

Ale eksplozja nastąpiła i wcale nie takie pierdnięcie, bo wybuch słychać było na parkingu, a z drugiego piętra budynku posypały się szyby.

Chłopaki natychmiast ruszyły. Byli już w kominiarkach, wystarczyło wbiec do obiektu. Jak dobrze, że Darek ma sokoli wzrok i już z daleka zauważył, że w hallu komendy jest masa policji, chyba zaczęli się ewakuować.

– Kurwa mać! – krzyczał Darek. – Wycofujemy się!

– Dlaczego? – krzyczał Karol, on nie miał aż tak dobrego wzroku.

– Gliny na horyzoncie! – cedził Darek, ściągnął kominiarkę i biegł już w przeciwnym kierunku, na parking.

– Gdzie? Gdzie? – dopytywali koledzy, ale posłusznie zdjęli swoje wdzianka i ruszyli za Darkiem.

Na szczęście, w całym tym zamieszaniu spowodowanym wybuchem w komendzie, policjanci nie zwrócili uwagi na grupkę przemykającą między samochodami.

Kilka dni później oglądaliśmy wiadomości, w których nieszczęsny, Bogu ducha winien komendant, z plastrem na uchu, tłumaczył się z wpadki. A potem jeszcze nieszczęsny prezydent Czech, też Bogu ducha winien, zapewniał, że nie przypomina sobie, żeby wysłał polskiemu komendantowi jakąś bombę.

– To nieporozumienie – oświadczył. – To na pewno nie ja.

Potem przez kilka dni w telewizjach i radiach przetaczały się długie dyskusje, w których specjaliści wymieniali się uwagami na temat tego zdarzenia. Niektórzy krytykowali komendanta, że wykazał się niefrasobliwością i nie zachował zasad bezpieczeństwa po otrzymaniu paczki, inni go bronili, że przecież to prezent, więc niefrasobliwością byłoby wzywanie saperów do otwarcia każdego prezentu, jaki się dostaje. Inni jeszcze wzywali prezydenta Czech do powołania specjalnej komisji, która odkryłaby, kto z jego otoczenia pokusił się o wysłanie tego prezentu. Niektórzy wskazywali, że paczkę mógł wysłać ukryty wspólnik schwytanego zabójcy. Wielu jednak było przekonanych, że to zwykła pomyłka, że być może prezydent, do czego teraz się nie przyzna, chciał naprawdę uhonorować naszego komendanta, zlecił podwładnemu wysłanie paczuszki, a ten nie do końca zrozumiał, co dokładnie ma wysłać. Coś mu się może pomyliło przy pakowaniu...

– No taki czeski błąd – podsumowała dziennikarka i podchwycili to kolejni.

Oglądaliśmy to wszystko, tłumiąc w sobie sprzeczne uczucia. Z jednej strony cieszyło nas, a mnie dodatkowo zdumiewało, że ten plan się powiódł. Z drugiej byliśmy rozczarowani, bo powiódł się, ale nie do końca. Wciąż nie mieliśmy broni.

– Drugiego prezentu już raczej nie przyjmą – ocenił smutno Kostrzeba.

Nie mieliśmy na razie innych pomysłów, dlatego zdecydowałem, byśmy na razie zamówili te repliki, zawsze coś.

– Nie będziemy im pokazywać – wyjaśniłem, mając na myśli koleś z produkcji. – Wystarczy, że czasem coś tam się spod marynarki wychyli...

– Racja – przyznał Gabriel. – Marketing szeptany. Jeden drugiemu szepnie i potem już pójdzie. Wszyscy się dowiedzą, że mamy spluwy. Niech żyją nadzieją, że kiedyś oni też będą mieli.

## Rozdział 12

Sporo już osiągnęliśmy, wciąż jednak nie dawała mi spokoju myśl, co zrobić, abyśmy byli postrzegani przez społeczeństwo jako groźna mafia? Łatwiej by wtedy było ściągać haracze, okupy, wyłudzać kasę, i to wszystko bez rozbojów. Wtedy już na sam dźwięk mojego imienia – Don Alberto – wszyscy by się kulili ze strachu i robili, co każą im moi ludzie. „Przysłał nas Don Alberto, prosimy o kasę” – snułem w marzeniach. Wiadomo, że prawdziwy strach budzą tak naprawdę tylko morderstwa albo chociaż brutalne okaleczenia. Obciąć rękę, nogę, głowę. Tak robią prawdziwi włoscy mafiosi. Poważna mafia musi mieć trupy na koncie. Dopiero wtedy wszyscy czują przed nią respekt.

Ale zabijać? Okaleczać? – aż się wzdrygnąłem na tę myśl.

Nagle mnie olśniło. Marketing szeptany! – przypomniałem sobie słowa, tak chętnie ostatnio wymawiane przez Gabriela. Jakież to proste! Nie trzeba wcale zabijać, aby mieć trupa. Wystarczy się do niego przyznać. Tak robią przecież niektóre organizacje terrorystyczne. Gdy zdarza się spektakularny zamach bombowy, przyznają się do niego, chociaż faktycznie nie mieli z nim nic do czynienia. Ale zyskują rozgłos i budzą powszechny strach. Marketing szeptany! Jest szansa, że taki szept dojdzie także do mediów.

Tylko gdzie znaleźć trupa? Najlepiej świeżego, te ze szpitalnych chłodni się już nie nadają.

Kolejny dzień był pracowity, bo przyszły te atrapy, ale musieliśmy je zareklamować, ponieważ nie mieściły się w kaburach, przysłanych oddzielnie.

– Co za szajs – warknął Darek.

– Wyglądają porządnie – pochwalił Karol, obracając w dłoni ciężką replikę pistoletu.

– Szajs. Spójrz tylko, jakie toporne łączenia – upierał się Darek.

– E tam, z daleka nie widać, a już na pewno nie w kaburze. Kabury trzeba wymienić – stwierdził Karol.

Ja nic nie mówiłem, było mi wszystko jedno. Czułem się głodny, a Franco z firmowego baru był właśnie na jakiejś akcji, nie pytałem nawet gdzie, ważne, żeby przyniósł kasę. W końcu namówiłem Karola i Darka, abyśmy pojechali do McDonalda przegryźć coś na szybko, by umysł lepiej pracował.

Prawie już ruszaliśmy, kiedy obok samochodu pojawił się Paweł.

– Słyszałem, że jedziecie do maka. Mogę z wami? Ja tylko po fajki, tam obok jest stacja benzynowa – oznajmił.

Podjechaliśmy do kolejki McDrive, wydającej na wynos. Szczerbaty, jak już zaczęliśmy Pawła nazywać, pobiegł po fajki na stację. Ja w tym czasie podzieliłem się z kumplami swoimi przemyśleniami dotyczącymi przyznawania się do obcych trupów. Zrozumieli w mig i przyklasnęli idei, nie mieliśmy jednak pomysłów, gdzie szukać takich ciał. Teraz z myśleniem było jeszcze trudniej, bo coraz bardziej burczało nam w brzuchach. A kolejka do okienka zdawała się wydłużać, zamiast maleć. Patrzyliśmy smętnie przed siebie, zastanawiając się już tylko nad tym, który zestaw zamówić, aż nagle...

– Policja – oznajmiłem, doznając olśnienia. – Radiowóz przed nami w kolejce.

– Co z tego? Też pewnie głodni – leniwie stwierdził Darek. – Myślisz, że się tu wcisnęli? Nie zwróciłem uwagi...

– Szukamy przecież trupa.

– No i? Uważasz, że przyjdzie i powie: Dzień dobry, szukaliście mnie? Akurat schowałem się w policyjnym wozie. – Zaśmiał się Karol.

Nie zareagowałem na ten durny żarcik. Właściwie miałem coś prychnąć, ale w tym momencie rozbłysło przed nami niebieskie światło. Radiowóz włączył sygnały świetlne i dźwiękowe i szybko wyjechał z kolejki.

– Za nimi! – zakomenderowałem, ruszając za radiowozem. – Pewnie pędzą łapać jakiegoś przestępcę, może nawet mordercę. Tam, dokąd jedzie policja, z pewnością dzieje się coś poważnego, to właśnie chciałem wam powiedzieć. Trup sam nie przyjdzie, ale możemy jeździć za policją, aż w końcu natrafimy na trupa i wtedy anonimowo w mediach się do niego przyznamy.

– Racja, masz głowę na karku, szefie – niemal jednogłośnie potwierdzili tę oczywistą prawdę.

Dosłownie w ostatniej chwili wskoczył do samochodu Szczerbaty. Zziąjany, lekko oszołomiony sytuacją.

– Co się dzieje? Dlaczego tak szybko odjeżdżacie, w dodatku bez jedzenia?

– Gonimy radiowóz – oznajmił podekscytowany Darek.

Paweł spojrział na niego zdumiony.

– Ale przecież to my jesteśmy mafią. To chyba nas policja powinna gonić, a nie my policję.

– Nie słyszałeś, że najciemniej jest pod latarnią? Jedziemy za nimi, bo pewnie znaleźli naszego trupa.

– Naszego? – Pawła nie opuszczało zdziwienie.

Karol pokrótce streścił mu plan. Wszyscy byliśmy już teraz podekscytowani, tym bardziej że usłyszeliśmy więcej policyjnych syren, co wskazywało, że gdzieś niedaleko stało się coś naprawdę poważnego.

Jechaliśmy szybko, nie spuszczać z oczu radiowozu, ale na tyle daleko za nimi, żeby nie ryzykować bardzo wysokiego mandatu za jazdę za pojazdem uprzywilejowanym. Na szczęście ulice o tej porze nie były zapchane i dało radę przemieszczać się w miarę sprawnie. Byliśmy mocno podjarani wizją uczestniczenia w akcji policyjnej, o której z pewnością będą pisały gazety i pokażą ją kanały informacyjne. A gdzieś w tle na pewno pojawią się też sugestie, że to prawdopodobnie sprawa brutalnej mafii Don Alberta. Dodadzą zapewne, że to źródła niepotwierdzone, ale mój pseudonim, Don Alberto, pójdzie w eter. Marzenia rozpałały moją wyobraźnię – oby tylko rzeczywiście jechali do jakiegoś rozboju albo przynajmniej obławy na groźnego przestępcę, do którego moglibyśmy się przyznać.

Minąwszy tablicę z nazwą osiedla „Anin”, już z daleka dostrzegliśmy mnóstwo błyskających niebieskich świateł. Kiedy podjechaliśmy trochę bliżej, było widać, że to światła policyjne i pogotowia ratunkowego przed jakąś dużą posesją. Na wszelki wypadek zatrzymaliśmy samochód w pewnej odległości, aby za bardzo się nie ujawniać.

– Dalej musimy pójść pieszo, podejść jak najbliżej i wy badać, co takiego się wydarzyło, że aż tyle policji zjechało – powiedziałem.

– Bez wątpienia gruba sprawa – ocenił Darek z miną znawcy.

– Pójdziemy wzdłuż ogrodzenia, niby że przypadkiem tędy przechodzimy – poinstruowałem, wysiadając z samochodu.

– Ale wszyscy? Może lepiej, jeśli tylko jeden pójdzie, bo potem mogą nas rozpoznać – zasugerował Karol, po czym dodał: – najlepiej Szczerbaty.

– Dlaczego ja? – zachnął się Paweł.

– Bo ciebie nikt nie zna – stwierdził Karol.

– No tak, poza milionami tych, którzy oglądali go w migawkach z eventu Ekoszczotuni. Poza tym wcale nie jest charakterystyczny... – zauważył z przekąsem Darek.

– Więc ty idź – uznał Karol.

– Aaa... – wydusił z siebie w odpowiedzi Darek, co miało pewnie znaczyć, że... przyjął do wiadomości?

– Pójdziemy wszyscy – zdecydowałem – bo stara mafijna zasada mówi, że im więcej twarzy do zapamiętania, tym trudniej je potem rozpoznać. Jedną można zapamiętać, cztery trudniej.

Wysokie ogrodzenie i tuje gęsto rosnące od wewnątrz mocno ograniczały widok na posesję. Ale na szczęście brama wjazdowa była szeroko otwarta. Przy niej stał niewielki domek z małym okienkiem skierowanym do wjazdu, zapewne budynek ochrony. Podeszliśmy pod bramę, przez którą widać było ceglasto wybrukowaną drogę dojazdową i okazałą, elegancką willę oraz krzątających się przed nią policjantów.

– Proszę stąd odejść – dobiegł nas głos ochroniarza wychodzącego z domku.

– Tak, tak, oczywiście... bo my tylko tędy przechodziliśmy i tak z ciekawości się zatrzymaliśmy. Tyle policji, coś się stało?

– Proszę odejść, nic nie mogę powiedzieć – powiedział głosem nieznoszącym sprzeciwu, jednocześnie przyjmując wyprężoną postawę wskazującą, że on tu rządzi.

– Rozumiemy, ale może chociaż tylko, czy ktoś zginął? – zagadałem przyjaźnie. – Przecież i tak będzie o tym głośno...

– Nie, i na tym koniec, przykro mi, ale obowiązuje mnie tajemnica ochroniarska – odpowiedział mężczyzna.

– O... to się dobrze składa – podchwyciłem – bo my też z ochrony, z Warszawy, znaczy się ze

Śródmieścia. Też ciągle mamy z tym problem, każdy chce wszystko wiedzieć, a my nie możemy mówić, bo tajemnica, i wtedy traktują nas jak jakichś tępaków, a nie jak prawdziwych mężczyzn strzegących bezpieczeństwa obiektu i przebywających tam ludzi.

– No... co racja, to racja, dobrze pan mówisz – zareagował przyjaźniejszym już głosem. – Traktują nas jak jakieś popychadła, ot, nawet taki elegancik pod krawatem, co tu przyjechał, chciał, żebym mu drzwi otwierał, kłaniał się, a co to ja sługa jego jestem? A teraz... niech mu ziemia lekką będzie, mściwy to ja nie jestem, ale...

– Nie żyje? – spytałem podekscytowany.

– No... nie mogę powiedzieć, tajemnica.

– Nam można, po znajomości, przecież tajemnica nas też obowiązuje... – Mrugnąłem porozumiewawczo.

– No nie wiem – zamyślił się zbity z tropu. – Tajemnica to tajemnica, ale skoro wy też z ochrony... to chyba mogę – wypalił. – Ale tylko panu, lepiej, żeby za dużo osób nie wiedziało.

– Racja – przyznałem ugodowo i dałem znać kolegom, żeby się oddalili.

Ochroniarz odczekał chwilę, po czym podszedł do mnie tak blisko, że poczułem jego – zaskakująco świeży – oddech, chyba dopiero co ssał miętówki.

– Masakra, panie, kupa krwi, dwa trupy – cicho szepnął, lękliwie rozglądając się dookoła. – Wszędzie kamery, czujki, alarmy i nic, panie, nikt nic nie wie, nikt nic nie widział, aż strach tu być.

O mało nie podskoczyłem z radości. Aż dwa trupy, świeże, dopiero co zamordowane. Szczęśliwy dzień mój!

Zachowałem jednak powagę, jak przystało na szefa mafii, i równie stłumionym, tajemniczym, a zarazem jakby zamyślonym głosem ciągnąłem temat:

– To na pewno sprawa Don Alberta i jego ludzi, nie sądzi pan?

– Pierwsze słyszę... Kto to? – spytał wyraźnie zadowolony.

– Mafia, proszę pana, mafia... Cosa Nostra, z Włoch, nie obito się panu o uszy? Ten Don Alberto – powtórzyłem. – To ich szef.

– Uważa pan, że to oni?

– Na to wygląda. Okrutne zbrodnie to ich znak rozpoznawczy. Oni są jak zjawy pojawiające się znikąd, żadne alarmy ich nie powstrzymują, sieją postrach i wszyscy już o nich wiedzą, poza policją... Jeszcze – szepnąłem mu do ucha.

– Mafia? – z wyraźnym już strachem w głosie ni to zapytał, ni to stwierdził. – To przecież i mnie mogli zabić, przecież świadków nie zostawiają.

– Świadków nie, ale pan tu, przy bramie, nic nie widział, więc po co mieliby pana zabijać – pocieszałem go, powoli się wycofując. – Niestety, musimy już lecieć, wszystkiego dobrego. Bardzo współczuję, że i tu dotarli. A... i na wszelki wypadek proszę kolegom powiedzieć o tym Don Albercie, my, ochroniarze, musimy trzymać sztamę, lepiej dmuchać na zimne, zanim znów po kogoś przyjdą.

– Tak, tak, oczywiście, dziękuję i do widzenia – odparł nieco skołowany, ale też z miną, jakby odkrył pradawną tajemnicę. Nie miałem wątpliwości, że wieść o Don Albercie pójdzie w eter.

– Dobry jesteś, szefie – przyznał Darek, kiedy się oddaliliśmy. – Mistrzostwo świata, szacun.

– Eee tam, pestka – odparłem. Ale w głębi czułem dumę.

Wracaliśmy okrutnie głodni, ale szczęśliwi. Nie dość, że jeden trup, znalazły się aż dwa! Teraz pozostało sprytnie i szybko się do nich przyznać w mediach. I zanim policja oświadczy coś innego. Jeśli będziemy pierwsi, media newsa od razu podchwycą, zaczną weryfikować informacje, skontaktują się zapewne nie tylko z komisariatem w Aninie, może nawet z komendą główną policji. Więc i policja się o nas dowie. Ważne, by im potwierdzili, że były dwa trupy. Reszta to czysty marketing.

\*\*\*

A jednak dziennikarstwo naprawdę schodzi na psy. Nie było szczególnych weryfikacji. Kiedy pierwsze wozy transmisyjne podjechały pod willę, co oglądaliśmy z chłopakami na żywo w internecie, zajądając się chińszczyzną na wynos, policja nie wydała jeszcze żadnego oświadczenia. Wiadomo było tylko tyle, że w tym domu dokonano masakry. Kto zginął? Dlaczego? Tego na razie nie ujawniano. Dlatego niektórzy, ci najbardziej niecierpliwi i żądni sensacji, przedstawiciele mediów postawili przed kamerami

ochroniarza z posesji i kazali mu mówić. Mężczyzna nie chciał, tłumacząc się tajemnicą ochroniarską, ale nie dawali mu spokoju, jak sępy, i wreszcie się ugiął. Mrużąc oczy przed oślepiającym go światłem reflektorów, powiedział:

– Nie zostałem upoważniony do udzielania informacji, jestem tylko ochroniarzem zatrudnionym przez prywatną firmę, ochraniając wjazd na posesję, nawet nie wiem, co się stało w środku.

– Co z ciebie za ochroniarz, żeś nie ochronił? – krzyknął ktoś z tłumu gapiów stojących nieopodal.

I wtedy ten spokojny i opanowany dotychczas człowiek spojrzął w głąb tłumu, ciskając wzrokiem błyskawice.

– Taki mądry jesteś?! – krzyknął. – To proszę, sam ochraniaj, zobacz, z czym to się je! Ciekawe, czy będziesz taki chojrak, gdy wpadnie Don Alberto i jego mafia! Ciekawe!

Zagrzał się. A my przed laptopem o mało nie zakrzusiliśmy się sajgonkami.

– Naprawdę to powiedział? – nie dowierzał Darek.

– Czekaj – uciszyłem kolegę, bo ochroniarz, wyszedłszy już z pola widzenia kamery, krzychał coś jeszcze.

– Wymądrzać się to każdy umie! Każdy pierwszy do pouczania innych, cholera. Mądrała się znalazł – utyskiwał.

Kamera się przesunęła i pokazała dziennikarkę, która ruszyła za ochroniarzem z wysuniętym do niego mikrofonem.

– Powiedział pan „Don Alberto?”, „mafia”? Mógłby pan rozwinąć?

– Ja nic nie wiem – odburknął. – Tamtego niech pani pyta. – Spojrzął wściekle przez ramię w kierunku gapiów. – Taki mądry. Nie ochroniłem, kuźwa. A bo co ja jestem, Duch Święty, żeby być wszędzie? Żeby mieć każdego na oku? Nie ochroniłem. Mądrała się znalazł.

Nie powiedział nic więcej. Zamknął się w swojej budce i zatrzaskał drzwi.

A potem wszystko poszło z prędkością błyskawicy. Marketing, wcale nie szeptany, tylko wykrzyczany, zadziałał lepiej niż sam Gabriel mógłby to sobie wymarzyć. Internet grzał się od spekulacji na temat mafii oraz Don Alberta. Dziennikarze, zamiast studzić, podgrzewali atmosferę. Tak samo my, bo przecież natychmiast powiadomiliśmy Bartka, że trzeba szybko uruchomić boty, które na wszelkich forach, w mediach społecznościowych i w komentarzach pod artykułami będą poświadczają, że Cosa Nostra w Polsce działa pręźnie pod wodzą Don Alberta i jego zaufanych ludzi.

To, co się działo w kilku kolejnych dniach, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. O ile telewizje niezbyt chętnie podjęły ten temat, podkreślając, że informacja, którą jako pierwsza zdobyła dziennikarka tej stacji, nie została jeszcze potwierdzona, o tyle portale internetowe nie ustawały w wysiłkach, by gorący temat ciągle się klikał.

Nie wiedzieć skąd, dziennikarze zdobyli mój adres mailowy i zaczęły spływać pytania o masakrę w Aninie.

„Potwierdzam. To my” – odpisywałem w dwóch zdaniach. Ignorowałem prośby o szczegóły.

To było coś niesamowitego. Nawet kiedy policja wydała oświadczenie, dementując pogłoski o działaniu mafii i jej powiązaniach z masakrą w Aninie, algorytmy internetu zrzuciły tę wiadomość gdzieś w czeluść. Na najwyższych pozycjach wciąż znajdowały się filmiki z ochroniarzem oraz artykuły z krzyżującymi nagłówkami: „Cosa Nostra w Polsce!”, „Don Alberto nowym Ojcem Chrześnym”.

Podobało mi się to. Napawałem się sukcesem. Napawali się wszyscy. Nawet Gabriel wyraził uznanie i szczerze nam pogratulował.

Niestety gorące tematy mają to do siebie, że szybko dochodzą do wrzenia, a potem równie szybko stygną. Po tygodniu znalazły się inne, a my zniknęliśmy z nagłówków internetowych portali.

– Trzeba będzie niebawem przyznać się do kolejnego trupa – podsumował Darek.

– Kolejny taki spektakularny, w postaci dwóch elegancików zamordowanych w wypasionej willi w tajemniczych okolicznościach, prędko się chyba nie trafi – zauważył Karol.

– Na razie czerpmy ze źródła – zaordynował Gabriel – póki nie wyschnie. Musimy kuć żelazo, póki gorące, wysyłać kolejne żądania, teraz już stawki wzrosną. Wytypujcie co bogatszych ludzi, najlepiej tych ze świecznika, celebrytów. Tych, którzy na sto procent zaglądną w internet, a nawet z niego żyją. Na pewno nie przegapili newsów o mafii. I tym razem żadne ryby, to nie ten target. Bartek sporządzi linka z przekierowaniem do fejkowej strony, na której będą materiały spreparowane przez nas. Wpuści tym samym



wirusa, zaśmieci im komputery, smartfony, czy na czym tam klikną. I będą musieli płacić.

– W takie linki już nikt nie klika – wyraził wątpliwość Kostrzeba. – Nawet ja jestem ostrożny.

– Dlatego nie wyślemy do byle kogo, ale do celebrytów. To najczęściej narcyzi, będą ciekawi, co o nich jest pod tym linkiem – ocenił Gabriel. – I kiedy już stronka się odpali i wirus przeniknie, wyświetli się komunikat: „Z pozdrowieniami od Don Alberta”. I numer konta.

– Świetne, mnie się podoba – uznałem.

– Celebryci to pewnie od razu szybko nagłośnią sprawę – wtrącił Piotr.

– No i dobrze, dla nas to kolejna reklama – powiedział Gabriel.

– Śladu po sobie nie zostawiamy, jedynie komunikacik. Możemy się do niego potem przyznać albo nie, w zależności, jak się sprawy potoczą. Taki komunikat byle haker może spreparować – dodał Darek.

– Ciekawe, czy policja już nas ściga... – zagaiła ni stąd, ni zowąd się Jolanta. Ona jako jedyna była przerażona szumem, jaki w ostatnich dniach się wokół nas wydarzył. Nie doceniała siły marketingu. – Chciałabym najpierw wziąć ślub i trochę pożyć, zanim wyląduję w kiciu – dodała kwaśno.

– Nie złapią nas – zapewniłem. – Działamy ostrożnie, choć... szumnie – parsknąłem.

– Zaraz się zresztą dowiemy, zadzwonię do Artura, niech zaciągnie języka u glin – zaproponował Darek.

Okazało się jednak, że nikt nas nie ściga. Policjanci, choć początkowo również zaintrygowani przedziwnym komunikatem rzuconym do kamer przez ochroniarza, po przesłuchaniu mężczyzny uznali, że facet powiela plotki. Nie widział, ale coś usłyszał od innego ochroniarza, który też coś usłyszał. Miejska legenda, jak to mówią. Być może stworzona przez żartownisiów, niejakich prankerów, niewykluczone, że tych samych, którzy wysyłali ludziom ryby i filmowali ich potem zapewne z ukrycia.

Policja więc na razie nie węszyła, ale węszył jamnik prokurator, o czym oczywiście wciąż jeszcze nie wiedzieliśmy. Powiązał te wcześniejsze zgłoszenia dotyczące haraczy wymuszanych za pomocą ryb z akcją marketingową w Aninie. Ciągłe były to jednak jedynie mętne poszlaki, żadnych dowodów, że rzeczywiście coś zrobiliśmy, a nawet na to, że w ogóle istniejemy. Nie miał czego się złapać, żadnego, choćby małego śladu naszej przestępczej działalności. Gdyby go miał, prawdopodobnie skończyłaby się nasza kariera. Ale nie miał. Jak dobrze, że wybuch w komendzie zwaliliśmy na prezydenta Czech.

## Rozdział 13

Pod koniec października na cotygodniowym spotkaniu zarządu mieliśmy znów omawiać kwestię pralni. To była nagląca sprawa, bo słoiki z powietrzem nie szły wcale tak dobrze, jak byśmy tego oczekiwali. W dodatku Gabriel narzekał, że przez cały miesiąc musiał z nimi ganiać po różnych festynach i targach, gdzie ludzie robili sobie zdjęcia, dotykali, ale nie kupowali. Co prawda nie zależało nam, by ludzie je kupowali, sami je kupiliśmy, żeby wyprać kasę. Niemniej dla Gabriela ta papierkowa robota, choć z pomocą księgowego, była katorgą. Każdy słoik musiał wbić na kasę i rozliczyć. Nie mogliśmy sprzedać zbyt drogo, żeby nie zwracać na firmę zbyt wielkiej uwagi. Słoiki chodziły więc za pięćset. Tym sposobem wypraliśmy dwieście pięćdziesiąt tysięcy, z czego Gabriel musiał odprowadzić podatek.

– Mieliśmy nie płacić podatków – przypomniał.

– Dojdziemy i do tego – zapewniłem, choć jeszcze nie wiedziałem, jak to zrobimy. – Na razie musimy wypłacić legalnie tę kasę, żebyśmy mogli wreszcie z niej korzystać. Zatrudnisz nas i wypłacisz pensje. Że niby pomagaliśmy ci w sprzedaży tych słoików.

– Ja naprawdę mu pomagałem – przypomniał Karol. – Należy mi się premia?

– Nie – oświadczyłem stanowczo. – Każdy z nas ma sobie wypłacać premię za każdym razem, gdy coś zrobi? To może zaczniemy ode mnie?

– Ty już i tak masz najwięcej – zauważył Karol.

– Ale muszę się dzielić – przypomniałem i naraz zrobiło mi się ciepło na sercu, bo przecież lada dzień miała przylecieć do Polski Magda, moja cudna Donna Maria, którą wreszcie miałem zobaczyć w pełnej krasie. Wkrótce miała odbyć się jej rozprawa rozwodowa, a niedługo potem zapewne nasz ślub.

– Wypłacić pensje? – wkurzył się Gabriel. – Ty wiesz, ile z tego nam znowu zajebią? Podatki, zusy, srusy. Nic nie zostanie!

– Mamy wyjście? – spytał Piotr.

– Kurwa! – jęknął płaczliwie Darek. – Gabriel ma rację, zostaną nam jakieś grosze.

– Nie takie grosze, bez przesady – zauważyła Jolanta.

– Wózka za to jeszcze nie kupisz – powiedział Karol.

– Wózka jeszcze nie, ale jestem cierpliwa. Tymczasem wiesz, o czym marzę?

Spojrzelśmy na nią z zaciekawieni. Dotychczas wiedzieliśmy tylko, że marzy o wózku. Wiedzieliśmy, że w przyszłym roku chce wziąć ślub, wiedzieliśmy, że marzy o podróży poślubnej.

– O dzieciach? – spytałem, to jedno, co przyszło mi na myśl, bo przecież na dzieci też potrzebne są pieniądze.

– Na dzieci przyjdzie czas, gdy już się ustawimy. Chcę najpierw czuć się bezpieczna, nie martwić się o byt – wyjaśniła Jolanta. – A teraz? Pragnę po prostu mieć wystarczająco pieniędzy, żeby bez wyrzutów sumienia kupić sobie borówki. Wiecie, jak drogie są borówki?

Ale pokręciliśmy głowami przecząco, żaden z nas nie kupował ostatnio borówek.

– Moja żona lubi borówki – zamyślił się Jan.

Powiedział to tak ciepłym głosem, że chyba nam wszystkim zrobiło się ciepło na sercach. Szczególnie mnie – i znów pomyślałem o Magdzie. To wspaniale mieć kogoś bliskiego, mówić o nim z czułością, kochać.

Nagle, jakby za sprawą telepatii, zawibrował mój telefon, a na wyświetlaczu ukazało się umiłowane przeze mnie „DM” – Donna Maria. Ukochana, wytęskniona DM.

– Przepraszam na chwilkę – powiedziałem i wyszedłem z magazynu, by choć przez chwilę z nią porozmawiać, żeby ją usłyszeć, nasycić się jej pięknym, zmysłowym głosem.

Kiedy odebrałem, poczułem, jak oblewa mnie fala przyjemnego gorąca.

– Stęskniony? – spytała.

Oparłem się o chłodną ścianę budynku. Przez chwilę oddychałem nosem. Co ona ze mną robi? – przebiegło mi przez myśl. Nawet jej jeszcze nie widziałem, a szaleję za nią jak sztubak. To nienormalne. Ale czy cała ta sytuacja była normalna? Weszliśmy w dziwny układ, na który się zgodziłem, podążałem za wszystkim, co wyznaczała Magda. Jak to możliwe? Ja? Szef mafii?

A jednak nie byłem w stanie się jej oprzeć.

– Stęskniony – wychrypiałem.

– Cieszę się, bo dziś wreszcie się zobaczymy.

Przełknąłem ślinę, ochłonałem na moment, oderwałem się od zimnej ściany.

– Jak to dziś? Przylatujesz przecież za tydzień!

– Lekarz pozwolił, wszystko się już wygoiło – zaszcebiotała. – Pomyślałam, że zrobię ci niespodziankę, nie cieszysz się?

Nie wiedziałem, co powiedzieć, nie spodziewałem się jej już, teraz, zaraz. Nie byłem gotów.

Przeczesałem palcami włosy, ustami zwilżyłem wargi. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Nie wiedziałem nawet, co myśleć. Wpadłem w jakąś przedziwną panikę. Jakbym się jej bał. Ale Magdy? To przecież niemożliwe. To moja ukochana, wyczekana, wymarzona. Moja tajemnicza, odważna i piękna przysłała żona.

A jednak odczułem silny stres.

– Taaak, cieszę się – wydusiłem wreszcie, bo czekała przecież, aż coś powiem.

– Wsiadłam właśnie do taksówki. Podasz swój adres?

– Nie ma mnie w domu!

Serce mi biło, zacząłem się pocić. Oto wymarzona kobieta, którą dotychczas widziałem jedynie oczyma wyobraźni, miała się zmaterializować. A co, jeśli nie będzie tak idealna, jak sobie to wyobrażałem? Co, jeśli ja jej się nie spodobam? Nie, to niemożliwe, przecież już mnie widziała przez kamerkę, ja nie ukrywałem przed nią twarzy.

Ale bałem się – nie wiedziałem sam czego. Irracjonalny strach, stres, jakbym spodziewał się diabła.

– A gdzie się szlajasz? – spytała tym swoim zmysłowym, seksownym głosem.

– W firmie – wychrypiałem. – W firmie jestem. Omawiamy sprawy.

– Świetnie! – ucieszyła się Magda. – A zatem przyjadę do firmy. Adres znam, raz odwiedziłam w niej Michała.

– Nie, nie przyjeżdżaj. Po co? Zajęty jestem. Spotkajmy się w domu.

– Ale nie mam kluczy, kochanie.

– No tak, no tak... – Myślałem gorączkowo, co zrobić. – To może zatrzymaj się w hotelu, ja skończę późno. Zobaczymy się jutro.

Chciałem odsunąć w czasie to spotkanie, bezpieczniej czułem się w tym układzie, który dotychczas nas łączył.

– Ale kotku, ja jestem taka napalona – wymruczała.

Ja też byłem. Jeszcze pięć minut temu byłem napalony jak dziki tur. Teraz jednak się bałem. Nie byłem jeszcze gotów.

– Przyjadę, wezmę klucze. Dam ci buziaka... Moimi nowymi ustami... Poza tym... Nie chcesz się mną pochwalić przed kolegami?

Westchnąłem. Cichutko, cichuteńko, niesłyszalnie.

Marzyłem kiedyś o tej chwili. Marzyłem, że będę mógł się nią chwalić, że będę patrzył, jak inni mi zazdroszczą.

Ale jeszcze nie teraz.

– Boję się – usłyszałem swój głos. Naprawdę to powiedziałem do słuchawki. Bezwiednie.

– Czego?

– Że cię rozpoznają jako żonę Wiecha – odparłem szybko cokolwiek.

– Nie martw się, nie jestem do siebie podobna – zapewniła.

– Ale jeśli się przedstawiś jako Magda... ktoś może...

– A bo mało jest Magd na świecie? Nazwiska nie muszą wymieniać, i tak niebawem je zmienię na twoje. Zresztą, mogę przedstawić się jako Donna Maria, jeśli wolisz.

– Nie, nie. Nie należysz do zarządu.

– Oj tam.

– Nic im o tobie nie mówiłem, nawet nie wiedzą, że współpracuję z kobietą.

– Najwyższa pora, żeby mnie poznali. Nie musisz przyznawać, że współpracujemy. Jestem twoją narzeczoną.

– No tak... no tak... – przyznałem, ciężko wzdychając.

– Za piętnaście minutek będę. *Ciao!*

I się rozłączyła.

Wciąż jeszcze czułem niezrozumiały stres po tej rozmowie. Wchodziłem do magazynu na miękkich nogach.

– Co tak długo? Mentor dzwonił? – spytał Darek.

– Narzeczona – odparłem, siląc się na uśmiech.

Jolanta nie zareagowała, ale chłopaki wybałuszyły oczy.

– Narzeczona? – zdziwił się Karol. – Nie chwaliłeś się, że kogoś masz.

– Och, nie było kiedy, ostatnio nie spotykamy się towarzysko...

– Jak ją poznałeś? Kiedy? Mów! – zażądał Darek.

– To długa historia, nie ma teraz na to czasu. Zajmijmy się sprawami. Na czym staństwo?

– Na borówkach – przypomniał Kostrzeba.

– Na tym, że na własną prośbę dajemy się państwu ograbiać z kasy – powiedział Gabriel.

– Słoiki już sprzedane, przestań jęczeć – zganił go Piotr. – Jest jak jest. Wypłacisz nam kasę oficjalnie, a potem znajdziemy jakąś inną pralnię.

– Sprzedane? – prychnął Gabriel. – Przecież to my je kupiliśmy. Możemy je zwrócić. Zawrócić cały ten mechanizm prania.

– Już zaksięgowane – zaznaczył Piotr. – Nie zwrócimy pięciuset słoików, to zdałoby się podejrzane.

– Mógłbyś mieć, Gabriel, kłopoty – zauważyła Jolanta. – Jakiś urząd na plecach czy coś.

– *Capo di tutti capi* ma przecież obstawione swoimi ludźmi urzędy, mógłby nam pomóc – powiedział Gabriel.

– Nie rozumiesz? – warknąłem. – Musimy się uniezależnić, a nie lecieć z każdą duperelą do ojca na skargę i po pomoc.

– Pralnia to pralnia – wtrącił Piotr. – Na tym właśnie polega, że nielegalnie zdobytą gotówkę legalizujemy.

– Masakra – jęknął Gabriel, ale przestał już dyskutować.

– Przelicz, Piotrze, ile nam wyjdzie po oskładkowaniu tych umów – poleciłem.

– Z wszystkimi mam umowy podpisywać? – ciskał się znowu Gabriel. – Przecież jest nas już teraz ze dwustu.

– Nie ze wszystkimi. Jolanta ma listę. Przepraszam na chwilkę, znów telefon – powiedziałem i wyszedłem szybko. Magda pisała, że właśnie dojeżdża.

Serce mi biło jak oszalałe, kiedy obserwowałem zbliżające się światła taksówki. Brama główna była zamknięta, dlatego samochód zatrzymał się tuż przed nią. Zrobiłem kilka kroków w tamtym kierunku, po czym stanąłem. Znowu ścisnął mnie stres. Patrzyłem, jak drzwiczki białego mercedesa się otwierają.

Najpierw wysunęła się noga. Była obuta w czerwoną szpilkę, z jakimiś kryształkami, które mieniły się w świetle latarni. Potem druga noga. A potem reszta zjawiskowego ciała.

Zastygłem w bezruchu, wpatrując się w ten obraz, jakby był ułudą. Nie byłem w stanie się ruszyć, wszystko wydało mi się tak nierzeczywiste.

Magda ubrana była w suknię. Czerwoną – jak buty. Chyba wieczorową. Dziwne, bo przecież dopiero co wysiadła z samolotu. Może się w nią przebrała na lotnisku, żeby zrobić na mnie jeszcze większe wrażenie, niż gdyby była w spodniach. Na ramionach miała marynarkę. Ale tylko się nią okrywała, nie włożyła rąk do rękawów. W lewej dłoni trzymała niewielką torebkę. W prawej butelkę szampana.

Nie wyjęła walizek, prawdopodobnie kazała kierowcy poczekać. Nie ruszył bowiem nawet wtedy, gdy Magda otworzyła furtkę i przedostała się na teren manufaktury.

Chyba mnie nie widziała, stałem nieco w cieniu. Patrzyłem, jak sunie po kostce brukowej, jakby się nad nią unosiła. Cienkie obcasy ani razu nie wbiły się w żadną szczelinę, nie spowodowały, że Magda się zachwiała lub zawahała, którędy iść. Szła pewnie, kierując się do wejścia głównego, chyba myślała, że właśnie tam mamy spotkanie.

– Magda... – krzyknąłem cicho.

Nie odwróciła się, nie usłyszała. Przez chwilę patrzyłem na jej profil i wysoko upięte włosy. Jasny blond. Piękna – westchnąłem do siebie, oczarowany.

– Magda! – krzyknąłem nieco głośniejszym głosem, choć wciąż w miarę cicho.

Dopiero wtedy mnie zauważyła. Jej twarz rozpromienił uśmiech. Obróciła się na niebotycznym obcasie i teraz zaczęła sunąć w moją stronę.

Zjawisko. Najpiękniejsza z gwiazd. Nierealna. Moja.

– Oto ja – przywitała się z szelmowskim uśmiechem, kiedy już stanęła tuż przede mną. Na tych obcasach była niemal mojego wzrostu. – Jak ci się podoba? – spytała, obracając się wokół własnej osi, by zaprezentować sylwetkę i ubiór. Potem wstrząsnęła szampanem i go otworzyła. Wystrzelił. Na szczęście Magda skierowała strumień na wolną przestrzeń, nie na nas. Następnie upiła łyk. Złoty płyn pociekł jej trochę po brodzie.

– Wyglądasz... – zaniemówiłem.

Naprawdę była idealna. I-DE-AL-NA. Jak lalka z porcelany albo jak woskowa postać z jednego z tych muzeów, w którym prezentują znane osobowości. Lub osobliwości.

– Wyglądasz... – powtórzyłem, lecz nie znajdowałem słów dla jej niezwyklej urody.

– Wiem – przyznała, podając mi butelkę. – Wyglądam idealnie. Poszło na to sporo kasy. Patrz, jakie mam cycki. – Uśmiechnęła się zalotnie i dumnie wypięła biust.

Mój wzrok powędrował na pięknie zarysowany rowek między piersiami, które były niczym jędrne grejpfruty, ciasno opięte gorsetem sukni. Wypiłem duży łyk szampana.

– A patrz na zęby. – Uśmiechnęła się, prezentując hollywoodzki styl. Następnie poruszyła głowę. – Korekta powiek, botoks na czoło, wypełniacz w policzki, usta, do tego liposukcja brzucha i ud – wymieniała, dumna z efektów. – Doczepy we włosach, więc będziesz musiał uważać w czasie zabaw w łóżku... – zachichotała, chyba już w samolocie nie żałowała sobie szampana. – Albo nie musisz, najwyżej kupię nowe. – Roześmiała się. – Buziaczka?

Wydeła usta w moją stronę, nachylając się do mnie i unosząc jedną nogę. Przymknęła oczy.

A ja stałem jak wół, wciąż nieruchomy, oniemiały z wrażenia.

Wreszcie dotknąłem palcem jej ust. Były miękkie. Magda otworzyła oczy.

– Ale czy to się na pewno już wszystko wygoiło? – spytałem. – Trochę boję się całować, żeby nie pękły...

– Och, kotku – powiedziała, patrząc na mnie czule. – Nie przypuszczałam, że jesteś aż tak troskliwy. Wzruszyłeś mnie.

Po czym wbiła się ustami w moje usta.

To nie był namiętny pocałunek. Byłem zbyt spięty, nie umiałem się temu poddać. Czulem tę miękkość, jakby mnie wsysała.

– Nie teraz – powiedziałem, odrywając się od Magdy. – Nie mogę się rozpraszać, mamy spotkanie firmowe – wyjaśniłem oględnie.

– Och, właśnie. Chodźmy – zaproponowała Magda, nie przejawsz się moją reakcją.

Kiedy byliśmy już przy magazynie, stanęła.

– Momencik, uszminkuje usta – powiedziała, wyjmując z maleńkiej torebki czerwoną szminkę oprawioną w złotą tubkę wysadzaną kryształkami.

Ustawiła się tyłem do jednego z niewielu niezastawionych regałami okien, z którego przebijało nieco światła. Wyjęła też maleńkie lusterko. Przez chwilę patrzyłem na te zabiegi, urzeczony precyzją ruchów mojej narzeczonej. Potem Magda schowała akcesoria do torebki i odwróciła się przodem do okna. Następnie spojrzała na mnie z inną niż wcześniej miną. Już nie taką słodką, raczej wyrażającą politowanie.

– To jest ta twoja mafia? – spytała, zerkając na grupę znajdującą się w magazynie.

Też na nich spojrzałem. I zrozumiałem, skąd to politowanie w jej oczach i głosie. Dopiero teraz, patrząc niejako obcymi oczami, dostrzegłem groteskę sytuacji. Przygarbiony Piotr ślęczący nad papierami, przytrzymujący jedną ręką okulary w staromodnej oprawce z grubymi szklami. Obok niego podstarzały, nieco mizerny w wyglądzie Jan, chudy jak patyk i pomarszczony jak ususzona śliwka. Darek, choć najprzystojniejszy i względnie młody, też nie prezentował się z tej perspektywy dobrze. Zdawał się błądy i przygnębiony, podobnie Gabriel, Karol i Bartek. Prawdopodobnie usłyszeli właśnie, o ile niższa będzie ich wypłata po odliczeniu podatków i zusów. Tuż przy nich stał Paweł, ten bez zębów, i coś mówił. Maseczkę miał zsuniętą na brodę. No i Jolka, milcząca, nieco z boku, na wózku, również pogrążona w papierach jak Piotr.

– To jest ta twoja mafia? – powtórzyła pytanie Magda. Tym razem w jej głosie zamiast litości słychać

było rozbawienie.

– To tylko zarząd – wyjaśniłem. – Najlepsi z najlepszych.

– Nad czym tak debatują? – zainteresowała się, zbliżając twarz do szyby i mrużąc oczy.

– Nad pralnią.

W kilku słowach streściłem jej nasze problemy.

– Och. – Magda wywróciła oczami. – Trzeba było mi wcześniej powiedzieć. Taki problem to nie problem.

– Nie?

– Już ci mówię, co możecie zrobić. – Ponownie zmrużyła oczy, wyciągnęła z mojej dłoni prawie już pustą butelkę i opróżniła ją do końca, po czym mi ją oddała. – Tamten. – Wskazała palcem na Kostrzebę. – Wygląda na malarza. Może malować i sprzedawać obrazy. Cokolwiek, jakąś abstrakcję. Jednoosobowa działalność artystyczna, ceny obrazów mogą dochodzić do milionów, sztuka nie zna granic. – Roześmiała się.

A ja poczułem, jak znów rozbudza się we mnie ochota na Magdę.

– Ten w okularach jak denka od słoików może robić za naukowca. Niech wymyśla jakieś wynalazki i potem sprzedaje patenty. Nie muszą działać, byle była w tym jakaś idea. Ceny można wywindować w kosmos. A tamta... – Maga wskazała palcem Jolę. – To Jolanta, tak? – przypomniała sobie. – Niech założy fundację. Inni będą członkami. Fundacje działają na prawach lepszych podatkowo. A dziewczyna na fundację jest idealna.

– Racja – przyznałem, czując, jak coraz bardziej pulsują mi skronie.

– Tylko im nie mów, że to mój pomysł – zastrzegła Magda. – To przecież ty jesteś szefem.

Patrzyłem na nią mętnym już nieco wzrokiem i kiedy odwróciła się od okna i też na mnie spojrzała, zagarnąłem ją do siebie i wbiłem się w te jej pełne usta. Tym razem był to namiętny i pełen pasji pocałunek. Oddychałem ciężko, ona też. Nawet nie zauważyłem, że moja prawa dłoń wędruje po czerwonej sukience, a Magda nie zauważyła, że elegancka marynarka zsunęła się z jej ramion.

Owładnięty pożądaniem, zapomniałem, że trzymam w lewej ręce pustą butelkę po szampanie. Wysunęła mi się z dłoni i rozbiła.

Hałas spowodował, że otrzeźwieliśmy. Spowodował też, że zainteresował się nim ochroniarz.

Magda błyskawicznie wyjęła szminkę i poprawiła usta. Podniosła z ziemi marynarkę. Kiedy otworzyły się drzwi i z magazynu wybiegł poruszony Kostrzeba, udawaliśmy z Magdą, że po prostu rozmawiamy.

Jan skinął głową, zmieszany.

– Narzeczona właśnie przyjechała – wyjaśniłem.

– To może wejdźcie do środka – cicho zaproponował.

– Nie, nie... kiedy indziej, wstąpiła tylko po klucze – odparłem.

– Chętnie poznam twoich współpracowników, kochanie – radośnie wypaliła Magda, spoglądając na mnie z filuternym uśmiechem.

Znów obudził się we mnie nieokreślony lęk. Ale nie zdążyłem się nad nim zastanowić, bo Magda pociągnęła mnie za rękę.

Kiedy pojawiliśmy się w drzwiach magazynu, rozdyktowane towarzystwo nagle zaniemówiło. Raczej tak pięknej i zgrabnej laski nie spodziewali się zobaczyć.

– Chciałbym przedstawić wam moją narzeczoną, Magdę.

– Miło mi was poznać, dużo dobrego o was słyszałam. – Magda z gracją skinęła piękną głową.

Panowie rzucili się na powitanie, po kolei się przedstawiając. Każdy chciał dotknąć jej ręki, spojrzeć na nią z bliska. A mnie rozpierała duma, że mam taką wspaniałą kobietę.

Tylko Jolka była mniej euforyczna. Trzymała raczej dystans i przyglądała się energicznej Magdzie z pewną... nieufnością? Nie umiałem określić. Kiedy jednak Magda do niej podeszła, mówiąc „Jolus, jesteś cudowna, cieszę się, że wreszcie cię poznałam”, Jolanta chyba się odprężyła. Przywitały się jak przyjaciółki, a w magazynie zapadło dziwne milczenie.

– Skąd ona wie, że to Jola? – usłyszałem szept Darka. – Przecież Jolka się nie przedstawiała.

– To w końcu moja narzeczona – wyjaśniłem. – Trochę jej o nas opowiadałem.

– A *omerta*? Wiesz przecież, co się stało z Michałem...

Spojrzałem na niego nieco skołowany. Cholera jasna, miał rację, jak mam to wszystko teraz wytłumaczyć?

– To inna sytuacja – odparłem. – Jestem szefem, a to niedługo będzie moja żona. Michał nie był szefem.

– Ale Kostrzeba jest i też ma żonę. Tak samo Piotr, a Jolanta ma narzeczonego. Wszyscy trzymają *omertę*. A przecież też są szefami.

– Ale nie głównymi – podkreśliłem z naciskiem. Wkurzał mnie. Owszem, nazywali się szefami, bo mieli pod sobą żołnierzy, ale to przecież ja jestem prawdziwym szefem. – Głównym jestem ja. I ja dostałem zgodę od Mentora. Magda przeszła test.

– Poznała go? – zdziwił się Darek.

Nie odpowiedziałem. Skinąłem tylko głową.

– O kurde. – Darek był pod wrażeniem. – Myślisz, że też kiedyś go poznam?

Milczałem. Moja mina była nieprzenikniona. Patrzyłem teraz na Magdę, co miało być dla Darka znakiem, że skończyliśmy rozmowę. Zrozumiał.

– Uciekam, kochani, chciałam was tylko poznać – oświadczyła Magda. – Dziękuję za miłe przyjęcie i już nie przeszkadzam. Kochanie, daj klucze i zmykam do taksówki.

– Odprowadzę cię – powiedziałem i podałem ramię. Czuję się przy niej jak król, ona była królową. Stukot jej cienkich wysokich obcasów rozbrzmiewał w cichym magazynie. Bo wszyscy umilkli, odprowadzając nas wzrokiem.

Wróciłem po jakichś pięciu minutach, uskrzydłony wizją czekającej mnie upojnej nocy.

– Noo... szefie, gdzie ją tak długo ukrywałeś, gdzie ją poznałeś, kiedy? – Nie milkły głosy ciekawskich.

– Kiedy indziej pogawędzimy, teraz spróbujmy dopiąć temat pralni – oświadczyłem, przybierając na powrót minę stanowczego bossa.

– Trudna sprawa – pierwszy odezwał się Piotr.

Nie czekając na inne głosy, od razu przeszedłem do rzeczy.

– Nie tak trudna, jak się wcześniej zdawało – powiedziałem. – Muszę przyznać, że przyjazd narzeczonej uruchomił we mnie pokłady kreatywności, nagle doznałem olśnienia. Mam już plan.

– Co z ludźmi robi miłość... – zamyślił się Kostrzeba.

– Uskrzydła – stwierdziła Jolanta.

\*\*\*

Dziwnie było leżeć z Magdą w jednym łóżku. Ten nagły, spontaniczny odruch pożądania, którego doświadczyłem względem narzeczonej pod magazynem, jakoś się ulotnił. Znów bałem się jej dotknąć, bałem się, że ją uszkodzę, zarysuję albo nacisnę za mocno i coś pęknie. Nie miałem odwagi dotykać jej piersi, jej ud, jej włosów. Nawet kiedy Magda zmysłowymi ruchami zdejmowała z siebie suknię i poprosiła mnie, bym rozpiął jej suwak znajdujący się na plecach, nie miałem ochoty dotykać jej ciała. Było zbyt idealne. Domyślałem się, że gdzieś tam są blizny, ale nie było ich widać. Widziałem tylko doskonałość.

Zauważyłem, że Magda rozbiera się i wyraźnie mnie kusi, ale nie podejmuje inicjatywy jak wcześniej. Najwyraźniej i u niej przysł miłosny nastrój. Kokietowała mnie, ale raczej z poczucia obowiązku niż z chęci.

Usiadłem na łóżku. Nie rozebrałem się, nie chciałem pokazywać swojego brzucha, który nie prezentował się zbyt atrakcyjnie w porównaniu z jej doskonałym brzuchem. Nie chciałem pokazywać włosów na kłacie i pod pachami, czułem się tym zawstydzony, bo Magda była idealnie gładka, pewnie wydepilowana laserowo.

Patrzyłem na jej doskonałą sylwetkę i doskonałą twarz. Uśmiechała się lekko, a ja coraz mocniej smutniałem, czułem się niedoskonały. Nawet się dziś nie ogoliłem, nie wiedziałem przecież, że przyjeżdża.

Poprosiłem, żebyśmy zgasili światło.

A potem powiedziałem, że boli mnie głowa z tych wszystkich wrażeń i że muszę iść spać.

Nie obraziła się. Chyba się nawet ucieszyła.

– Masz rację, też jestem padnięta – powiedziała i wsunęła się pod kołdrę obok mnie.

Zasnęła w trzy minuty, już po chwili usłyszałem przeraźliwe chrapanie. Wtedy myślałem, że to przez

szampana, zmęczenie i wszystko to razem, później okazało się, że ona ma tak zawsze. Chrapała jak jakiś dzik, jak niedźwiedź. Ale nigdy jej o tym nie powiedziałem.

Nie mogłem jednak zasnąć. Mieszkając od wielu lat sam, nie byłem przyzwyczajony do takich dźwięków. Sam podobno chrapię, ale nie wiem, czy to prawda, bo nigdy nie słyszałem. Chrapanie Magdy było potężne. Miałem wrażenie, że trzęsą się ściany i że za chwilę zaczną w nie tłuc sąsiedzi, domagając się ciszy. Nie wiedziałem, co robić, szturchałem ją lekko w ramię, zatykałem jej nos, ale nie pomagało. Miałem ochotę przycisnąć jej twarz poduszką. Opanowałem się jednak.

– Kurwa – warknąłem i wstałem z łóżka.

Zamknąłem się w kuchni i włączyłem radio. Odechciało mi się spać.

Przez moment się zastanawiałem, co dalej. Jak będzie wyglądało moje życie z Magdą. Co innego być w związku na odległość, żyć marzeniami, snuć słodkie domysły i ambitne plany, a co innego codzienność. Do tej pory, kiedy kontaktowała się ze mną jedynie przez komunikator, czułem się zakochany i podekscytowany niezwykłością tej relacji, a teraz, gdy spała tuż obok, nie umiałem wzniecić w sobie niedawnego żaru.

A potem przypomniałem sobie ten namiętny pocałunek pod magazynem. To było coś. Może jednak jest dla nas szansa na romantyczną więź? Przypomniałem sobie, z jakim zapałem mówiła, co mamy dalej robić, jakie zakładać pralnie, dyrygowała i wyznaczała cele. To było coś.

I nagle naszła mnie myśl, że przecież ja też mógłbym otworzyć własną pralnię. To znaczy nie ja, ale mój ojciec. Skoro Kostrzeba miał robić za malarza, a w życiu nie maznął pędzlem po płótnie, to tym bardziej mój tata – niegdyś zdolny stolarz mógłby teraz zostać artystą, na przykład rzeźbiarzem. Cóż z tego, że nie miał ręki, nawet lepiej, jako rzeźbiarz bez ręki – ewenement – mógłby stać się gwiazdą na skalę światową.

Zapaliłem się do tego pomysłu. Natychmiast chciałem go zrealizować. Pomyślałem, że nazajutrz, w sobotę, odwiedzę rodziców i wdrożę tatę w swój plan. Na razie zamierzałem się przespać choć kilka godzin, by pojechać do Radomia wypoczęty i świeży. Ale chrapanie Magdy nie ustawało, obawiałem się, że w takich warunkach nie zasnę. Po cichu spakowałem więc kilka rzeczy, zostawiłem na stoliku zapasowe klucze oraz kartkę: „Wyjechałem załatwiać interesy, wrócę wieczorem, miłego dnia, kochanie”, po czym wyszedłem z mieszkania.

Zatrzymałem się na noc w motelu przy trasie. Nie był zbyt elegancki, ale było cicho. Dochodziła druga, gdy przyłożyłem głowę do poduszki obleczonej w białą pachnącą poszewkę. Sen przyszedł szybko i był przyjemny, choć go nie zapamiętałem.

Rankiem, tuż po śniadaniu, ruszyłem w drogę. Nie uprzedzałem rodziców, że przyjadę, właściwie nie wiem dlaczego. Ale byli w domu. Mama zdziwiła się na mój widok, a nawet trochę wystraszyła, bo dotąd nie wpadałem do nich tak bez zapowiedzi. Na szybko wymyśliłem historię, która skłoniła mnie do wizyty.

– Narzeczoną mam – wyjaśniłem. – Chciałem, żebyście wiedzieli, a nie wypada tak przez telefon.

– Oj! – krzyknęła mama i chwyciła się za policzki.

Ojciec ściągnął usta. Nic nie mówił.

– Kiedy ją poznamy? – dopytywała mama. – Jak to się stało? Jest w ciąży?

– Skąd? Co też mamusi przyszło do głowy. – Skrzywiłem się.

– Bo tak nagle? Narzeczona?

– Co nagle, to po diable – dodał tata półgłosem.

– Najpierw była moją dziewczyną, mówiłem wam o niej, Magda – przypomniałem. – A teraz jest narzeczoną. Uznałem, że powinniście wiedzieć.

– Chcielibyśmy ją poznać – powtórzyła mama. – Zdjęcie masz jakieś chociaż?

Zadumałem się. Miałem mnóstwo zdjęć Magdy, a raczej zdjęć części ciała, składających się na Magdę – ust, zębów, nosa, policzków, piersi, brzucha... Ale nie miałem żadnego zdjęcia Magdy w całości.

– No... nie w tym telefonie... – wydukałem. – Ale jest piękna – zapewniłem szybko.

– To dobrze, ładne dzieci będą – pochwaliła mama. – Czyli mówisz, że poprosiłeś ją o rękę?

– A jakże... On lubi. Kolekcjoner rąk – prychnął tata.

– Ale że co, Włodziu? – Mama nie zrozumiała złośliwości ojca skierowanej do mnie. – Przecież żadnej się wcześniej nie oświadczał. A pierścionek jaki dałeś? Białe złoto? Żółte? Diamenty?

Przełknąłem ślinę, uwagi ojca nieco mnie wytrąciły z równowagi.

– Złoto, tak. – Pokiwałem głową. – I diamenty. Ależ mi w brzuchu burczy – skłamałem, pragnąc



zmienić temat, bo przecież żadnego pierścionka Magda ode mnie nie dostała. Jeszcze.

Mama połknęła haczyk, przybrała zatroskaną minę.

– Ojej, a ja nieprzygotowana... Mogłeś zadzwonić... Ale wyskoczę do sklepu, coś kupię i niedługo będzie obiad.

– Nie kłopotz się, ja pójdę – zaproponowałem, choć miałem nadzieję, że się nie zgodzi. Zależało mi na tym, żeby zostać z ojcem sam na sam.

Mama jakby czytała mi w myślach.

– Absolutnie, synku, ty posiedź, odpocznij po podróży. Zresztą i tak byś nie wiedział, co kupić. Wyskoczę raz dwa, dobrze mi to zrobi. Przewietrzę się po tych niespodziewanych wieściach. Narzeczona, ho, ho. Ależ niespodzianka, prawda, Włodziu?!

– No... – mruknął ojciec, trudno było ocenić, czy się cieszy.

Kiedy mama wyszła i zostaliśmy z tatą sami, przez chwilę panowała cisza. Przytłaczająca, ciężka. Okropna.

– Jak tam moja ręka? – zagaił ojciec. Nie patrzył mi w oczy.

– Dobrze, dobrze... – odparłem.

– Więc po co tak naprawdę przyjechałeś? Bo przecież nie wpadłeś znienacka, by o narzeczonej prawić? A rękę przecież już masz.

– Okej, to prawda – przyznałem. Odruchowo zerknąłem przez ramię, jakby upewniając się, że mama na pewno wyszła i przesunąłem się z krzesłem bliżej ojca. – Nie będę owijał w bawełnę. Interes jest do zrobienia.

– Interes. – Ojciec parsknął. – Pieniądze mam ci pożyczyć? Niby z czego? Z renty? – Ze śmiechu aż zakasłał.

– Nie, nie. Pieniądzy mam aż nadto. W tym problem właśnie.

Mówiłem szeptem, niemal konspiracyjnie. Wprawdzie byliśmy sami, okna były pozamykane, ale wiadomo przecież, że w takich małych mieszkankach ściany miewają uszy.

– Podwyżkę dostałeś? – zainteresował się ojciec. – Przekroczyłeś próg dochodowy? To chyba dobrze? Podatki trzeba płacić, synu... – powiedział z lekkim wahaniem. – Nic ci w tym nie pomogę, nie znam się.

– Nie o pracę chodzi. Mam kasę z innego źródła. Założyłem mafię.

Ojciec odchylił się i spojrzał na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

– Mafię, tato. Kasa płynie strumieniami, ale nie jest legalna, musimy ją wyprać.

– A to ciekawe... Mów, mów. – Uśmiechnął się pod nosem, nie wiedziałem, co myśleć o tym uśmiechu, ale kontynuowałem, bo czas gonił, zależało mi, żeby ustalić wszystko, zanim wróci matka.

– Założysz firmę, działalność gospodarczą. Będiesz rzeźbiarzem artystą.

– Aha, bez ręki.

– Tak. Ale to nie szkodzi, że bez ręki – zaznaczyłem szybko. – Artyści to artyści. Liczy się wyjątkowe dzieło. Za które można dostać niebotyczną kasę. O klientów nie musisz się martwić, będę ci ich przysyłał.

– Ciekawe.

– Czysta sprawa, odprowadzasz podatki i takie tam. I zarabiasz krocie. I kupujesz dom.

– A na co mi dom?

– Do zamieszkania. A na co? W przyjemnym miejscu, z ogrodem...

– Po cholere mi ogród? Umęczyłbym się tylko, tak jak i przy domu.

– No to mieszkanie jakieś, w ładniejszym miejscu, większe.

– Nie potrzebujemy większego, to jest idealne jak na nasze potrzeby.

– Więc mógłbyś kupić sobie lepszy samochód, cokolwiek, cholera, to wcale nie jest ważne. Ważne, że miałbyś kasę i mógłbyś z nią robić, co chcesz. Wyjechać gdzieś z mamą, odwiedzić kuzyna w Australii. Jego na to nie stać, żeby tu przyjechać...

– E tam, już go nie pamiętam – powiedział tata.

Droczył się ze mną? Nie pojmowałem jego toku myślenia.

– To mnie byś dał tę kasę. Mnie. W prezencie, jako darowiznę.

– A więc chcesz jednak kasę ode mnie?

Oniemiałem. Nienormalny czy co? Dlaczego tak ze mną rozmawia?

– Nie chcę, tato. Mam swoją. Mam jej w bród. Ale trzeba ją wyprać. Dlatego chcę, żebyś został artystą – powtórzyłem jeszcze raz, spokojnie.

– A jak mam niby tworzyć te dzieła, nie używając ręki?

– Drugą przecież masz. Nie chodzi zresztą o nie wiadomo jakie rzeźby. Zwykle kubiki drewniane, kostki, stojaki. Coś prostego, dla minimalistów. Kilka razy uderzysz w to dłutem, trochę podszlifujesz tu i tam... Jedną ręką. I już. Powstanie nowoczesna rzeźba, którą możesz wystawić za dziesięć tysięcy. Albo i za dwadzieścia. Dobrze byłoby galerię otworzyć, choćby garażową, niszową taką...

– Świetny plan – przerwał mi ojciec.

Zamilkłem w pół zdania, nie spodziewałem się, że nagle się zgodzi.

– Wspaniale – uznałem. – A zatem? Do dzieła?

– Do dzieła! – Tata uniósł lewą, tę zdrową rękę. – A teraz powiedz, synu, co tak naprawdę cię trapi?

– Jak to?

– No po co tu przyjechałeś?

– Mówię przecież. Cholera, co z tobą?

– Powiedz lepiej, co z tobą? Masz problemy psychiczne? Przeciążony jesteś pracą? Przecież słyszę, co mówisz, głupoty jakieś o mafii, o brudnych pieniądzach. Jestem twoim ojcem, postawię cię do pionu, tylko odpręż się i powiedz prawdę. Masz jakieś kłopoty?

– No skąd! Mówię prawdę. Mafię założyłem.

Wkurzyłem się, bez sensu cała ta rozmowa, straciłem już niemal dziesięć minut.

– Chcesz więc powiedzieć, że... wychowaliśmy z matką syna na gangstera?

– Jaki gangster? No co ty, tato? Mafioso.

– Mafioso – poprawił. – Że wychowaliśmy syna na mafiosa?

– Jestem szefem – podkreśliłem z dumą. – Chyba nie usłyszałeś, ale za-ło-ży-łem mafię.

– Szefem... – powtórzył tata z politowaniem. – A co to za mafia? Podwórkowa? – zarechotał złośliwie.

– Włoska.

Ojciec nie wytrzymał i buchnął śmiechem.

– Trzymajcie mnie, bo spadnę z krzesła. Mój syn jest szefem mafii włoskiej. Oddział Warszawa, tak?

– Oddział Polska, działamy w całym kraju – uściśliłem, niezadowolony z jego reakcji. – To duża organizacja, ponad dwieście osób na ten moment.

Patrzył na mnie jak na obłąkanego, wzrokiem, w którym była mieszanina litości, współczucia, ale też rozbawienia, dlatego postanowiłem wyciągnąć asa z rękawa.

– Jestem Don Alberto, szef włoskiej mafii, tato. Z pewnością z mediów już o mnie słyszałeś. Don Alberto to ja.

Na potwierdzenie słów wyjąłem gruby plik banknotów, prosto z bankomatu, wypłaconych z karty jednego z naszych słupów. Ojciec spojrział na ten plik, ale nic nie mówił. Nie wziął pieniędzy do ręki, choć podejrzewam, że trochę go ta lewa świerzbiła. Plik był spory i pachniał całkiem przyjemnie.

Nagle się poruszył. Jakoś tak dziwnie, jakby nim coś wewnątrz wstrząsnęło. I spojrział na mnie, tym razem poważnie, z uwagą.

– A więc po to była ci ta moja ręka...

Jakby go oświeciło, jakby otworzyła mu się w mózgu szufladka, do której wcześniej próbował to włożyć, ale nigdzie nie pasowało.

– Mój Boże... – westchnął. – Nie do wiary.

– Takie są fakty.

– Całe życie wpajaliśmy ci zasady, daliśmy ci troskę, edukację, chcieliśmy, byś odniósł sukces.

– Odniosłem.

– Byliśmy przekonani, że wyrośniesz na porządnego człowieka, postępującego słusznie.

– No przecież postępuję słusznie.

– Co ty mówisz? – zgromił mnie ojciec. – Zabijasz ludzi, morderco!

– Ależ skąd!

– Czytałem o tym!

– To marketing! Nikogo nie zabiliśmy. Poszperaj głębiej, przeczytaj oświadczenie policji, to nie my. Zresztą właśnie po to była mi twoja ręka, by nikogo nie ranić. W tym przypadku jedynie postraszyć. Ale to wyjątkowy przypadek – zaznaczyłem szybko. – Przypadek wyższej rangi. Krzywda nikomu się nie stała.

– Więc skąd macie pieniądze?

– Od ludzi. Sami nam dają. Ale tylko ci, którzy mają coś na sumieniu, reszta nie płaci.

Ojciec westchnął głęboko. Pokręcił głową, jakby porządkował myśli. Był jednak trochę spokojniejszy niż jeszcze przed chwilą.

– Nie popieram, synu – powiedział po dłuższej chwili.

– Więc nie pomożesz mi z tą pralnią?

– Nie. I lepiej nie przyjeżdżaj, póki nie skończysz tego proceduru. Matce nic nie powiem, to by z pewnością ją załamało. Ale nie przyjeżdżaj. Coś się wymyśli, że jesteś zajęty albo że wyjechałeś.

– Ale dlaczego, tato? Sam mówiłeś, że mafia rządzi światem. A teraz ja jestem mafią. Sądziłem, że będziesz dumny...

– Mówiłem, mówiłem... – przyznał ojciec. – Bo rządzi. Ale żeby mój syn? W głowie mi się nie mieści. Świat jest urządzony tak, że jest mafia i zwyczajni ludzie. Można narzekać, ale...

– Nie chcę narzekać – wtrąciłem z przekąsem. – Właśnie nie chcę narzekać, chcę po prostu świetnie żyć, realizować pasje, spełniać marzenia, mieć czas... – wyluszczałem, ale umilkłem, kiedy dobiegł nas dźwięk otwieranych drzwi. Szybko schowałem plik pieniędzy leżący na stole.

Weszła mama. Zmachana, spocona, targając trzy siatki wypełnione po brzegi zakupami.

– Mogłaś zadzwonić, pomógłbym – powiedziałem.

– Nie trzeba. Zaraz będzie obiad – oświadczyła radośnie. – Tylko odsapnę. Ależ się zgrzałam po tych schodach.

Zdjęła jesienną kurtkę i podeszła do okna w dużym pokoju. Otworzyła je.

– Szkoda, że nie mamy balkonu – westchnęła, bardziej do siebie niż do nas, wachlując się dłonią przy otwartym oknie.

I wtedy w ojcu coś pękło, widziałem to po jego twarzy.

Potem pomogłem mamie przygotować obiad, zjedliśmy go o czternastej. Był pyszny, jak to u mamy. Kupiła też ciasto, zwykły biszkopt z gruszkami, ale smakował wybornie. Przy stole rozmawialiśmy o zwyczajnych sprawach, jak zwyczajna rodzina. Mama dopytywała o Magdę, ale zmieniałem temat, bo nie chciałem tworzyć zmyślonych historii, o których w przyszłości mógłbym zapomnieć. Potem trochę o pogodzie, o sąsiadach, o mojej pracy w manufakturze, następnie o cenach, które tak szybko rosną. Aż nagle ojciec powiedział, że chce mi coś pokazać w garażu.

– Skoro już jesteś, mógłbyś mi pomóc naprawić półkę – zagał. – Mnie jest trudno samemu, bez ręki.

– Jasne – zgodziłem się.

I poszliśmy. Mama postanowiła w tym czasie położyć się i odpocząć przed telewizorem.

Ojciec milczał przez całą drogę, był trochę zamyślony, nieco zasepiony. Ale kiedy usiedliśmy na małych stołkach w garażu, natychmiast się ożywił.

– Wchodzę w to – powiedział, a ja nie od razu zrozumiałem, o co mu chodzi.

– Wchodzisz... w co?

– W ten interes. Z tobą. Mam już swoje lata, a niech mnie. Żyje się raz. Nawet jeśli mnie kiedyś wsadzą, to przynajmniej pożyję. I matka też. Przydałoby się mieszkanie z balkonem. I z windą. I jakaś podróż, może nie aż do Australii, ale Włochy? – rozmarzył się. – Werona... Przed ślubem planowaliśmy z Wandzią, że w podróż poślubną pojedziemy do Werony... Ale się nie udało. To może teraz.

– No pewnie! I na pewno cię nie wsadzą. Przecież kto ci zabroni sprzedawać rzeźby?

– Tylko... – zawahał się. – Zastanawiam się... Kiedy już kupię dla mnie i matki to mieszkanie, gdy już kupimy ten lepszy samochód, większy telewizor i robota kuchennego... Co będziesz z tego miał?

– Tato. – Spojrzałem na niego znacząco. – Odziedziczę przecież.

## Rozdział 14

Celebryci byli hojni, hojniejsi niż przypuszczaliśmy. Nie dość, że płacili za odblokowanie sprzętów zainfekowanych wirusem, to jeszcze licytowali i potem chwalili się na swoich stronach, kto dał nam więcej. Upubliczniali przelewy, nagrywali filmiki dokumentujące zapłatę dla Don Alberta, pokazywali szkody, jakie wyrządziło kliknięcie w ten link. Kasa spływała już do nas teraz rzeką. Magda mogła pozwolić sobie na najlepsze ciuchy od znanych projektantów, na torebki, na buty, o jakich marzyła, na najnowszy model iPhone'a, który następnie zmieniła na inną markę, gdy okazało się, że iPhone nie jest już taki modny, jak jej się zdawało. Kupowała zachłannie – ubrania, buty, dodatki i gadzety zajmowały już znaczną część naszego mieszkania. Nie mogliśmy jednak na razie wynająć większego ani też kupić własnego, bo wciąż zarabiałem oficjalnie zbyt mało – a Magda oficjalnie nie zarabiała wcale. Musieliśmy czekać, aż ruszą te pralnie, dzięki którym legalnie nabędziemy to, na co mamy ochotę. A ochota nam rosła. Na wszystko. Im więcej spływało pieniędzy, tym więcej rodziło się potrzeb.

Muszę przyznać, że żyło nam się razem bardzo dobrze. Ona całe dni spędzała w przeróżnych spa i na zakupach, w czasie gdy ja dni spędzałem w pracy. Wieczorami chadzaliśmy do restauracji, teatrów i kin, a także do galerii – tych z prawdziwą sztuką, szczególnie nowoczesną, gdzie po cichu komentowaliśmy kosmiczne ceny obrazów i rzeźb. Podobało mi się, kiedy za Magdą oglądali się ludzie, była naprawdę zjawiskowa. Jej też się to bardzo podobało, wiedziała, że przyciąga wzrok, lubiła skupiać na sobie uwagę. Szczególnie zauważałem to weekendami, gdy wychodziliśmy potańczyć. Niby tańczyła ze mną, lecz zamiast patrzeć mi wtedy w oczy, zerkiała, czy aby na pewno wszyscy patrzą na nią. Ale nie przeszkadzało mi to, tłumaczyłem sobie, że jej nowy wygląd także dla niej jest atrakcyjny i ma prawo przeglądać się także w oczach innych.

Niestety wciąż miałem jakieś opory, żeby jej dotykać. Zdawała się tak delikatna, tak porcelanowa, a przy tym w niektórych miejscach tak napompowana, że obawa o jej uszkodzenie nadal mi nie mijała. Może w podświadomości przeliczałem to wszystko na kasę, którą wydałem na te wszystkie zmiany. Nie wiem, czy w razie mechanicznych zniszczeń można by złożyć reklamację. Ale Magda nie narzekała na moją zachowawczą postawę. Była zdumiewająco wyrozumiała. Wystarczało jej, że prawilem komplementy, że wpatrywałem się w nią jak w obrazek. Sama wpatrywała się w siebie jak w obrazek. Bywały jednak takie noce, kiedy leżąc już w łóżku, dzieliłem się z nią sprawami mijającego dnia, nierzadko sama takie zwierzenia prowokowała. Opowiadałem jej o naszych najnowszych działaniach, o efektach, a także o problemach, bo takie też się zdarzały. Na przykład wtedy, kiedy Darek obwieścił, że nasi żołnierze domagają się żołdu. Nie rozumiałem, o co mu chodzi. Dopiero kiedy mi uświadomił, że mafia liczy już ponad czterystu członków, każdy z nich zapłacił wpisowe, ale wielu, a właściwie większość, jeszcze nie zarabia, tylko czekają w rezerwie na wyznaczenie im zadań, pojąłem, skąd taka prośba.

– Trzeba im płacić – oceniła wtedy Magda. – Inaczej zrodzi się bunt. A nie chcemy buntu na pokładzie. Jednego, dwóch rejterów szybko opanujesz, gorzej, jeśli zrobią się ich dziesiątki lub setki, nie daj Boże tysiące.

– Nie mamy tysięcy członków – zauważyłem.

– Jeszcze.

Podpowiedziała mi także, jakie zadania możemy wyznaczać tym na razie nieaktywnym, by uniknąć płacenia za nic nierobienie. Nierzadko podsuwała mi też pomysły na większe akcje. Właściwie nie podsuwała, ale... instruowała, kiedy, co i jak mamy zrobić. Lubilem słuchać jej zmysłowego, a przy tym zdecydowanego głosu, bywało, że właśnie w takich momentach zapominałem o swoich obawach, że ją uszkodzę, i napierałem na nią jak zwierz. Nie wiem, być może moja podświadomość uznawała wtedy, że pal sześć te reklamacje w razie uszkodzenia – jeśli pęknie napompowana pierś, kupię nową, bo za chwilę przyjdzie przecież nowa kasa.

Kochaliśmy się więc rzadko, ale intensywnie. Obydwojgu nam odpowiadał ten układ.

W listopadzie udało się zarejestrować fundację, na której czele – dla zwiększenia jej wiarygodności – stanęła Jolanta. Fundacja miała działać na rzecz osób z niepełnosprawnościami, ten cel podaliśmy jako główny, ale w statucie znalazło się też kilka innych, pobocznych, dających nam szerszy zakres możliwości. My z początku zamierzaliśmy zostać członkami zarządu fundacji, jako że im także należało się

wynagrodzenie. Potem uznaliśmy, że na wszelki wypadek nie będziemy się jednak wpisywać do dokumentów, dlatego członkami zarządu zostali inni, wybrani przez nas zaufani ludzie naszej mafii, a do nas wynagrodzenia miały spływać jako do współpracowników. I tak Gabriel miał pomagać w promocji, Piotr w księgowości, ja i Karol mieliśmy niby pozyskiwać darczyńców, Bartek dostał umowę na założenie strony internetowej, a Paweł z Darkiem mieli stworzyć magazyn darów rzeczowych. Wprawdzie nie zamierzaliśmy zbierać od ludzi żadnych rzeczy, ale trzeba było wymyślić dla chłopaków jakieś stanowiska, które byłyby spójne z tym, co na co dzień robią. A magazyn darów do fundacji pasował i nikt nie powinien się czepiać.

W tym podobnym czasie co fundacja ze swoją firmą ruszył Jan Kostrzeba – jako malarz abstrakcjonista. Zamierzał zatrudniać nas jako modeli do swoich dzieł – i oczywiście odpowiednio wynagradzać, a dzieła potem odpowiednio drogo sprzedawać.

Na razie wstrzymaliśmy się z fuchą dla Piotra, który miał być naukowcem. Teraz jeszcze był naszym księgowym, w dodatku w kilku naszych firmach, i jeszcze ciągnął księgowość Borcucha, miał więc tyle roboty, że nie podejmował się kolejnych zadań. Musieliśmy zatrudnić trzech innych księgowych, by odciążali Pasternaka. Znaleźliśmy ich wśród dalszych członków naszej organizacji. Tym samym Piotr został głównym księgowym i już tylko tym się zajmował. Jego kamizelka z napisem „Kurier specjalny” powędrowała jako prototyp do szwalni w Świdniku. Właścicielką szwalni była jedna z naszych członkiń z rejonu wschodniego i ona stamtąd kolportowała odpowiednie stroje do naszych kurierów w całej Polsce.

W listopadzie ze swoją działalnością ruszył także mój tata. Z niemałym wysiłkiem z pomocą dwóch kolegów z osiedla opróżnili garaż i stworzyli w nim warsztat pracy dla ojca oraz niszową galerię sztuki. Mama wydzwaniała do mnie oszołomiona tym nagłym wybuchem pasji u ojca, wyrażając obawę, że chyba na starość zwariował. Tłumaczyłem spokojnie, że to jego życie i mama nie powinna się martwić, przecież to dobrze, że ojciec chce zacząć coś nowego i że wyraźnie brakowało mu przez te lata stolarki.

– Hobby rozumiem, ale żeby od razu firmę zakładać? Galerię? – marudziła mama do słuchawki. – Obwieszczać się artystą? Rzeźbiarzem? Bez ręki? Naprawdę chyba mu odbiło!

Potem narzekała jeszcze bardziej, kiedy okazało się, że tata zatrudnił tych swoich dwóch kolegów jako pomocników.

– Z czego im będzie płacił? – utyskiwała. – Chyba zawału dostanę. Ale upiera się, synku, przy tej galerii jak wtedy, gdy rękę uparł się trzymać w słoiku. Mówię ci, uparty jak osioł. Może ty byś mu do rozumu przemówił?

– Spokojnie, mamuś, wszystko będzie dobrze. Tata sprzedaje rzeźby i pomocnikom zapłaci.

– Taaa, sprzeda! Gdzie sprzeda? W Radomiu? Ty widziałeś w ogóle te, pożałuj Boże, rzeźby? – prychnęła lekceważąco. – Zwykłe kloce! Zajrzyj do internetu, bo przecież tam je wystawia. Nie wiem, naprawdę nie wiem, co mu na stare lata odbiło.

Ale ojciec sprzedał. Ba! Miał już kolejne zamówienia. Najpierw ostrożnie, bo trochę się bał wystawić rzeźby za dziesięć tysięcy, jak sugerowałem. Sprzedawał więc za pięćset złotych, ale ponieważ przyjeżdżali klienci wysyłani przeze mnie z gotówką i kupowali po kilkanaście sztuk, szybko mu rzeźb zabrakło, dlatego sukcesywnie podnosił ceny, aż w grudniu, przed świętami osiągnęły apogeum. Te mniejsze sprzedawał po dziesięć, a te większe po piętnaście tysięcy. Wtedy mama przestała narzekać, zaczęła się natomiast dziwić.

– To niewiarygodne, synu, do czego ten świat zmierza. Byłe gównem da się sprzedać. Nie to, żeby nie wierzyła w talent ojca – zastrzegła – ale te rzeźby... no nie wiem... może ja się nie znam... nowoczesna sztuka. Ale sąsiedzi też się dziwią, zachodzą w głowę, dlaczego jest taki popyt akurat na drewniane kloce.

– Minimalizm, mamuś, taka moda, tata widocznie wyczuł rynek. Ludzie lubią proste rzeczy, a im droższa sztuka, tym wydaje się lepsza, choćby była klokiem.

– Nigdy tego nie pojmę. Ale trudno narzekać, da się z tego wyżyć. – stwierdziła – Aż żal, że wcześniej nie odkrył talentu, dawno byśmy mieszkanie wyremontowali, marzy mi się taka biała sofa... I ekspres do kawy... Ech, że też wcześniej Włodziu nie został artystą...

– Lepiej późno niż wcale.

– A na święta z Magdą przyjedziecie? – spytała bardzo miłym głosem. – Bo nie wiem, czy prezenty dla was jakieś szykować...

– Nie kłopotcz się, mamuś.

– Ależ żaden kłopot, sama przyjemność, nie muszę już zaciskać pasa, stać mnie na prezent dla synusia i jego narzeczonej – pochwaliła się mama. – Przyjedźcie, bardzo chcemy ją poznać.

Wtedy też przypomniałem sobie o pierścionku, Magda wciąż go nie miała. Ale nie miała też przecież rozwodu, sprawa miała odbyć się dopiero w styczniu. Mamie jednak nie powiedziałem, że narzeczona wciąż jest mężatką, czasem warto zachować dla siebie szczegóły. Pierścionek jednak postanowiłem kupić, i to jak najszybciej.

\*\*\*

Tiffany. Seledynowe pudełeczko skrywające uroczą błyskotkę, na której widok Magda zapiszczała radośnie, okazało się strzałem w dziesiątkę. Dałem za pierścionek wcale nie tak dużo, czternaście tysięcy, właściwie nawet nie ja, tylko pani Grażynka z domu opieki, bo zapłaciłem jej kartą. Wyglądał jednak okazale i lśnił jak gwiazdy.

– Najwyższy czas, myślałam, że nigdy się nie doczekam. Wspaniały! – oceniła moja, teraz już oficjalna, narzeczona. I włożyła pierścionek na palec, gdzie prezentował się całkiem przyzwoicie w towarzystwie innego, który Magda wcześniej sama sobie kupiła i który chyba był droższy.

– Chyba też najwyższy czas, żebyś poznała moich rodziców, a ja twoich.

– Och, moich nie. – Wywróciła oczami. – Nie lubię ich, od lat nie mamy kontaktu i niech tak zostanie. Teraz zresztą zapewne by mnie już nie poznali. Ale do twoich możemy pojechać. Z przyjemnością. I moją babcię też odwiedzimy.

Nie dopytywałem, nie drażyłem tematu. Skoro nie lubiła swojej rodziny, musiała mieć ku temu powody. Ustaliliśmy, że moich rodziców odwiedzimy w święta, tak jak to obiecałem mojej mamie.

Wyczekiwałem tych świąt, Boże Narodzenie od zawsze kojarzyło mi się z ciepłem i spokojem. A teraz potrzebowałem spokoju i odpoczynku, bo ostatni czas, a już szczególnie ta druga połowa grudnia, był naprawdę bardzo pracowity. Z celebrytów przerzuciliśmy się na szantażowanie biznesmenów. Z tymi był kłopot, bo negocjowali. I to ja, jako ten główny i najważniejszy szef, musiałem akceptować lub odrzucać warunki. Jeden zażądał nawet faktury, bo nie chciał płacić z własnych. I też ja musiałem podjąć decyzję, która z naszych firm mu ją wystawi. Czy ma kupić abstrakcyjnie drogi obraz od Kostrzeby, świąteczny stroik od Pawła (bo ten w grudniu założył firmę oferującą ozdoby i talizmany), czy może wpłacić na fundację. Sprzedaliśmy mu stroik, bo firma Pawła była najświeższa i potrzebowała przychodów. Ręcznie robiona ozdoba, wykonana z najwyższej jakości materiałów, takich jak świeże gałęzie świerku ścinane nocą w czasie pełni, i zawieszzone na nich wyjątkowe bombeczki, wyceniona została na trzydzieści tysięcy i mogła być chlubą firmy. Wymyślaniem i wykonywaniem dekoracji, nie tylko świątecznych, zajmowali się nasi żołnierze, ten pomysł też zresztą podsunęła Magda. Mieliśmy więc w ofercie wszystko, co dało się wykonać ręcznie i mogło być uznane za unikatowe i przez to kosmicznie drogie. W ofercie były też kamienie napełnione czarodziejską mocą.

Naprawdę męczący był ten grudzień. Także w firmie Borcucha, do której przychodziliśmy chyba już tylko z przyzwyczajenia i dlatego, że była doskonałą przykrywką. Manufaktura jednak ledwo co zipała. Po spektakularnej akcji w wakacje wyprzedaliśmy wprawdzie niemal wszystkie zapasy, ale nie produkowaliśmy zbyt wielu nowych szczoteczek, nie angażowaliśmy się też w ich sprzedawanie, więc przychody znów spadły do poziomu, w którym zaczynały pojawiać się podkrążone oczy prezesa. Juliusz Kowalski, najlepszy menedżer, który niedawno wrócił po długim zwolnieniu, ocenił, że ten okręt już tonie i on chyba nie ma ochoty bawić się w łatanie dziur. Złożył wymówienie i tyle go wszyscy widzieli. Borcucha to bardzo przygnębiło. Nie wiedzieć czemu – może tliły się w nas resztki lojalności, może ruszyły nas resztki sumień, ale postanowiliśmy, że i on powinien mieć dobre święta. W końcu od niemal pół roku nieświadomie używał nam swojej firmy do naszych działań. Dlatego znów, podobnie jak w sierpniu, zaprzęgliśmy się do roboty. Na powrót ruszył dział produkcji, dział handlowy, dystrybucja i marketing. No i znów zapełnił się magazyn, więc Darek i Paweł też mieli sporo dodatkowej pracy. Zrobiliśmy wielką świąteczną promocję dla wszystkich klientów – od stomatologów aż po hipermarkety. Mało tego – w ramach premii świątecznej od mafii – setki ekologicznych szczoteczek Borcucha zostały kupione przez naszą fundację. Piotr podpowiedział bowiem, że możemy je potem rozdawać w szkołach jako element promocji zdrowia, a to też mieliśmy wpisane w statucie.

Prezes wreszcie odżył i zaczął tryskać humorem. Słupki i wykresy pokazane mu przez księgowego wprowadziły go w tak dobry nastrój, że aż postanowił urządzić coroczne świąteczne spotkanie, mimo że dopiero co z niego zrezygnował. To spotkanie to była tradycja – co roku przed Bożym Narodzeniem

zapraszano wszystkich pracowników z osobami towarzyszącymi na śledzika i pamiątkowe wspólne zdjęcie przy choince. Spotkanie odbywało się zazwyczaj w jakimś dobrym hotelu, w dużej sali konferencyjnej przystrojonej świątecznie, były prezenty, świetne jedzenie i dużo wina. Ja przychodziłem wtedy sam, ale jadłem i piłem za dwoje. Teraz spotkanie miało odbyć się w nieco skromniejszej formie, ale wciąż z choinką i jedzeniem, tyle że bez prezentów, które byłyby już za dużym wydatkiem. Zaproszeni zostaliśmy jednak jak zwykle, z osobami towarzyszącymi.

– Cudownie – ucieszyła się Magda.

– No nie wiem... Przecież tam będzie twój mąż.

– Co z tego? Przecież mnie nie pozna. Nawet po głosie, bo nie zamierzam z nim rozmawiać, bez obaw.

– Ale w styczniu zobaczycie się na sali sądowej, wtedy się wyda, że jesteś teraz ze mną. Połączy fakty...

– Spokojna głowa, nie mam zamiaru znosić jego pretensji i żalów. Już wszystko wymyśliłam. Rozprawę wyznaczono online, to wiele ułatwia.

– Będiesz na kamerce. Wtedy też cię zobaczy.

– Zobaczy. W starym wydaniu. Naprawdę, kotku, mam już to wszystko ogarnięte, nie stresuj się. Znalazłam specjalistę od programowania i sztucznej inteligencji, tani nie jest, ale robi tak, że na podstawie moich wcześniejszych zdjęć kamera wygeneruje obraz. Będą mnie widzieć. Ale to nie będę ja. To znaczy ja, ale w starym wydaniu, rozumiesz?

Zaprzeciżyłem. Nie rozumiałem nic, ni w ząb.

– Po prostu mi zaufaj – powiedziała Magda.

I byłem już spokojniejszy.

Miała rację. Michał podczas świątecznego spotkania jej nie poznał. Patrzył na nią jak wszyscy i jak wszyscy podziwiał. Ale nie rozpoznał w niej własnej żony. Aż zaciekawiło mnie, jak wyglądała wcześniej. Moja tajemnicza Magda. Stłumiłem ciekawość, co za różnica, w końcu liczy się dziś, a nie wczoraj, a ja mam ideał, jaki zawsze chciałem mieć.

Wszyscy na nią patrzyli, nawet Julka, narzeczona Borcucha, na punkcie której niegdyś szalałem, a która teraz przy Magdzie zdawała mi się przeciętna, zwykła, nieciekawa. Największą satysfakcję odczułem, gdy Julka podeszła do mnie, niby z życzeniami, gdy stałem nieco z boku, w czasie gdy Magda wyszła do łazienki. Scena podobna do tej, kiedy ja w czasie imprezy integracyjnej podszedłem do Julki. Ona wprawdzie nie wyznała mi miłości i nie zaproponowała ucieczki, ale uśmiechnęła się, patrząc mi głęboko w oczy, i złożwszy jakieś banalne życzenia, powiedziała:

– My się chyba nie znamy... Julita.

Chyba już jej się nie układało z Borcuchem, skoro mnie zagadała.

Cisnęło mi się na usta, żeby odpowiedzieć, że jestem Don Alberto. Ale się powstrzymałem. Wystarczyło, że zwróciłem jej uwagę ubiorem, o wiele bardziej eleganckim niż wtedy, gdy się widzieliśmy, dobrym zegarkiem i pewnym siebie spojrzeniem. Poza tym przybyłem z najpiękniejszą na świecie kobietą, więc to także musiało wiele jej o mnie powiedzieć...

– Znamy się – odparłem, również się do niej uśmiechając. – Rozmawialiśmy nie tak dawno, w maju. Wyznałem ci wtedy miłość, nie pamiętasz?

– To ty? – udała, że się zdziwiła. – Przepraszam, nie poznałam...

– Nie szkodzi, to i tak już nieaktualne. Jak widać, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – powiedziałem, spojrzawszy na Magdę wracającą już z toalety.

– Ach. To twoja dziewczyna?

– Narzeczona.

– Wszystkiego dobrego – powiedziała, nieco zmieszana.

– Wzajemnie. Dobrego życia z prezesem, dobrze razem wyglądacie.

Byłem złośliwy, wiem, ale nie mogłem się oprzeć.

Nie odpowiedziała.

## Rozdział 15

Święta z rodziną, a potem sylwester spędzony z Magdą w Paryżu to były chyba najlepsze dni mojego życia. Byłem szczęśliwy, patrząc na zadowolonych rodziców, którzy przy stole nie narzekali już na ciężkie życie i ceny. Byłem szczęśliwy, patrząc na narzeczoną jaśniejącą bardziej niż wieża Eiffla nocą. Byłem odprężony, bo milczał telefon i nie przychodziły maile. Mogłem pozwolić sobie na prawdziwy relaks, nie stresowały mnie ceny w restauracjach ani obrzydliwie duży rachunek za hotel. Popłynęliśmy też Sekwaną, ale nie statkiem ogólnodostępnym dla turystów, lecz elegancką łodzią, na której zaserwowano nam wytworną kolację z szampanem. Dobrze się czułem, nie musząc wszystkiego wyliczać, zastanawiać się, czy na wszystko starczy i czy stać mnie na taksówkę. Nie żałowałem też napiwków, ze swadą rzucałem na stoliki dziesiątki euro, obserwując błysk w oczach tych, którzy potem je zgarniali i kłaniali mi się nisko.

Magda była w swoim żywiole, organizowała nam kolejne paryskie wieczory i noce. Dnie spędzaliśmy w galerii Lafayette, bo Magdunia zawsze przy śniadaniu przypominała sobie o jakimś wspaniałym sklepie, do którego jeszcze nie wstąpiła.

Sylwestrową noc, która była ukoronowaniem naszego pobytu, spędziliśmy w tym obrzydliwie drogim hotelu, ubrani w drogie paryskie ubrania nabyte w Lafayette. Przy naszym stoliku siedziało kilka par, wszyscy mówili po francusku, którego nie rozumieliśmy. Zachowywali się jednak podobnie jak my – nie żalowali kasy na najdroższe drinki. Obstawiałem, że to francuska mafia. Dwa stoliki dalej dostrzegłem Japończyków, z pewnością przedstawicielei Yakuzy. Zastanawiałem się, czy są tu też Włosi, prawdziwa Cosa Nostra albo Camorra. Nie zdradziłbym, rzecz jasna, że od pół roku prowadzę ich oddział w Polsce, ale miałbym okazję pochwalić się językiem i być może zaimponowałbym Magdzie. Ale nie miałem szansy rozejrzeć się za Włochami, bo Magda chciała tańczyć, wirować, brylować. Chciała cały czas być na parkiecie – tam była doskonale widoczna z każdego miejsca. Lubiła rzucać się w oczy.

To były piękne dni, które dały mi siłę na zmierzenie się z kolejnymi zadaniami czekającymi mnie po Nowym Roku. Plany mieliśmy potężne. Powoli wyczerpywał się sposób z mailami i wirusem, bo był już tak popularny, że coraz mniej ofiar dawało się łapać. Dlatego sprowadziliśmy z Chin setki pendrive'ów, na które wgraliśmy trefne zaszyfrowane pliki – wzorując się na pendrivie świętej pamięci Wiśniewskiego. Zamierzaliśmy je wysyłać z informacją, że hasła do plików zostaną podane dopiero po wpłacie. Pliki były puste. To znaczy, nie do końca, bo zależało nam, żeby jednak widać było jakieś kilobajty. Dlatego Bartek wymyślił, by wgrać tam niewyraźne skany dokumentów, rzekomo obciążających ofiarę. Mieliśmy ludzi, miał więc kto preparować te pisma. Co z tego, że nie pokrywały się z prawdą. Temu, który zapłacił, było już przecież wszystko jedno, co tam jest, ważne, że nie wyciekło.

W drugiej połowie stycznia mieliśmy już wszystko gotowe i mogliśmy ruszać na nowo, pełną parą. Pendrive'y, sztab kurierów specjalnych, rozsianych po całej Polsce. Do tego kilka dwuosobowych zespołów, śledzących policję – głównie w dużych miastach. Te zespoły odpowiedzialne były za poszukiwanie medialnych trupów.

Byłem zdumiony, jak prężnie to wszystko działa. Niczym w zegarku. To niewiarygodne, że przez ledwie osiem miesięcy udało się zbudować aż tak wielką i sprawną organizację. Przecież zaczęło się od maleńkiego marzenia o własnej mafii, od abstrakcyjnego planu, który właściwie to miał mi tylko pomóc nabrać pewności siebie. Szczerze mówiąc, sam nie spodziewałem się, że grupa aż tak się rozrośnie. Owszem, pompowałem to wyobraźnią, ale rzeczywistość przeszła wszelkie granice.

Działało jak w zegarku. Te najniższe, lokalne struktury same się organizowały, do nas sphywała tylko kasa. Sprzedawaliśmy im patenty na zasadzie franczyzy. Korzystali oczywiście ze wszystkich naszych zasobów, przede wszystkim z logo – które wymyślił Gabriel. Cosa Nostra Polska. Mogli też podpisywać listy moim nazwiskiem, to znaczy pseudonimem. Ale działali niezależnie. Aż dziw, że do tej pory nie było większej wpadki. Zdarzały się małe. Na przykład jakiś lokalny biznesmen prowadzący działalność znajdującą się terytorialnie na granicy dwóch gmin dostał zdublowane żądania. Rzucał się wtedy, że on dwa razy za to samo nie zamierza płacić. W takich sytuacjach góra – czyli my – musieliśmy rozstrzygać, kto był pierwszy i komu należy się śmietanka. Albo wpadka z kurierem, który dostarczał rybę do restauracji, ale zapomniał się przebrać. Pisał później do nas spanikowany, że z pewnością chwyciły go kamery. Też panikowaliśmy, ale nic się nie wydarzyło, być może kamery były jedynie atrapami – jak nasze pistolety. Raz



mieliśmy też problem z lokalnym słupem, który – gdy tylko na jego konto wpłynęły pieniądze – zmienił dostępność i zniknął. W tym przypadku musiałem zapewnić, że facet zostanie dorwany. Ale żaden z nas go nie szukał. Ostatecznie poinformowałem, że zajął się nim nasz *Capo di tutti capi*. Albo się zajmie. To już jego działka.

Gorszych wpadek, przez które musielibyśmy wszyscy uciekać w popłochu z Polski, nie było. Aż niewiarygodne, że jak dotąd wciąż nie zapukała do nas policja. Mimo że było o nas głośno, mimo że działaliśmy niemal na widoku, bo przecież celebryci upubliczniali dane kont naszych słupów, policja rozkładała ręce. Wciąż nie wpłynął do nich ani jeden dowód naszego przestępstwa, wciąż zgłaszali się jedynie ci, którzy nic nie zapłacili. Nie było więc podstaw do rozpoczęcia śledztwa, bo mieli jedynie mętne sygnały i nie mieli ofiar. Celebryci zrobili wokół przelewów dla nas cyrk i choć dysponowali wszelkimi danymi, łącznie z potwierdzeniem wpłat, to nie kwapili się, by pójść z tym na policję, chyba nie chcieli z nami zadzierać, poza tym akcję wysyłania kasy do mafii potraktowali marketingowo, ich filmy dzięki temu miały miliony wyświetleń, a oni zarobili na nich jeszcze większą kasę. Wszyscy więc korzystali.

Biznesmeni też się nie kwapili, by zgłaszać sprawy na policję czy do sądów. Nie żądaliśmy aż tak wielkich kwot, żeby warto im było poświęcać czas oraz wydawać kolejne pieniądze na prawników.

Dzień po dniu nabierałem przekonania, że coraz bardziej wchodzimy w tryb pełnej symbiozy. Nikt się nie rzuca, nikt się nie burzy, każdy zna swoją rolę. My żądamy, oni płacą. Bywa, że negocjują, ale ostatecznie płacą.

Czuliśmy się bezkarni. I nawet ten biedny prokurator jamnik, o którym nie wiedzieliśmy, że węszy, też zaczął nabierać przekonania, że jesteśmy bezkarni. Jako jedyny po tamtej stronie zaczynał nazywać nas mafią.

\*\*\*

Pod koniec stycznia odbyła się rozprawa rozwodowa Magdy. Online. Siedziałem jak na szpilkach, spanikowany, czy sztuczna inteligencja i gość od programów podołają i czy rzeczywiście kamerka prześle obraz ruchomej Magdy wyglądającej jak kiedyś. Ale Magda się nie denerwowała. Była zdumiewająco spokojna, kazała mi iść do pracy, zapewniała, że wszystko ma pod kontrolą.

Poszedłem więc, ale i tak nie mogłem się skupić. Nawet tryskający humorem Paweł prezentujący nam swoje implanty, które wreszcie zrobił, nie zdołał wyrwać mnie z zamyślenia. Czekałem na sygnał. Bałem się. Co, jeśli Magda zaliczy wpadek?

Ale Magda nie zaliczała wpadek. Naprawdę wszystko miała pod kontrolą, dopracowane w każdym szczególe. Inteligentna bestia, wykorzystująca możliwości nowych technologii i potrafiąca tak manipulować ludźmi, że nawet kiedy sędzia uskarżał się, że obraz jest niewyraźny i trochę zrywa i chciał przełożyć rozprawę, szybko go ustawiła do pionu.

Dostali rozwód już za tym pierwszym posiedzeniem. Nie mieli dzieci, nie kłócili się o majątek. Całkowity rozpad pożycia. „Żona wyprowadziła się kilka miesięcy temu” – jak tłumaczył sędziemu Michał. – „Nie mamy już ze sobą kontaktu”.

Wróciła do panińskiego nazwiska. Za chwilę miała przyjąć moje.

Ślub planowaliśmy latem, niekoniecznie w Polsce. Miało być elegancko i z pompą. Na razie tworzyliśmy listę gości. I realizowaliśmy kolejne punkty życiowego planu.

Powoli zaczynała doskwierać nam ciasnota. Moje mieszkanie coraz bardziej przypominało sklep wypełniony po brzegi luksusowymi towarami. Magda wprawdzie nie narzekała, wiedziała przecież że jeszcze trochę musimy poczekać, aż wypierzemy wystarczająco dużo kasy, by legalnie kupić duże mieszkanie. Czasem jednak ją irytowało, że wciąż musi przestawiać kolorowe pudła i szukać w nich rzeczy, których nie mogła rozwiesić w szafach, bo nie było tam miejsca. Coraz częściej oglądała domy i apartamenty wystawione na sprzedaż. Zależało jej na przestronnej garderobie oraz dużej łazience umiejscowionej tuż przy sypialni. Ja chciałem mieć dużą kuchnię z olbrzymią lodówką, w której mieściłoby się dużo piwa.

W lutym nastąpiło sporo zmian. Ten zimowy miesiąc, smętnawy pod względem aury, bo zamiast śniegu padał deszcz i niebo było wiecznie zachmurzone – okazał się dla niektórych naprawdę ponury i smutny. Nie dla nas, bo mafia miała się świetnie. Borcuch jednak zarządził zwolnienia w manufakturze. Z uwagi na to, że przychody w ostatnim czasie były trudne do przewidzenia, a koszty wciąż rosły, bo jednak dział marketingu działał prężnie i produkował kolejne reklamy – choć akurat nie tych produktów, które powinien, prezes zdecydował się na cięcia. Podobno długo myślał i serce miał ciężkie, ostatecznie jednak

zostawił wszystkich tych najbardziej zaangażowanych, ubranych na czarno, czyli stosujących metodę kontrastu – co dla Borcucha było znakiem, że im właśnie najbardziej na firmie zależy. A resztę zwolnił.

Nie dowierzaaliśmy, co się dzieje. Nagle, niemal z dnia na dzień, zniknęli zwyczajni pracownicy firmy, a została tylko mafia. Z początku trudno było nam się w tym odnaleźć. Nie musieliśmy już stwarzać pozorów, grać przed innymi, nie musieliśmy szeptać ani zamykać się w magazynie. Firma była nasza.

Przez pierwsze dni po tej zmianie chodziliśmy trochę jak śnięci. Dziwnie było funkcjonować bez tych, którzy dotąd tworzyli dla nas tło. Teraz byliśmy już wszyscy na widoku Borcucha, który z pewnością spodziewał się po nas jeszcze większego zaangażowania. Ale nasza para szła akurat w innym kierunku. Nie interesowały nas szczoteczki.

– Trzeba usunąć Borcucha – zdecydowała Magda, gdy powiedziałem jej o tym, co wydarzyło się w manufakturze.

– No ale jak? To przecież jego firma – powiedziałem. – Nie odwołamy go ze stanowiska, jesteśmy tylko pracownikami. Musielibyśmy kupić manufakturę.

– Więc kupcie.

Długo potem nad tym myślałem. Wprawdzie kiedyś z chłopakami rzucaliśmy takie pomysły, ale były mówione żartem, raczej nie braliśmy tego na poważnie. A jednak przydałaby nam się teraz ta firma, moglibyśmy urządzić w niej kolejną pralnię, zachowując przy tym przykrywkę – wszak pracowaliśmy w niej od wielu lat, niektórzy – jak Piotr, od kilkunastu. Można by znów uruchomić produkcję, sposoby na konkurencję mieliśmy już opracowane. Teraz już tylko Borcuch był niepasującym ogniwem. Nie zamierzaliśmy pracować dla niego, jeśli mieliśmy zarabiać na szczoteczkach, to już tylko dla siebie.

Na kolejnym spotkaniu zarządu poruszyłem ten temat. Chłopaki po wnikliwej analizie uznały, że ma to sens. Jolanta się nie odzywała, ale ona już od jakiegoś czasu nabierała dystansu do naszych spotkań, bardziej angażowała ją praca na rzecz fundacji. Wciąż dla nas, ale już w innym obszarze.

Piotr szybko wyliczył, ile warta obecnie jest firma. Niemało, mimo spadających przychodów. Teren, budynki, maszyny. Niemało.

– Podrasuję trochę papiery, żeby wyszło taniej – zaproponował.

Dobrze mieć w zespole kreatywnego księgowego, który przy okazji jest też księgowym firmy, którą zamierzaliśmy kupić. Oczywiście oficjalnie wcale nie my. Po dwóch tygodniach przeliczeń, wyliczeń, analiz, wysłaliśmy zaufanego słupa – faceta, który na co dzień mieszkał w Poznaniu. Ubraliśmy go porządnie, daliśmy ładne wizytówki, poinstruowaliśmy, co ma mówić – a że był inteligentny, to szybko załapał – i wysłaliśmy do naszego prezesa z ofertą kupna manufaktury.

Borcuch z początku go odprawił. Nie chciał rozmawiać o sprzedaży. Przynęta jednak została rzucona.

Po kilku dniach Borcuch, widocznie myśląc intensywnie nad nadarzącą się okazją, zaprosił do gabinetu Piotra. Księgowy był przygotowany. Przedstawił prezesowi smutne dane.

– Czyli toniemy jednak? – zamyślił się prezes. – Kowalski miał rację. A to szczur, uciekł z okrętu jako pierwszy.

Pasternak pokiwał głową, nie pozostawiając cienia nadziei.

Dwa tygodnie później, pod koniec lutego, doszło do transakcji. Borcuch, z bólem serca, niemal płacząc, ale sprzedał firmę. Negocjował ostro. Biznesmen. Uznaliśmy, że za jakiś czas wyślemy mu przesyłkę z pendive'em i żądaniami, żeby jakoś sobie wyrównać te koszty.

Pod koniec lutego, właściwie na przełomie lutego i marca, doszła jeszcze jedna zmiana. Jolanta złożyła wypowiedzenie z funkcji członka zarządu mafii. Jeździła już wypasionym elektrycznym wózkiem wartym ponad sto tysięcy, który kupiła na kredyt, bo jako prezes fundacji zarabiająca miesięcznie ponad dziesięć tysięcy mogła sobie na niego oficjalnie pozwolić. Stwierdziła, że zrealizowała swój cel i teraz chce się w pełni poświęcić pomocy innym.

– Czyli nam... – uściślił Darek, bo przecież fundacja powstała dla nas.

– Jeśli fundacja ma być skuteczną przykrywką, powinniśmy też pomagać innym, dla niepoznaki – stwierdziła Jolanta. – A jest co robić. To wymaga zaangażowania.

– Ma rację – przyznał Piotr.

My też się zgodziliśmy, bo przecież i tak nie było wyjścia. Jolanta była zbyt cenna, by wchodzić z nią w konflikt. Zresztą, rezygnując z funkcji członka zarządu mafii, pozbawiła się dodatkowych premii wynikających z podziału zysków. Więcej zostawało dla nas.

## Rozdział 16

Brzozy zaczynały odżywać po zimie. Co nie było bez znaczenia, bo Gabriel, pragnąc założyć własną pralnię, stworzył firmę sprzedającą sok z ekologicznych brzóz. Trochę się z tego podśmiewaliśmy, bo przecież nie znamy brzóz, które nie byłyby ekologiczne, ale Gabriel tłumaczył, że to nieważne, ważny jest przekaz, marketing. Podał nam przykład producenta, który na opakowaniu ryżu dodał wielki napis, że to bezglutenowy ryż. I ten ryż zaczął sprzedawać się w błyskawicznym tempie.

– Bo niektórzy mają uczulenie na gluten – zauważył Paweł. Już nie mogliśmy nazywać go Szczerbatym, a szkoda, bo ksywa była świetna.

– Ryż nie zawiera glutenu. – Gabriel stuknął się w czoło, patrząc na Pawła. – Żaden. Gluten jest tylko w zbożach takich jak pszenica, żyto, rozumiesz?

– Spoko, już łapię. Czyli twój sok będzie z ekologicznych brzóz.

– No. Właśnie tak będzie. – Gabriel się uśmiechnął.

Wszyscy mieliśmy wspaniałe humory. Nowy właściciel manufaktury podwyższył nam pensje o trzysta procent. Chcieliśmy o tysiąc, ale Piotr nie pozwolił. W dodatku trzeba było znaleźć nowych pracowników, bo starzy aktualnie zajmowali się już czymś zupełnie innym. Ale nie było to dla nas wielkim wyzwaniem – rekrutowaliśmy wśród swoich, tych mniej aktywnych, dla których na razie nie było mafijnych zadań.

Kupno fabryki było dla nas sporym i jednak – mimo wszystko – niespodziewanym wydatkiem. Inwestycja miała niebawem się zwrócić, ale na razie nasz budżet został mocno nadszarpnięty. Pieniądze od biznesmenów wprawdzie wciąż spływały, ale zaczęli wśród nich pojawiać się też tacy, którzy byli niestabilni emocjonalnie – najpierw płacili, a po kilku dniach zmieniali zdanie i chcieli zwrotu tej kasy. Nie zwracaliśmy oczywiście. I kilku z nich zgłosiło nas na policję.

Na to tylko czekał jamnik. Ale tych zgłoszeń wciąż było zbyt mało, by ruszyć machinę śledzącą. Nasze serwery, na których mieliśmy zarejestrowane maile, były skrzętnie ukryte w dalekich krajach, dlatego zwyczajny policyjny informatyk nie mógłby wysledzić, skąd je wysyłamy. Do tego potrzeba było nakazu, wielu miesięcy czekania, a prokurator nie dostał na to zgody od zwierzchników. Ale my wiedzieliśmy wtedy tylko tyle, że tymi kilkoma zgłoszeniami nie ma się co przejmować – co przekazali nam opłaceni gliniarze.

Więc się nie przejmowaliśmy.

– Mimo to powinniśmy powoli zmieniać grupę docelową – zaproponował Gabriel. – Skoro biznesmeni zaczynają jątrzyć z policją, nie ma co stąpać po cienkim lodzie. Przerzucmy się na lekarzy.

– Albo na polityków – wtrącił Darek. – Ci mają sporo za uszami.

Po krótkiej dyskusji postanowiliśmy lekarzy oddać działaczom lokalnym, sami zaś zabraliśmy się za polityków. To miała być studnia ze złotem. Sejm to czterystu sześćdziesięciu posłów. Do tego stu senatorów. Do tego politycy, którzy nie dostali się do parlamentu, również cała masa niezrzeszonych, bezpartyjnych, do tego dziesiątki prezydentów miast i gmin, burmistrzowie, wójtowie, wszelkiej maści działacze lokalni. To szło w tysiące, setki tysięcy osób uważających się za prominentne, posiadające wpływ. Studnia. Prawdziwa studnia ze złotem. Nawet jeśli wielu z nich było uczciwych, w co wątpiliśmy, to liczyliśmy na to, że wpłaty od tych nieuczciwych pozwolą nam nie tylko załatać dziurę w budżecie po kupnie fabryki Borcucha, lecz także zapewnią kasę na kolejne lata beztróskiego życia, może nawet inwestycje.

Najwięcej czasu zajęło nam ustalanie strategii. Politycy byli przedstawicielami różnych grup społecznych, trudno nam było jednoznacznie ustalić, co właściwie moglibyśmy wrzucić na pendrive'y kierowane do nich. Czy miałyby być to preparowane dokumenty, jak w przypadku biznesmenów, czy może rzekome dowody przekrętów albo jakieś dyskredytujące zdjęcia. Nie wiedzieliśmy też, ile można żądać od polityków. Wiadomo było, że minister zarabia więcej niż zwykły poseł, a ten z kolei więcej niż lokalny działacz. Czy powinniśmy więc różnicować żądania, a może je uśrednić?

Mawiają, że pycha kroczy przed upadkiem. Mają rację.

Byliśmy tak pewni siebie, że ostatecznie zrezygnowaliśmy z wysyłania pendrive'ów. Uznaliśmy, że w tym przypadku wystarczą maile. Podpisane jako Cosa Nostra Polska – na tyle już rozreklamowana, że nie powinna budzić wątpliwości, iż mamy dostęp do informacji, które mogą wywołać niepokój a nawet strach. Szczególnie na poziomie państwa.

Gabriel wymyślił komunikat.

„Szanowna Pani (lub – Szanowny Panie). Z tej strony włoscy przyjaciele – Cosa Nostra. Uprzejmie informujemy, że wiemy, co zrobiłaś. Domyślamy się, że zależy Ci na wizerunku, a przede wszystkim na wyborcach. Dlatego jesteśmy skłonni zachować dowody dla siebie – nie przekazywać ich mediom, a nawet zniszczyć. Oczekujemy w zamian zadośćuczynienia. Jego wysokość zależy od Ciebie. Wpłać tyle, ile uznasz za stosowne”.

I tu oczywiście numer konta.

Na próbę wysłaliśmy maila do dziesięciu wytypowanych losowo polityków. Najpierw tych mniej znanych, ciekawi byliśmy czy zapłacą i ile. Po tygodniu wpłynęły trzy przelewy. Dwie posłanki opozycji wpłaciły nam po dwadzieścia tysięcy każda, natomiast poseł partii rządzącej przekazał dziwną kwotę: trzydzieści dwa tysiące sześćset osiemdziesiąt dwa złote. Zachodziliśmy w głowę, dlaczego akurat tyle, ale szybko stwierdziliśmy, że nie ma sensu się nad tym zastanawiać. Troje na dziesięć to trzydzieści procent trafień, niezły wynik, biorąc pod uwagę, że na pierwszy ogień poszli ci mniej znani. Dzień w dzień wysyłaliśmy kolejne partie maili. Potem co jakiś czas przychodziły mniejsze lub większe przelewy. Można powiedzieć, że odzyskaliśmy dzięki temu płynność finansową i mafia znów mogła wypłacać żołąd oraz dzielić zyski. Można też powiedzieć, że żyliśmy w beztroskiej nieświadomości, ponieważ nie mieliśmy wtedy pojęcia, że politycy przeciwnych opcji – choć na zewnątrz względem siebie zdystansowani, a nawet wrodoży, spotykają się po cichu towarzysko. Poza zasięgiem kamer, w restauracyjnych salach dla VIP-ów omawiają przy wódeczce setki spraw, niekoniecznie politycznych. Nie wiedzieliśmy o tym, bo niby skąd. To wypłynęło dopiero po jakimś czasie, gdy w jednej z restauracji został założony podsłuch zlecony przez jakiegoś biznesmena. Właśnie przy tej okazji wypłynęła też sprawa naszego szantażu – o czym poinformował nas mailem inny biznesmen, jeden z tych, których szantażowaliśmy. Przesłał nam fragment nagrania, chcąc w nagrodę otrzymać zwrot kasy, którą nam wcześniej wpłacił, i oczywiście jakąś dodatkową gratyfikację za ceną jego zdaniem informację.

Słuchaliśmy tego nagrania z zapartym tchem. Rozmawiali o różnych sprawach, ale dla nas najważniejsza była tylko ta jedna:

„Jak widać, ten Don Alberto tak się rozpanoszył w naszym kraju, że ma odwagę i nas już szantażować. Nas, polityków? Kurwa! Kto tu rządzi!? Przecież państwo jest nasze i tylko nasze, to my ustalamy, kto i co może w nim robić. A nie jakiś dupek i jego mafia. W końcu to my mamy wszystkie organy państwa do dyspozycji. Trzeba dopaść tego skurwysyna”.

\*\*\*

Długi majowy weekend spędzałem z Magdą w Mediolanie. Ale nie potrafiłem się odprężyć. W głowie wciąż dudniła mi ta cholerna myśl, że być może mają nas już na widelcu. Sygnały od przekupionych glin były niepokojące, choć jeszcze nie wprowadzały paniki. „Chyba coś się dzieje, ale nie wiemy co”. „Jest jeden taki prokurator, coś ma, ale trudno ocenić, czy to coś poważnego. Nic nam nie mówią”.

Denerwowałem się. Magda za to była zdumiewająco spokojna. Z właściwą sobie gracją przemierzała mediolańskie uliczki prowadzące do najdroższych sklepów, by znaleźć suknię odpowiednią na przyjęcie zaręczynowe. Bo przełożyliśmy ślub. Okazało się bowiem, że – nawet posiadając kasę – nie jesteśmy w stanie tak szybko zorganizować wszystkiego, co Magda sobie wymarzyła. Postanowiliśmy więc odłożyć ślub na kolejny rok, a na razie zadowolić się skromniejszym przyjęciem, formalizując narzeczeństwo.

– Rozchmurz się – powiedziała, kiedy z posępną miną towarzyszyłem jej w zakupach. – Dla ciebie też coś znajdziemy – podkreśliła.

– Mam gdzieś ubiór – wymamrotałem, błędząc myślami.

– Jak to masz gdzieś? Przecież to ważna uroczystość. Skup się.

– Nie umiem! – warknąłem. – Ciągle myślę o tym nagraniu. Co, jeśli nas dorwą? Jeśli zatrudnili specjalistów, zajrzą w maile, choć już wykasowaliśmy, co trzeba, ale to przecież da się odzyskać. Podziwiam twoje opanowanie, przecież też jesteś w to wszystko zamieszana.

– Ja? A niby jak? Rozmawialiśmy tylko przez komunikator. Szyfrowany. Nie dotrą do tego. – Wzruszyła ramionami. – Trzeba było nie zakładać kont mailowych. Zresztą niepotrzebnie się martwisz. Bo co wam niby zrobią?

– Wsadzą nas!

– Oj tam, nawet jeśli, to przecież nie na długo. Mamy kasę, opłacisz najlepszych prawników. A na razie skoncentruj się. Czy ten pudrowy róż nie jest za mdły?

Magda obróciła się wokół własnej osi, prezentując zwiewną sukienkę wykonaną z bardzo cienkiego i niemal przezroczystego materiału. Wyglądała, jakby zrobiona była z różowej mgły.

– Prezentujesz się pięknie – przyznałem.

– No! I to jest właśnie najważniejsze – stwierdziła Magda.

A jednak nie zdołała mnie na tyle uspokoić, żebym przestał myśleć i się nakręcać. Wciąż – tym razem już tylko na tajnym komunikatorze – kontaktowałem się z Arturem, podpytując, czy są nowe wieści od glin. Ale nie było nic nowego.

Kiedy wróciliśmy do Warszawy, wszystko wyglądało zwyczajnie. Pod moim blokiem nie parkowały obce auta, w których mogliby siedzieć tajniacy obserwujący moje mieszkanie. Nikt mnie nie zaczepiał, nie dostałem też żadnych listów wzywających na przesłuchanie. Świat wyglądał zupełnie tak samo jak przed informacją o nagraniu. W manufakturze też nie zdarzyło się nic niezwykłego. Żadnej kontroli, żadnego nalotu policji. Nic, co mogłoby świadczyć o tym, że naprawdę nas ścigają.

– Może to się rozejdzie po kościach – powiedział Darek z nadzieją. – Teraz, gdy te nagrania wyciekły, mają co innego do posprzątania. Rozmowa na nasz temat trwała zaledwie kilka sekund, nawet szczególnie nie roztrząsano jej w mediach, została przykryta przez inne, ciekawsze dla ludzi fragmenty.

– Może i tak... – przyznałem. – Na wszelki wypadek powinniśmy ograniczyć działalność, opróżnić konta słupów i przetransferować kasę na inne, te, do których nie ma śladu.

– Skoncentrujmy się na działaniu manufaktury. Odkąd ruszyliśmy z nowym zespołem, jest szansa, że będziemy mieć w tym roku spory zysk – zaproponował Piotr. – Pieniądzy nam nie brakuje, wciąż spływa kasa od naszych lokalnych współpracowników, którzy obrabiają lekarzy i wzięli się też za właścicieli kantorów walutowych oraz droższych butików. Hajsu nam nie brakuje, panowie. Teraz trzeba to wszystko wyprać. Póki więc temat polityków nie ucichnie i nie nabierzemy pewności, że zapomnieli o nas, skoncentrujmy się na fabryce, mówię serio. To nam przyniesie miliony.

Skoncentrowaliśmy się więc. I znów poczułem się jak dawniej. Handlowiec sprzedający szczoteczki do zębów. Z tą różnicą, że rok temu osobiście biegałem po stomatologach, by namawiać ich do oferowania naszych produktów pacjentom, osobiście zaopatrywałem drogerie, jeździłem też po marketach. Jak każdy z nas. Teraz wyznaczałem zadania innym, podległym mnie. Teraz to była moja fabryka, choć na papierze zachowałem stare stanowisko. Oficjalnie zarabiałem trzy razy więcej niż przed rokiem. Nieoficjalnie zarabiałem krocie.

Dzień po dniu słabło napięcie spowodowane nagraniem i przeciekami z policji. Wyobrażaliśmy sobie, że wściekli politycy działają szybko, mijał już jednak miesiąc, odkąd dowiedzieliśmy się o nagraniach, i nie wydarzyło się nic.

Cisza.

Przed burzą?

Odsuwałem od siebie wszelkie natrętne złe myśli. Magda powtarzała, że nie ma co się martwić na zapas. Wymuszała na mnie zaangażowanie w organizację przyjęcia. Oglądaliśmy piękne restauracje położone w malowniczych miejscach, próbowaliśmy dań, wybieraliśmy wina. Imprezę zaplanowaliśmy na przełomie lipca i sierpnia, w terminie, w którym początkowo miał odbyć się nasz ślub. Liczyliśmy, że środek lata zapewni nam najlepszą pogodę. Moja mama piała z zachwytem.

– Nigdy nie byłam na przyjęciu zaręczynowym – powiedziała. – Wspaniały pomysł. Ciocię Krysię już zaprosiłeś? Bo nie wiem, czy kiedy będę z nią rozmawiać, mogę coś wspomnieć na ten temat.

– Zaproszenia zostaną wysłane lada dzień – zapewniłem. – Ale nie będzie wielu osób z rodziny, Magda nie ma własnej, nie chcemy dużej dysproporcji, koncentrujemy się na znajomych.

– Oczywiście, rozumiem. Ale Krysię zaprosz – przypomniała mama.

Dobrze było słyszeć ją taką rozanieloną. Też wybierała już sukienki, nie musiała się martwić o pieniądze, tata dostarczał je regularnie.

– A wiesz, że jeden z sąsiadów pozazdrościł Włodzowi i też został rzeźbiarzem – napomknęła. – Ale nie idzie mu tak dobrze. Właściwie wcale mu nie idzie, choć sprzedaje podobne kubiki, też z drewna.

– Nie idzie mu? – spytałem, udając zainteresowanie.

– No, nie idzie. I bardzo dobrze, złodziej pomysłów! – zachnęła się mama. – Nawet nie zapytał, czy

może powielić podobne kształty, po prostu je zrobił. Ale nie sprzedał żadnego.

– To ciekawe...

– Dla mnie to jasne. Zwykły rzeźbiarz to co innego niż rzeźbiarz bez ręki. Ludzie, jak widać, nie biorą od byle kogo. Ojciec osiągnął sukces dzięki temu, że jest wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju – tłumaczyła. – A poza tym Włodek ma niekwestionowany talent. Prawdziwy talent zawsze się obroni... Mieszkania oglądam – powiedziała nieco ściszym głosem. – Tak na razie tylko patrzę...

– Przeprowadzacie się? – spytałem, bo choć taki przecież był plan, to nie spodziewałem się, że ojciec zacznie go realizować aż tak szybko.

– No, dziecko, młodzi już nie jesteśmy. Czasem strzyka to tu, to tam, a zakupy same się nie wniosą. Rozglądam się za jakimś ładnym mieszkankiem w bloku, w którym jest winda. Włodziu mówi, że jeśli dobrze pójdzie, za rok możemy zaprosić was na parapetówkę.

– Trzymam kciuki!

– A tobie, synuś, czegoś nie potrzeba? – zatroskała się mama. – Bo wiesz, teraz, kiedy ojciec tyle zarabia, moglibyśmy troszkę cię wesprzeć. Może dołożymy się do wesela?

– To dopiero za rok. Poza tym nic mi nie trzeba – zapewniłem.

– Zatem teraz dołożymy się do przyjęcia zaręczynowego, a za rok do wesela – podsumowała radośnie mamusia głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Nie zaoponowałem. Nie było sensu się temu sprzeciwiać, zwłaszcza że miałem teraz na głowie inne, znacznie ważniejsze sprawy.

## Rozdział 17

Kilka minut po szóstej zadzwonił mój telefon. Ten na kartę, zarejestrowany na słupa. Natychmiast się rozbudziłem, wiedząc, że jeśli ktoś dzwoni na ten numer, w dodatku o tej porze, sprawa musi być ważna.

I była.

Telefonował Artur. Też jeszcze zaspany, ale już owładnięty stresem, z informacją, że właśnie dostał cynk od kuzyna.

– Wpadną do ciebie za pół godziny! – charczał zachrypniętym głosem.

– Kto? – Poczułem, jak robi mi się gorąco.

– Policja. Przeszukiwać będą, mają nakaz czy coś, nie wiem dokładnie, bo Jarek też chaotycznie mi to przekazał wszystko.

– Do mnie do domu? – upewniałem się. – Czy do fabryki?

– Do domu. Namierzili cię po IP laptopa, do chłopaków z zarządu też wpadną, zaraz ich obdzwonię.

– Kurwa.

– Nie wiem, co robić. Czy mnie też oskarżą o coś? Powinienem pakować rodzinę i uciekać z kraju? Przecież jak zaczną was ciągnąć za język...

– Nie sypniemy – zapewniłem.

– Cholera wie, co na nas wszystkich mają. Może poinformuj *capo di tutti capi*. Niech nas broni! – wyjącał płaczliwie Artur.

Jasne. *Capo di tutti capi*, który nie istnieje, nas obroni.

Kurwa.

Sam nie wiedziałem, co robić.

Obudziłem Magdę.

– Wstawaj, za pół godziny będą tu gliny – panikowałem, nie potrafiąc znaleźć sobie miejsca. Na przemian było mi zimno i gorąco. – Mają nakaz, przeszukają mieszkanie.

– Nic nie znajdą. Po co te nerwy?

– Nic nie znajdą? – Spojrzałem na nią, jakbym widział ją pierwszy raz. – A to? – Przesunąłem ręką, wskazując dziesiątki pudeł zawierających ubrania i buty drogich marek.

– To moje. – Magda wzruszyła ramionami. – Przecież mam prawo mieć ubrania, które nie mieszczą się w szafach. To za małe mieszkanie. Dlatego są w pudłach.

Odetchnąłem głośno.

– Nie o tym mówię, Magda. Dobrze wiesz, co jest w tych pudłach. To nie ciuchy za stówkę, ale za dziesiątki tysięcy złotych.

Tym razem ona na mnie spojrzała, jakby widziała mnie pierwszy raz.

– No i co? – spytała. – Nie mogę ich mieć? Przecież ich nie ukradłam, ale kupiłam.

– No właśnie! Za co kupiłaś? Jako bezrobotna?

– Spokojnie, wrzuc na luz – zbesztła mnie. – Najwyżej mi zabiorą te pudła. Kasy tu nie znajdą, nic nie znajdą. Laptopa zniszczyłeś, pieniądze mamy poukrywane. Nikogo nie zabiliście, narkotyków też tu przecież żadnych nie ma, a broń to atrapa. Czym się denerwujesz?

Usiadłem, rozboleła mnie głowa.

– Po prostu się denerwuję – przyznałem nieco już ciszej. – Do niczego się nie przyznam, ale co, jeśli reszta zacznie sypać? Jeśli tak się zestresują, że powiedzą, że to ja? Że ja za wszystkim stoję? – jęczałem, powstrzymując się, żeby nie zacząć płakać.

– Kotku. – Magda pokręciła głową. – Przecież zawsze można powiedzieć, że zostałeś do tego zmuszony.

– Przez kogo?

– Zapomniałeś już, jak się poznaliśmy? Straszyles mnie szefem wszystkich szefów, który przecież nie istnieje.

– Domyśliłaś się tego wtedy – przypominałem sobie.

– Ale reszta wciąż jest przekonana, że jest nad tobą jakiś szef, prawda?

Zamyśliłem się. Rzeczywiście nigdy nikomu nie zdradziłem, że to bujda. O tym, że nie ma żadnego

Mentora, wiedzieliśmy tylko ja i Magda. Jeśli chłopaki zaczną sypać, z pewnością wspomną też o nim. Ja też zwalę na niego. To może się udać – pomyślałem z nadzieją, ale zaraz znowu oklapłem.

– Wolałbym, żeby nie trzeba było przywoływać szefa, który nie istnieje – przyznałem. – Przecież w końcu się wyda, że to był blef.

– Może nie trzeba będzie, może nic nie znajdą – pocieszyła Magda.

– Znajdą! Skoro chujki się uparły, żeby nas dorwać, to na pewno coś znajdą. Karty! – oświeciło mnie.

– Karty do bankomatów! Te na poprzednie słupy! Trzeba je zniszczyć!

– To niszczy, a ja zrobię kawę.

Magda poszła do kuchni, ja w tym czasie wyjąłem gruby portfel wypełniony kartami. Przez kilka minut szukałem cholernych nożyczek, ale w tej graciarni, w której torby i pudła przesłaniały szafki, trudno było cokolwiek znaleźć. Wreszcie dorwałem się nożyczek i w pośpiechu zacząłem ciąć plastik. Wcale nie było to łatwe.

Nie zdążyłem pociąć wszystkich kart, tak samo jak Magda nie zdążyła zaparzyć kawy, gdy rozległo się przeraźliwe walenie w drzwi. Wystraszyłem się i plik wyskoczył mi z drżących dłoni.

– Otworzę – zaproponowała Magda. Jak zwykle spokojna. Otuliła się seksownym koronkowym szlafrocikiem i poszła do drzwi.

Usiłowałem zamieść te karty pod dywan, ale nie chciał się unieść, przygnieciony ze wszystkich stron pudłami. W nerwach zacząłem więc wpychać je pod te pudła, byle tylko nie leżały na wierzchu.

Kiedy weszła policja, uwijałem się na czworakach, nieubrany – tylko w slipkach, zdyszany i niespokojny.

– A pan? – spytał jeden z policjantów.

Nie zrozumiałem, o co pyta. Czy o to, kim jestem, czy może o to, co właśnie robię. Spojrzałem na niego, usiłując zebrać myśli.

– Wystraszyłem się tego pukania – wymamrotałem. – Myślałem, że to mamusia, ona lubi... tak z rana... Chciałem trochę ogarnąć... – tłumaczyłem nieskładnie, usiłując znaleźć coś, czym mógłbym się okryć. Jak na złość wokół były tylko sukienki Magdy, a moje spodnie i koszula wisiały na krześle w drugiej części pokoju. – Jak dobrze, że to tylko panowie... – wychrypiałem, całkiem zaschło mi w ustach.

– Tylko my – przyznał policjant. – Z nakazem przeszukania. To pana mieszkanie?

– Tak. To znaczy tylko wynajmuję. To moja narzeczona. – Wskazałem na Magdę. Nie wiedziałem, jak się zachować.

Potem poprosili mnie o dowód osobisty oraz pokazali dokumenty, z których nic nie rozumiałem. Nie byłem w stanie ich przeczytać, tak bardzo wirowało mi w głowie ze stresu.

– Kawki? – spytała Magda. – Właśnie zaparzyłam.

Wyglądała na zrelaksowaną. Spod przezroczystego szlafrocika przebijała skąpa bielizna, ledwo okrywająca jej seksowne ciało.

Policjanci wodzili za nią wzrokiem, nawet tego nie ukrywając.

Odmówili kawy i wzięli się do roboty. Na szczęście pozwolili mi się ubrać, dzięki czemu poczułem się nieco lepiej, choć stres wciąż nie odpuszczał.

Usiedliśmy z Magdą w kuchni w towarzystwie jednego z policjantów, który chyba pilnował, żebyśmy niczego, co mogłoby stać się dowodem, nie ukryli, nie wyrzucili przez okno. Magda spokojnie piła kawę, ja natomiast w środku cały się trząsałem, nie byłem w stanie przełknąć nawet łyka.

Po jakimś czasie kazali nam wyjść z kuchni, bo zamierzali ją też przeszukiwać. Przeszliśmy więc do pokoju, który teraz zdawał się pusty. Wyniesiono z niego większość pudeł. Niestety także tych, pod którymi ukryłem karty do bankomatu. Kart też nie było, nawet kawałeczka. Bezwiednie oblizałem spierzchnięte wargi. Trudno, wzięli, to wzięli, już po wszystkim. Jak dobrze, że to były tylko te stare karty należące do staruszków z domu opieki.

Napięcie powoli ustępowało. Stało się to, czego tak bardzo się obawiałem, już nic gorszego teraz mnie nie spotka. Nie znajdą laptopa, którego już dawno zniszczyłem, nie ma też w domu żadnych pieniędzy poza drobnymi w portfelu.

Mnie napięcie ustępowało, za to Magdzie rosło. Niby liczyła się z tym, że mogą zarekwirować te wszystkie drogie ubrania, dodatki, gadzety, a jednak – kiedy je wynieśli – naprawdę się wkurzyła.

– Różowa sukienka jest nowa, jeszcze jej nawet nie miałam na sobie – wycodziła w kierunku



policjanta, który nas pilnował. – Żądam zwrotu, resztę bierzcie. Różowej nie oddam, to na przyjęcie zaręczynowe. Proszę natychmiast mi ją zwrócić! – krzyknęła wzburzona.

Z kuchni na ten krzyk przyszedł drugi policjant, chyba ten najważniejszy. Spojrzał na moją narzeczoną i chciał coś powiedzieć, ale mu nie pozwoliła.

– Który tu rządzi? – spytała, patrząc na niego wściekle. – Domagam się zwrotu sukienki, natychmiast! Nówka sztuka, jeszcze nierozpakowana. Gdzie ona jest? – Magda wstała i ruszyła do drzwi.

– Spokojnie, Madziu – zatrzymałem ją, zanim policjant to zrobił.

– Mamy coś! – krzyknął nagle jeden z tych, którzy byli w kuchni.

Ważniak natychmiast tam poszedł. Nastąpiła chwila konsternacji. Magda spojrzała na mnie pytająco, ale wzruszyłem ramionami. Co mogli znaleźć w kuchni? Niczego tam nie chowaliśmy. Ba! Odkąd byłem z Magdą, jadaliśmy na mieście, rzadko bywaliśmy w kuchni, chyba że po kawę albo zimne napoje.

– Może w puszcze po kawie została jakaś kasa, kiedyś tam chowałam – zastanowiła się Magda cicho, uważając, żeby nikt tego nie usłyszał poza mną.

– Chowałaś tam kasę? – spytałem szeptem.

– Na początku... Ale nie. Już jej tam nie ma, na pewno. Gdzie moja sukienka?! – krzyknęła przypomniawszy sobie o stracie.

Nie zdążyła się jednak rozkręcić, ponieważ dosłownie kilka sekund później zostałem aresztowany.

Kurwa.

Za co?

Za te kilka zniszczonych kart i pudła z ubraniami Magdy? Za drobniaki ukryte w puszcze po kawie?

Byłem oszołomiony, kiedy mnie skuli. Nie chcieli nic powiedzieć. Ledwie formułkę informującą, że mam prawo do zachowania milczenia. Oczywiście, że zamierzałem z niego skorzystać. *Omerta*. Oby moi wspólnicy też o niej pamiętali.

Magda, dopiero co wkurzona, jakby odzyskała spokój. Nie wspominała już o sukience. Kiedy mnie wyprowadzali, zdążyła szepnąć kilka pocieszających słów:

– Nie martw się, kochanie, zadzwonię do adwokata.

\*\*\*

To było straszne. Przetrzymani mnie w ponurym areszcie. Dopiero od prawników się dowiedziałem, że podstawą do aresztowania wcale nie były te cholerne karty ani nawet nie te drogie sprzęty i ubrania, ale ręka mojego ojca znaleziona w zamrażarce. Kompletnie zapomniałem, że wciąż ją tam przechowuję. Podczas przesłuchania, kiedy wszystko było już dla mnie jasne, tłumaczyłem, że to nie z trupa, lecz jest to ręka pozyskana od ojca, jego własna ręka, niegdyś ucięta i wcześniej trzymana przez niego w słoiku z formaliną, a potem u mnie, w zamrażarce, bo słoik się stłukł. Na nic się te tłumaczenia nie zdały, nie chcieli nawet zadzwonić do taty, żeby to potwierdzić, musiałem czekać na analizy DNA. A wcale im się nie spieszyło. Maglowali mnie w tym czasie na wszystkie strony, wypytując o te szantaże, o wymuszenia, o słupów, o działalność mafii. Nawet o tę akcję w Aninie pytali.

– Nie wiem nic o żadnej mafii. Nikogo nie zabiłem. Karty nie są moje, ktoś musiał mi je podrzucić. Nie mam pojęcia o niczym poza dłonią z zamrażarki, która należy do mojego ojca – powtarzałem jak mantrę.

– Twoi koledzy chętniej nam o wszystkim opowiadają – rzucił podczas jednego z przesłuchań prokurator jamnik.

Przełknąłem ślinę. Co mówią? Co takiego powiedzieli?

Odczuwałem presję, nie przeczę. Mimo to szedłem w zaparte.

– Nic nie wiem. To nie są moi koledzy.

– Nie koledzy? – prychnął prokurator. – Może nam powiesz, że się nie znacie? Nie pracujecie w jednej firmie?

– Ach, ci! Tych to znam, ale to przecież nie jest mafia. Jestem handlowcem. To jakaś okropna pomyłka.

– Mamy dowody na wasze wyłudzenia. Gdzie są te pieniądze?

– Jakie pieniądze?

– A kim jest Mentor? Szef wszystkich szefów?

Znów przełknąłem ślinę. Czyli już wiedział. Więc moi wspólnicy sypnęli. Ale zgodnie z

przewidywaniami Magdy na szczęście bezwiednie przekierowali uwagę na *capo di tutti capi*, który nie istnieje.

– Nie mogę nic powiedzieć. – Spojrzałem na prokuratora.

I milczałem. Milczałem jak zakłęty. Niech go szukają. Tego szefa nad szefami. Niech sami go znajdą.

Milczałem nawet wtedy, gdy mój adwokat próbował coś ze mnie wyciągnąć. W dobrej wierze, bo przecież był po mojej stronie, w dodatku świetnie opłacony. Tłumaczył, że prokurator zebrał sporo dowodów, udało mu się dotrzeć do kilkunastu naszych ofiar, które złożyły zeznania, pokazały pendrive'y, maile, przelewy. Nie było tego wiele jak na tyle akcji. Nasza organizacja była na szczęście na tyle rozproszona, że nie odkryli całej siatki, jedynie zarząd. Doszli do nas jak po sznurku, po tych ostatnich mailach, którymi się wymienialiśmy, a które zbyt późno zostały przez nas usunięte i przez to wciąż wisiały gdzieś w czeluściach sieci. Ja, Darek, Karol, Piotr, Jan. Prawie cały zarząd. O dziwo, żaden z nich nie wspomniał o Pawle, Gabrielu ani o Jolancie. Może dlatego, że oni nie wymieniali się z nami mailami tak często i policja do nich nie dotarła i o nich nie spytała. Na szczęście chłopacy trzymali *omertę* w zakresie szczegółów naszej działalności, wciąż najwyraźniej bardziej bali się kary od szefa wszystkich szefów niż więzienia. Ale nie zostali zatrzymani. Wypuszczono ich po czterdziestu ośmiu godzinach i mogli odpowiadać z wolnej stopy.

Groziło mi osiem lat. Adwokat mówił, że wyjdę po pięciu. A jeśli zdradzę, dla kogo pracuję, uda się wynegocjować o wiele mniejszy wymiar kary.

Nie zdradziłem. Co miałem powiedzieć? Że żaden szef nie istnieje? Wtedy cała odpowiedzialność spadłaby na mnie. Już lepiej dzielić ją z wymagowanym szefem.

Czułem się beznadziejnie. W areszcie było beznadziejnie. Liczyłem, że Magda znajdzie mi lepszego adwokata, bo ten – choć drogi, wcale nie był dobry. Osiem lat? Co za porażka. To już prawnicy moich współników byli lepsi. Kolegom groziły ledwie trzy lata za współudział albo nawet nic, bo ich adwokaci zamierzali wykazać, że to głąby podążające – za moim pośrednictwem – za przywódcą, którego nawet na oczy nie widzieli.

Zapewne w normalnym trybie długo czekalibyśmy na rozprawę w sądzie. Ale nie musieliśmy czekać. Politykom, którzy się na nas uwzięli, zależało, żeby ogłosić szybki sukces, wszak jesienią miały odbyć się wybory, a taka sprawa była idealna, by zwiększyć poparcie. Błyskawicznie zrobiło się głośno. Media trąbiły, że zatrzymano Don Alberta, szefa włoskiej mafii działającej w Polsce. Pod presją polityków, mediów i prokuratora jamnika, który miał właśnie swoje pięć minut, pierwszą rozprawę wyznaczono na dwudziestego drugiego czerwca, jakby im zależało, żeby się odbyła, zanim ludzie, ci zwykli ludzie, cała ta widownia, wyjadą na wakacje.

To wtedy pierwszy raz od trzech tygodni znów zobaczyłem kolegów. Tym razem nie byli ubrani na czarno. Prawnicy doradzili im białe koszule. Wyglądali mizernie, jakby schudli. Byli spięci, podobnie jak ja. I bladzi.

Usadzono nas w jednej ławie oskarżonych, ale nie patrzyliśmy na siebie. Chciałem im szepnąć, że *omerta*, ale zabrakło mi słów, to wszystko było takie stresujące. W dodatku, mimo sprzeciwu naszych prawników, rozprawa została otwarta dla mediów, z wyjątkiem tych części procesu, w których padały nasze prawdziwe dane personalne. Z tyłu ustawiono kamery, na krzesłach kłębili się dziennikarze. Było też mnóstwo gapiów, nie wszystkim udało się wejść na salę rozpraw. Ale na zewnątrz rozstawiono telebimy. Okropność.

Skuliłem się w sobie. Stres spowodował, że nie umiałem się skupić. Nie docierało do mnie, co się wokół dzieje. Miałem wrażenie, że to jeden wielki szum, było mi niedobrze. Nie słyszałem, co mówił sędzia, co prokurator, a co adwokat.

Potem wystąpił jakiś świadek, którego nie kojarzyłem, potem następny – tym razem kobieta, a następnie jeszcze jeden. Potem sędzia zarządził krótką przerwę. Napilem się wody. Po przerwie znów jakiś świadek. Mój adwokat ciągle mu przerywał, chyba chciał wykazać, że pan wcale nie musiał nic płacić, a że zapłacił, to był jego wybór, nic mu przecież nie groziło. Ale nie wiem dokładnie, bo trudno było mi utrzymać uwagę.

A potem mój adwokat wezwał na świadka Magdę.

Moją Magdę. Moją wspaniałą, piękną narzeczoną. Nie skojarzyłem, że to dziś, sądziłem, że dopiero na kolejnej rozprawie. Wiedziałem, że Magda będzie świadkiem, uprzedzał mnie. Przesłuchując ją, chciał

wykazać, że jestem zwyczajnym facetem, który ma plany, zamierza wziąć ślub. I że gdybym był przestępcą, to przecież narzeczona by o tym wiedziała i nie chciałaby zostać świadkiem, który niechcący mógłby mnie obciążyć zeznaniami. Prokurator tylko na to czekał.

Zamarłem, kiedy Magda weszła na salę. Wszyscy zamarli. Wyglądała jak bogini. Piękna, spokojna, nieco wyniosła, ale przy tym bardzo dziewczęca. Elegancko ubrana, pięknie umalowana i uczesana. Pomyślałem, że musiała wypłacić z tajnych kont, do których nie dobrała się policja, całkiem dużo pieniędzy, by dziś tak wyglądać.

Zapadła cisza, którą przerywał tylko stukot obcasów Magdy zbliżającej się do podestu dla świadków. Stanęła przodem do sędziego, a bokiem do nas. Nie obrzuciła nas spojrzeniem, choć bardzo na to liczyłem. Patrzyła przed siebie, a potem, niby poprawiając włosy, obróciła głowę i przemierzyła wzrokiem wzdłuż ścian, pod którymi ustawione były kamery.

Wylegitymowała się, a następnie obiecała, że będzie mówić tylko prawdę. Oczy jej błyszczały. Pozwoliła mówić adwokatowi, ale chyba go nie słuchała, co chwilę obracała się – niby mimochodem – w stronę dziennikarzy i fotoreporterów i uśmiechała się do nich zalotnie. Adwokat przedstawiał ją jako moją narzeczoną, osobę, która jest ze mną na co dzień i która dobrze mnie zna.

– Czy pani zdaniem narzeczony byłby skłonny do przestępstw? Czy to możliwe, że byłby szefem... mafii? – spytał w pewnym momencie, ostatnie słowo wypowiadając prześmiewczo.

Dopiero wtedy Magda na mnie spojrzała. Wyczekiwałem tego wzroku jak kania dżdżu. Pragnąłem spojrzeć w jej oczy, dostrzec w nich miłość, której tak bardzo teraz potrzebowałem. Ale spojrzała na mnie tylko przez chwilę, dosłownie przez ułamek sekundy. Potem przeniosła wzrok na adwokata.

– Och, nie – powiedziała. – Nie byłby skłonny. To taki prostolinijny chłopak. Bardzo miły, przystojny, ale... Niech sam pan na niego spojrzysz. On miałby być szefem mafii? – Uśmiechnęła się.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że zgłupiałem, czy tak dobrze gra, by mnie ochronić, czy może naprawdę tak myśli.

– A jednak jest szefem mafii – wtrącił prokurator.

– Sprzeciw – zareagował adwokat. – To insynuacja.

– Oddalam – powiedział sędzia. – Wykazano, że oskarżony posługiwał się pseudonimem z członem „don”, co oznacza szefa wedle mafijnej nomenklatury – przypomniał sędzia.

– Och tak. „Don Alberto” – niespodziewanie powiedziała Magda.

Zmroziło mnie. Narzeczona? Zaczęła sypać? Prerażony spojrzałem na kumpli, potem na adwokata. Wszyscy oni wyglądali na równie zdezorientowanych jak ja. Magda miała mnie przecież bronić, a nie oskarżać!

– Sprzeciw – wydusił adwokat. – Proszę tego nie protokołować. Świadek jest pod wpływem emocji, dawno nie widziała narzeczonego, udzieliły jej się informacje sączone przez media.

– Jak się pani czuje? – spytał sędzia.

– Wspaniale – przyznała Magda. I znów poprawiła włosy.

– Możemy kontynuować?

– Tak. Wszystko w porządku. – Uniosła dłoń, nakazując adwokatowi milczenie.

Ale to był przecież mój adwokat. Co ona wyprawia?

Ukryłem twarz w dłoniach. Siedziałem pochylony, nie potrafiąc zrozumieć, dlaczego Magda mnie zdradza.

– Więc to są „szefowie” – uściślił prokurator, wskazując na nas, chyba mu zależało, żeby to wybrzmiało, żeby Magda głośno potwierdziła.

– To płotki. Są niewinni. To mnie szukacie.

Uniosłem głowę. Spojrzałem na nią zszokowany. Całkowicie już zgłupiałem.

– Jestem *capo di tutti capi* – powiedziała Magda do sędziego, a potem się odwróciła i uśmiechnęła wprost do kamer i obiektywów. Nie był to lekki uśmiech, lecz szeroki, ukazujący w pełnej krasie jej piękne tureckie zęby.

Mój adwokat, który dopiero co stał, usiadł, jakby zabrakło mu sił.

Ja zapewne, gdybym akurat nie siedział, zemdlałbym. Podobnie chłopaki. Oni zaczęli ruszać się niespokojnie, patrząc to na nią, to na mnie.

Prokurator też był w szoku. Sędzia też.

– Pani jest szefem? Pani jest? Szefem mafii? – dopytywał prokurator, usiłując zebrać myśli.

– Wypraszam sobie. Szefową – podkreśliła Magda. – Jestem szefową wszystkich szefów. Donna Maria – przedstawiła się, a mnie zrobiło się ciemno przed oczami.

– Magda, nie! – krzyknąłem słabym głosem. Chciałem ją powstrzymać. Moją kochaną, najlepszą na świecie kobietę, która właśnie poświęcała się, żeby mnie wybronić.

– Zakochany jest – wyjaśniła Magda, wywracając oczami. – Zrobiłby dla mnie wszystko. Nie przeczę, wykorzystywałam tę jego słabość. – Znów się uśmiechnęła do sędziego, a potem do reporterów. – A cała reszta... – Wskazała brodą na moich kumpli. – Cóż, zastraszałam ich, nie było to trudne. Robili wszystko, co im kazałam.

– Wysoki sędzie – odezwał się prokurator. – Ta sprawa nie jest oczywista. Mam podejrzenie, że ta kobieta, być może zastraszona przez niejakiego Don Alberta, również jest jego ofiarą. Bierze na siebie jego winę, żeby...

– Żeby co? – zadrwiła Magda. – Sprawdź sobie, kto wydawał dyspozycje, kto znalazł słupów. Ja.

– Proszę o spokój – pouczył sędzia, zwracając Magdzie uwagę, żeby odnosiła się do prokuratora z należnym szacunkiem.

– Oczywiście, wysoki sędzie, zagalopowałam się. Ale co to za prokurator, który nie sprawdził podstaw? Kogo oskarża? Pionków? A kto zgarniał kasę? Ja.

– Więc gdzie są pieniądze? – wyrwało się prokuratorowi.

Magda spojrzała na niego, jakby się urwał z choinki.

– Jak to gdzie? Tutaj przecież. – Wskazała na siebie. – Czyż nie wyglądam jak milion dolarów? A te ubrania, które mi zabraliście? Gdzie moja różowa sukienka? Jest warta krocie, wystarczy zerknąć w rachunki.

– Czy świadek ma świadomość, że biorąc na siebie winę, zostanie oskarżoną w tej sprawie? – spytał sędzia.

– Mam świadomość – zapewniła Magda.

– Zarządzam piętnastominutową przerwę, poproszę do siebie prokuratora i adwokatów.

Te piętnaście minut przeciągnęło się do trzydziestu, po czym sędzia poprosił wszystkich o powstanie.

– Na wniosek prokuratora sąd postanowił zmienić kwalifikację i niniejszym panowie są teraz wolni, będziecie zeznawać już jako świadkowie.

Nasi adwokaci puścili nam tylko porozumiewawcze spojrzenia.

– Dlaczego pani to robi? – spytał Magdy prokurator. – Dlaczego bierze pani na siebie winę, skoro jest pani rzekomo szefową – zakpił. – Mogłaby pani działać dalej, narzeczony przecież nic nie zdradził.

– Bo jestem szefową. Wszystkich szefów. Twoim też.

– Upominam świadka – zaoponował sędzia.

– Proszę wybaczyć, wysoki sędzie – powiedziała Magda. – Znów się zagalopowałam. Ale dziwnie mi się rozmawia z podwładnym. W takich okolicznościach...

– Kto jest podwładnym? – dopytał sędzia.

– No, Maciek. – Wskazała na prokuratora. – Płacę mu co miesiąc, żeby mnie krył. Jak widać robił to bardzo skutecznie. Ale już nie trzeba, zwalniam cię – oświadczyła prokuratorowi.

Ten zaniemówił.

Sędzia uniósł brwi.

– Temu też płacę. – Magda wskazała na adwokata.

– No tak – przyznał adwokat.

– Mnie nie płaci! – Prokurator odzyskał głos. Był czerwony na twarzy. – Wysoki sędzie. To pomówienia!

– Zarządzam odroczenie rozprawy – zdecydował sędzia.

Potem zrobiło się zamieszanie. Prokurator doskoczył do sędziego, tłumacząc, że to nieprawda, co powiedziała Magda. Cedził, że ona musi być niespełna rozumu, że to wszystko jest nienormalne. Mój adwokat, który właśnie dostał pełnomocnictwo od Magdy i stał się teraz jej adwokatem, szybko to podchwycił i wystąpił do sędziego o skierowanie Magdy na badania psychiatryczne.

W tym czasie Magda, jako *capo di tutti capi*, została skuta kajdankami. Pozwolono nam jednak się przytulić.

– Co zrobiłaś? – wyłkałem.

– Żartujesz? Najlepsze, co mogłam – szepnęła podekscytowana. – Widzisz, ile tu kamer? Nie po to tyle kasy w siebie wrzuciłam, żeby pokazać się ledwie kilku osobom. Teraz jest szansa, że zobaczy mnie cały świat.

## Rozdział 18

Kolejne dni to był istny armagedon. W areszcie było o niebo spokojniej. Teraz musiałem zmierzyć się z zewnętrznym światem. Najpierw natarli na mnie kumple, dopytując, o co w tym wszystkim chodzi i czy Magda naprawdę jest naszym *capo di tutti capi*. Zaprzeczyłem. Wyjaśniłem, że wzięła winę na siebie, żeby nas ochronić. Że poświęciła siebie z miłości do mnie. Tak romantycznie to brzmiało, że uwierzyli.

– Co teraz? – pytali. – Działamy dalej?

– Na razie musimy przystopować – zdecydowałem. – Potrzebujemy przerwy. W tej chwili każdy ruch sprowadziłby na nas gliny. Trzeba dać sprawom przyschnąć.

– Racja. Na razie i tak mamy co robić. Prac – przypomniał Darek. – Ważne, że nie odkryli wszystkich naszych powiązań.

Potem zadzwoniła mamusia, zszokowana tym, co zobaczyła w telewizji.

– Synku drogi, z kim ty się związałeś? – płakała w słuchawkę. – I jeszcze ciebie w to wszystko wplątała. Dobrze, że ruszyło ją sumienie. Jak tak można. Podejrzewałeś coś?

– Wyglądała świetnie! – krzyknął w tle tata.

– Mamo, to nieporozumienie – wyjaśniłem. – Nie ma żadnej mafii, a Magda nie jest szefową. To polityczna zagrywka!

– Nie rozumiem...

– Szukali tematu zastępczego dla swoich przekrętów, wypłynęły jakieś taśmy, coś pewnie słyszałaś. I znaleźli nas. Nic nie zrobiliśmy, ale Borcuch, nasz prezes, miał na pieńku z kimś z góry, nie wiem nawet, o co dokładnie chodziło. Ale on się zmył. Sprzedał firmę, tyleśmy go widzieli. Więc dorwali nas, zwykłych pracowników.

– Ale dlaczego cię aresztowali? W głowie mi się to nie mieści! W państwie prawa takie rzeczy?

– Bo rękę, mamo, u mnie znaleźli. Tę ojca. Słóik nam się wtedy stłukł, pijani byliśmy. Wziąłem tę dłoń, zupełnie bezmyślnie. W Warszawie dopiero się zorientowałem, że ją mam. I do zamrażarki włożyłem. A policja szukała jakichś dokumentów Borcucha, u każdego z nas. Ale u mnie tę rękę znaleźli... No i potem już poszło. To wszystko nieporozumienie.

– A Magda?

– Podłożyła się, żeby mnie ochronić. Z miłości, mamuś.

– Mój Boże... – zatroskała się mama. – To nie do uwierzenia. Jak tak można! Trzeba nagłośnić tę sprawę.

– Już jest głośno. Ale przed wyborami oni nie pozwolą, żeby to wyjaśnić. Szukali kozła ofiarnego. Ktoś musiał pójść siedzieć. Magda się poświęciła, na razie jest w szpitalu, na obserwacji.

– W wariatkowie, słyszałam – wtrąciła mama. – A może to naprawdę wariatka? Wyglądała mi na taką dziwną... Może dobrze się stało.

– Mamuś! Magda jest najwspanialszą kobietą, nawet tak nie myśl, wszystko się ułoży. Jeszcze będzie ślub, zobaczysz.

Mama nie była do końca przekonana, ale nie drążyła tematu. Na szczęście. Bardziej przejmowała się mną niż Magdą. Dopytywała, jak się czuję, czy czegoś mi nie potrzeba. Zaproponowała nawet, że mogą do mnie przyjechać, ale odmówiłem.

Kilka godzin po mamie zadzwonił tata. Po kryjomu, z garażu.

– Czyli już koniec naszych interesów? – spytał.

– Moich na razie tak – przyznałem. – Musimy wyciszyć temat. Ale kasa na kontach jest, trzeba prac, więc w twoim przypadku nic się nie zmieniło. Dalej rzeźbisz, tylko klienci rzadziej będą przyjeżdżali. Musimy być teraz sto razy bardziej ostrożni.

– W porządku.

Nie rozmawialiśmy długo. Pochwalił Magdę za jej wyczyn. Woleliśmy jednak rozmawiać półsłówkami, w razie podsłuchu.

Wreszcie udało mi się skontaktować z adwokatem, który od momentu aresztowania Magdy i

przewiezienia jej na obserwację do psychiatryka był wiecznie zajęty. Spotkaliśmy się i wyłożył mi dowody, które podsunęła mu Magda. Wiarygodne. Groziło jej więcej niż wcześniej mnie. Aż dziesięć lat.

– Masakra – westchnąłem. – Nie da się nic zrobić?

– Trzeba namówić ją, żeby grała tę rolę do końca. Niech utrzymuje, że jest tą szefową, szefową wszystkich szefów – jak to rozegrała w sądzie. Tylko tak może się udać, żeby uznali ją za niepoczytalną i nieświadomą tego, co robiła. W przeciwnym razie trafi za kratki. Na długo. Tylko że ona nie chce.

– Oczywiście, że nie chce, no co pan? A kto by chciał dziesięć lat przesiedzieć w pace?

– Nie o tym mówię. Ona nie chce udawać chorej psychicznie. Tę scenę w sądzie zagrała, by zdobyć czas potrzebny jej do stworzenia kolejnej strategii, tak mówi. Nic z tego nie rozumiem. Jeśli państwo nie wdrożą mnie w swoje układziki, nic z naszej współpracy nie będzie – podkreślił ze złością.

– Porozmawiam z nią.

– Oby skutecznie. Nie przegrałem jeszcze żadnej sprawy. Pana też bym wybronił, gdybyście dali mi szansę! Już samo przeszukanie było nie do końca zgodne z przepisami, bo policjanci, trzymając was na boku, sami mogli coś podłożyć. Nie mówiąc też o wątpliwych dowodach i mało wiarygodnych świadkach.

– Nie spodziewałem się tego, co robi w sądzie Magda...

– Więc niech nadal gra taką nieprzewidywalną, odklejoną od rzeczywistości, paranoidalną schizofreniczkę, czy jak to się tam fachowo zwie, która wierzy w to, że wszyscy są jej podwładnymi.

– A wiadomo, co z prokuratorem?

– No co. Ruszyło postępowanie, sprawdzają go. Pan lepiej niech jedzie do narzeczonej. Na jutro załatwiłem widzenie. Potem proszę do mnie zadzwonić.

Czułem się zdezorientowany tym, co się działo. Zachowanie Magdy, choć dla mnie korzystne, było dziwne. Adwokat też jej nie rozumiał.

W nocy, zamiast zasnąć, choć byłem mocno zmęczony, przewracałem się z boku na bok, a myśli kłębiące się w głowie jak giętkie robale nie dawały mi spokoju. Powracało przekonanie, że – chociaż na pozór nielogiczne – zachowanie Magdy ma ukryty sens. W dodatku musiałyby być naprawdę świetną aktorką, by tak wspaniale to zagrać.

„To ja jestem *capo di tutti capi*” – przypomniałem sobie, z jaką pewnością w głosie wypowiadała te słowa.

Zerwałem się z łóżka i odpaliłem internet. Znalazłem migawki z sądu. Wcześniej nie chciałem ich oglądać.

Teraz patrzyłem, jak Magda mówi wprost do kamery:

„Jestem szefową wszystkich szefów”.

Nie kłamała. To znaczy wyglądała, jakby mówiła prawdę. Wszyscy jej uwierzyli.

A może sama w to wierzyła?

Kolejne robale zaległy się w głowie, obrazując sekwencję zdarzeń:

Magda naprawdę mną dyrygowała, podsuwała pomysły, znajdowała rozwiązania. To ona przecież opracowała cały ten skomplikowany plan, jak odejść od męża i jeszcze go obrobić. A najpierw miała plan, by zdobyć mnie. To ona rzeczywiście znalazła nam pierwszych słupów i zorganizowała sposób na transfer gotówki, wreszcie to ona wymyśliła różne sposoby prania pieniędzy. I całą tę zmianę własnego wizerunku, a w pewnym sensie i tożsamości. Zawsze miała gotowe, przemyślane rozwiązania.

Zrobiło mi się słabo. I największy, najtłustszy robal w mojej głowie powiedział:

– Bo to ona jest twoim szefem.

– Niemożliwe! – krzyknąłem.

Nie dałbym się przecież tak omamić, tak zmanipulować. To przecież ja wymyśliłem tę mafię, ja znalazłem pierwszych wspólników. Ja...

Wreszcie robaki ucichły, chyba też zmęczone, jak ja. I zasnęliśmy.

\*\*\*

Ten szpital pamiętał chyba dawne czasy. Przeraziły mnie poszarzałe, niegdyś pewnie białe ściany, z których w wielu miejscach odrywała się farba. I te krzesła na metalowych nóżkach, zimne, odpychające, z poprzecieraną tapicerką. Pomyślałem, że Magda musi czuć się tu bardzo niekomfortowo. Ona – elegantka dbająca o siebie, pachnąca i wymuskana, pośród tych ponurych mebli i łuszczących się ścian. I ta podłoga.

Jakieś linoleum. Czy naprawdę tak wyglądają szpitale? Na co idą nasze pieniądze przekazywane z podatków przez lata?

Zostałem wprowadzony do niewielkiej salki, w której już czekała narzeczona. O dziwo, prezentowała się jak zwykle pięknie. Nawet w tej szpitalnej piżamie i narzuconym na nią wypłowiałym szlafroku.

– Jesteś wreszcie – ucieszyła się na mój widok.

Nie była umalowana, ale dzięki makijażowi permanentnemu, który zafundowała sobie już dawno, wyglądała bosko.

– Co ty zrobiłaś, kotku! – Dосkoczyłem do niej i obsypałem ją pocałunkami.

– Och, to była spontaniczna reakcja – roześmiała się. – Szkoda było nie wykorzystać momentu! Tylu dziennikarzy, tyle aparatów, tyle kamer!

– Ale grozi ci dziesięć lat!

– Ty wiesz, że nawet Włosi się mną zainteresowali? – ciągnęła Magda, nie przejmując się wcale moim zatroskaniem. – Są pod wrażeniem. Mafia. Ta oryginalna – podkreśliła z dumą.

– Grozi ci dziesięć lat, Madziu! Kochanie! Ale zrobimy wszystko, żebyś cię z tego wyciągnął, rozmawiałem z adwokatem. Jeśli postarasz się udawać i ciągnąć te niby urojenia, które miałaś w sądzie, być może lekarze uznają cię za niespełna rozumu. Dostaniesz diagnozę, będziesz się leczyć. Ale unikniesz więzienia.

– O, dziękuję bardzo. Kilka dni tutaj było mi potrzebne. Musiałam przemyśleć pewne sprawy, a tu jednak łatwiej się z tobą spotkać, niż gdybym miała starać się o widzenia w areszcie. Pod okiem klawiszy. – Wzdrygnęła się.

– No właśnie. Mogłabyś poleżeć w tym szpitalu, odpocząć. Poudawać... No wiesz. Że wszędzie są twoi podwładni.

– Bo są. – Roześmiała się. – Tutaj już wszystkich ustawiłam. Trzy dni ledwie, a nie mają wątpliwości, kto rządzi.

– Wspaniale – przyznałem bez zbytej euforii, zaczynało mi się mieszać, czy ona myśli, że jest, czy tylko udaje, że jest szefową. Czy może jest szefową? A do mnie zaczyna to docierać? – Wspaniale, kotku – powtórzyłem. – Więc ciągnij tę farsę. Niech lekarze uwierzą, że masz urojenia, czy coś.

– Nic z tego. Nie będę robić z siebie wariatki.

– To tylko na potrzeby procesu – zaznaczyłem. – Przecież wiem, że nie jesteś.

– Negocjuję prawa do filmu! Do filmu o mnie! Wczoraj zgłosił się producent. Nie zamierzam więc udawać choroby psychicznej, bo przecież tak właśnie ludzie mogliby mnie postrzegać, a tego nie chcę. To przecież osłabiłoby wydźwięk. Współczuliby mi, zamiast mnie podziwiać.

– No ale wiesz, że po obserwacji przeniosą cię do aresztu. A potem pewnie trafisz do więzienia.

– Mam już to wszystko przemyślane. Jeśli zrobisz, co powiem, szybko mnie stamtąd wyciągniesz.

– Ale jak?

– Mamy już pieniądze, czas sięgnąć po władzę – oświadczyła Magda. – Założysz partię polityczną. Jesienią wybory, zdążycie wszystko przygotować.

– Partię? – Spojrzałem na nią, jakby była naprawdę niespełna rozumu. Ale się nie przejęła.

– Struktury już masz, ludzi masz. Podpisy zbierzecie w dwa dni. Potem tylko kampania, w to trzeba będzie zainwestować. Ale pieniądze przecież leżą i czekają, aż się je uruchomi.

– Najpierw musimy je wyprać – przypomniałem odruchowo.

– No. Właśnie wypierzenie. Składki, darowizny. Nie dojdą co, od kogo i ile. Gabriel zna się na marketingu, ogarnie kampanię.

– Ale o czym ty mówisz, Magda? – przerwałem jej stanowczo. – Kto na nas zagłosuje? Przecież dopiero co pokazywali nas w telewizji, siedzieliśmy na ławie oskarżonych.

– I dobrze, trzeba wykorzystać ten rozgłos. Niech pójdzie w eter, że oburzeni niewinni ludzie zakładają partię, by walczyć z niesprawiedliwością.

Kręciłem głową. Nie podobał mi się ten pomysł, był zbyt abstrakcyjny, nawet jak dla mnie. Choć... Nagle zaświtała mi myśl, że może w tym szaleństwie jest metoda, wszak mafię też zakładałem spontanicznie, bez doświadczenia, bez żadnego zaplecza i przygotowania. A jednak się udało.

– Pamiętaj, żeby wszystko robić głośno – zaznaczyła Magda. – Idź jak po swoje. Niech ludzie, ci zwykli ludzie, którzy potem będą na ciebie głosować, zobaczą lidera. Pokaż głównych działaczy partii,



którzy potem zostaną ministrami. Wykupcie sobie najpierw jakieś szkolenia z budowania marki osobistej, z wystąpień publicznych. Nie żałujcie kasy, to inwestycja – ciągnęła z zapalem. – Zbudujcie program, który pozwoli wam wygrać. Nie to, co się powinno albo co można dać. Ale to, co pozwoli wygrać, rozumiesz? Taki jest nasz cel. Wygrana. Jeśli zdobędziecie większość, państwo jest wasze. I wtedy mnie uwolnisz.

– Jak? Musiałabym zostać prezydentem, żeby cię ułaskawić...

– Na prezydenta jesteś za młody. Poza tym wybory dopiero za dwa lata, przygotujemy Piotra, on się nadaje.

– Więc jak cię uwolnię?

– Normalnie. Zagarniesz sądy, prokuraturę, napiszesz jakąś ustawę. Nie wiem, coś wymyślisz, no przecież wtedy to już będzie łatwizna.

Łatwizna – westchnąłem w myślach. Tylko w teorii, wciąż miałem wątpliwości co do praktyki.

– Ty wiesz, ile musielibyśmy mieć głosów, żeby zdobyć większość i utworzyć rząd? Jako młoda, nieznaną partia? Nie ma szans.

– Oj tam, marudzisz. Trzeba znaleźć odpowiednio potężne kanały informacyjne, niech się zaangażują w kampanię.

– Nie dopchamy się aż w takim stopniu do telewizji.

– Mówię o innych ścieżkach promocji. Poproś Jolantę, niech zadba o poparcie środowisk wspierających rodziny borykające się z niepełnosprawnością. Wyszukaj też wśród członków mafii tych, którzy są nauczycielami, może trafi się kilku dyrektorów szkół. Niech zajmą się szerzej edukacją, zwołają na szybko konferencje, a wy podbijcie to odpowiednim programem. I kościół. Załatw koniecznie głos kościoła.

– Jak? Nawet tam nie chodzę... – przyznałem ze skruchą, bo przecież do kościoła to chciałem już dawno pójść i go wspierać – jako szef mafii. Ale nie poszedłem i nie wsparłem, jak więc teraz sam mógłbym prosić o wsparcie? I kogo? Proboszcza z osiedlowej parafii?

– Co z tego. Wyślij wysłannika, który to ogarnie. Jeśli chcesz, ja to załatwię. Mam tutaj, w pokoju obok, dwóch kardynałów. – Mrugnęła, wskazując brodą na ściany szpitala. – A nawet papieża.

Uniosłem brwi. To za daleko zaszło.

– Nie mówisz chyba poważnie. Mam wysłać do kościelnych hierarchów pacjenta z oddziału?

– Taki żarcik. – Magda wywróciła oczami. – Chcę powiedzieć, że wszystko jest do zrobienia. Po prostu poszukaj, może znajdzie się ktoś, kto ma dostęp do kogoś ważnego. Zapłacisz jednemu, potem drugiemu i potem już pójdzie. Jeśli ugadasz się z szychami i odpowiednio dużo obiecasz, więcej niż poprzednicy...

– Rozumiem.

Zamyśliłem się. Kto wie, może nawet wśród swoich mam osobę, która posiada jakieś dojsścia. Przecież nie miałem pojęcia, kto zasila szeregi mafii. Tyłu nas było, że z mojej pozycji nie do ogarnięcia. Ale teraz warto im się będzie bliżej przyjrzeć.

– A co mam powiedzieć adwokatowi? Obiecałem, że do niego zadzwonię, gdy skończymy.

– Na razie go zostawmy. Albo nie, przecież już opłacony. Zleć mu jakieś zadanie, to także twój prawnik. Niech ci wywalczy odszkodowanie od państwa za te wszystkie tygodnie niesłusznie spędzone w areszcie. I jeszcze o dobra osobiste ich pozwij, w końcu twoje zdjęcia ukazały się w całej Polsce jako oskarżonego. I jeszcze... no, niech on wymyśli, za to mu się płaci. A odszkodowanie każ przelać na cele charytatywne, i niech to też pójdzie w eter, zrobisz sobie dobry pijar, że nie chcesz dla siebie, ale wiesz... dla potrzebujących.

– Na cele charytatywne, tak jest.

– Czyli na fundację, która działa na rzecz osób niepełnosprawnych – zaznaczyła Magda. – Jolanty przecież nie namierzeli.

Na wieczór zwołałem spotkanie zarządu. Zaprosiłem też Jolkę. Było jak dawniej.

– Mieliśmy wyciszać działalność – przypomniał Darek.

– Wyciszamy. Ale mam inny plan, który pozwoli nam wykorzystać całe nasze zaplecze.

Pokrótkie przedstawiłem im strategię Magdy, nie zdradzając, rzecz jasna, że to ona jest pomysłodawczynią.

Na początku niedowierzali, że mówię poważnie. Wyrażali wątpliwości podobne do tych, które sam dopiero co miałem. Ale tłumaczyłem cierpliwie, uwypuklając wszelkie korzyści.

– Gdybyśmy mieli państwo... o kurde. Wszystkie podatki spływałyby do nas – rozmarzył się Karol. – Nie trzeba by było słać maili, wymyślać szantaży.

– Do tego cło, dywidendy ze spółek państwowych – wtrącił Piotr.

– I pewnie mandaty. Wszystkie te grzywny, kary pieniężne – zauważył Jan.

– A majątki zmarłych, po które nikt się nie zgłosił? – zainteresowała się Jolanta.

– Też do nas – powiedział Darek.

I zaczęliśmy się śmiać. I płynęliśmy dalej w marzeniach:

– Pozakładalibyśmy kolejne firmy, przyznawalibyśmy sobie dotacje i granty, zorganizowalibyśmy taki przepływ kasy, że...

– To dopiero byłaby pralnia... – napalił się Karol.

– Tylko najpierw musimy zainwestować. A będzie trzeba dużo włożyć, żeby potem dużo wyjąć. Na razie więc te nasze samochody i domy musiałyby poczekać...

– Ale potem... – Darkowi rozbłyły oczy. – Wchodzę w to!

– Mamy obecnie ponad pięciuset członków. Do zarejestrowania partii potrzebne jest tysiąc podpisów – analizował księgowy. – Wystarczy, jeśli tych pięciuset podpisze i poprosi bliskich – ojca, żonę, kuzyna o podpis. Potem tylko złożyć wniosek do sądu. I mamy partię.

– Trzeba wymyślić statut – powiedział Gabriel.

Pokiwaliśmy głowami, dając mu przyzwolenie na stworzenie takowego.

– Wszyscy w to wchodzi? – upewniłem się, przebiegając wzrokiem po zebranych.

Unieśli kciuki, a na ich twarzach widać było szczere uśmiechy i chęć do działania. Jak dawniej.

Tylko Jolanta jeszcze się wahała.

– Z fundacją mam tyle roboty... W dodatku niebawem ślub.

Spojrzałem na nią kwaśno, ja własny musiałem odłożyć.

– Wybacz, nie chciałam – zaznaczyła szybko. – Bardzo mi smutno z powodu Magdy.

Ale jakoś nie widziałem po niej tego smutku.

– No dobrze – zdecydowała wreszcie, być może nieco zawstydzona uwagą o ślubie. – Jeśli obiecacie mi, że gdy dorwiemy się do władzy, to podniesiemy limit tych wszystkich refundacji dla osób potrzebujących oraz podwyższymy rentę socjalną, bo dla niektórych jest jedynym źródłem utrzymania...

– Obiecujemy! – zgodziłem się bez wahania.

Nie potrzebowałem się zastanawiać ani naradzać, obiecać przecież można wszystko.

– Każdemu coś damy – zapewniłem przy okazji. – Rozdamy dużo, bo chcemy wygrać. Wygrana to nasz cel!

– Ale co rozdamy? Pieniądze? – spytał Paweł.

– Pieniądze też. Dużo pieniędzy damy ludziom.

– To oni mieli nam dawać. W podatkach.

– I tak nam oddadzą, w dodatku z nawiązką – zapewniłem.

## Rozdział 19

Wcale nie było nam szkoda, że znów nie mamy urlopów. Nakręcała nas wizja władzy. Pracowaliśmy jeszcze ciężiej niż wtedy, gdy rozkręcaliśmy mafię. Bo teraz więcej było do zrobienia. Zarejestrowanie partii, komitetu wyborczego, ustalenie, kogo wystawiamy na listy, potem stworzenie programu, a następnie cała ta machina promocyjna, która ruszyła w połowie wakacji. Fundusz łapówkowy opróżniliśmy już w pierwszym miesiącu. Ale zdobyliśmy szychy, na których nam zależało. Spałem po sześć godzin, bywały dni, że po cztery. Ale nie narzekałem. Nikt z nas nie narzekał. Mafia znów działała jak w zegarku, choć w innym wymiarze zadań. Zmieniliśmy też stroje, nie ubieraliśmy się już na czarno, lecz w eleganckie garnitury z jasnymi koszulami, kobiety zaś zakładały garsonki w ciepłych, przyjaznych kolorach. Na front wystawiliśmy Jolantę, ludzie ją pokochali. Była ładna, energiczna, uśmiechnięta, do tego na wózku. Idealna kandydatka na przyszłego ministra zdrowia. Jolanta sprawdzała się w tej roli wyśmienicie, świetnie radziła sobie na spotkaniach i w czasie konferencji. Postulowała zmiany, z którymi nikt nie odważył się dyskutować. I obiecywała, że jeśli jej partia zdobędzie odpowiednią liczbę mandatów, zadbamy o wszystkich – by każdemu żyło się dobrze w tym kraju.

– Chorych wyleczymy! – krzyczała Jolka na wiecach. – A zdrowi utrzymają zdrowie!

I ludzie szaleli. Wierzyli jej, bo była prawdziwa.

– Kto, jeśli nie ja, najlepiej o was zadba? – pytała. – Wiem, jak to jest leżeć w szpitalu! Och, w jakim szpitalu, w ruderze raczej – kpiła. – Wiem, co tam dają jeść, a raczej czym nas trują. Wiem, jak długo czeka się na specjalistów, na operacje. Ilu takiej nie doczekało? – Tu robiła zawsze pauzę. – Wiem, jak trudno jest opiekować się chorym. Wiem, ilu pieniędzy potrzeba na leki, dobry sprzęt do rehabilitacji, na życie.

Jolanta dawała sobie radę bez naszej pomocy, innych trzeba było wesprzeć. Nie żalowaliśmy kasy na promocję poszczególnych osób, na ich przeszkolenie, na spotkania ze specjalistami od wizerunku. Każdy gest, każde słowo było wystudiowane. Ale wszystko to przynosiło znakomite efekty.

Pieniądze kurczyły się w tempie większym, niż przewidywałem. Kampania wysysała z nas ostatnie soki. Nie zatrzymywaliśmy się jednak. Piotr pocił się, szukając kolejnych zastrzyków gotówki. Trzeba było odezwać się do starych znajomych, czyli biznesmenów, których niegdyś szantażowaliśmy. Tych, którzy zapłacili, ale nas nie wyspali. Tym razem przyszliśmy do nich z propozycją. Mogli wpłacić darowiznę, a w zamian – jeśli odniesiemy sukces – mieli zapewnione miejsce w VIP-owskiej Łoży Lobbystów, którą zamierzaliśmy specjalnie dla nich stworzyć.

– Uczciwy układ – uznali. I płacili.

To jednak wciąż było mało, dlatego konieczne było wzięcie kredytów. Wzbraliśmy się przed tym, w dodatku wielu z nas wciąż miało jakieś zobowiązania. Ale ostatecznie zaryzykowaliśmy. Wszyscy. Kto mógł. W całej Polsce.

– Bez obaw – zapewniałem. – Kiedy zdobędziemy władzę, obsadzimy każdego tam, gdzie chce, na stanowisku, jakie sobie wybierze. Może nawet nie przychodzić do pracy, kasa i tak spłynie, spłacicie kredyty.

Przy okazji wykuł nam się plan, co też wykorzystaliśmy na wiecach, ogłaszając, że gdy dojdziemy do władzy, zlikwidujemy odsetki bankowe. Przymusimy banki do współpracy.

– Tak będzie! – krzyczał Darek. A tłum wiwatował.

Nasz program napompowaliśmy do cna, wrzucając do niego, co tylko wpadło nam do głowy. Przedstawiciele innych partii oraz dziennikarze i komentatorzy kręcili kółka na czołach, a w telewizjach odbywały się dyskusje, punktujące bzdury, które wygadywaliśmy.

– Próbują nas zdyskredytować! – grzmiałem na spotkaniach z wyborcami. – Nie wierzcie im! To stara klika, chcą utrzymać się stołków. Ale nadchodzi zmiana! Boją się nas.

Lecz wcale się nie bali, co nas motywowało do jeszcze większej pracy i do wrzucania w kampanię jeszcze większej kasy.

Zatrudniliśmy hakerów, którzy czyścili internet z memów obśmiewających nas, a w zamian wrzucali te, które nas wychwalają. Wykupiliśmy też całą armię botów dodających pochlebne komentarze.

– Świetnie wam idzie – pochwaliła Magda, gdy odwiedziłem ją w areszcie, w którym po opuszczeniu szpitala oczekiwała na proces. – Oby tak dalej. Dorzucicie więcej ciepła, troski, to zawsze dobrze robi. Sama

Jolanta nie udźwignie.

– Ale ja miałem być przecież liderem. Zdecydowanym, stanowczym.

– Przemyć informacje, które cię ucłowieczą. Na przykład odwiedź moją babcię. Na pewno się ucieszy, bo przecież ja jej teraz nie odwiedzam. Tylko nie zapomnij obdzwonić fotoreporterów – poinstruowała.

Przekazałem reszcie te pomysły, nie zdradzając, że wypłynęły od Magdy. Zaczęliśmy więc, mimo napiętych grafików, odwiedzać domy starców, szpitale, domy dziecka, a także schroniska dla zwierząt. Już nawet prawie zaadoptowałem kota. Powstrzymałem się ostatkiem sił, tłumacząc sobie, że to jeszcze nie pora, bo wciąż jestem w pracy, w rozjazdach i nie miałby się kto nim zająć. Ale było blisko.

– Świetnie nam idzie – zauważył Gabriel, analizując sondaże. – Jeszcze chwila, a wysuniemy się na prowadzenie.

– Bravo, synku! – cieszyła się mama. – W telewizji mówili, że macie szansę wejść do Sejmu!

Ale nam nie zależało na tym tylko, żeby wejść. Chcieliśmy zgarnąć złoto!

Przypomnieliśmy sobie o celebrytach, którzy tak pięknie nam płacili i robili z tego olbrzymią reklamę. Poprosiliśmy ich teraz o wsparcie, obiecując w zamian odpowiednią ustawę, gwarantującą, że wybrani, zasłużeni dla narodu internetowi twórcy będą zwolnieni z podatków.

– Stoi! – przyklasnęli. I popłynęła kasa. A wraz z nią odpowiednie filmiki informujące, komu dają.

Kołowrót kręcił się tak, że ledwie patrzyłem na oczy. A jednak trzeba było jeszcze znaleźć czas na sprawę Magdy, która właśnie ruszyła. Byliśmy świadkami. Mówiliśmy właściwie to samo co wcześniej, tak jak nam kazała, żeby zachować spójny front.

Dostała cztery lata. Adwokat powiedział, że złoży apelację.

– Jeszcze tylko chwilka. – Magda do mnie mrugnęła, kiedy ją wyprowadzali z sali rozpraw.

– Jeszcze chwilka – westchnąłem cicho, ale z dużą nadzieją.

Na tej ostatniej prostej, kiedy do wyborów został ledwie tydzień, niemal opadaliśmy z sił. Zarówno psychicznych, jak i fizycznych. Byliśmy wyczerpani, w dodatku zżerał nas stres.

– A co, jeśli nie wygramy? – spytał Jan.

– Musimy wygrać – odparłem.

Wygraliśmy. Ale co nas to kosztowało, to tylko my wiemy.

\*\*\*

Pierwsze posiedzenie sejmu to był koszmar, nawet nie chcę tego wspominać. Zostaliśmy wygwizdani, co było zdumiewające, żadne z nas nie spodziewało się takiego zachowania w takim miejscu.

Na premiera mianowałem Darka, to mój najlepszy przyjaciel. Sam nie chciałem wystawiać się na świecznik, za dużo było do ogarnięcia z różnych stron, nie chciałem sobie dokładać. Potem wybraliśmy ministrów.

A potem było już górki.

Dzień po dniu nabieraliśmy rozpędu. Mafijny sznyt pozwolił nam trzymać rygor i działać jak w zegarku. Cokolwiek między sobą ustaliliśmy, trzymaliśmy się tego, nikt się nie wyłamał. Tak samo było z głosowaniami. Wciąż także obowiązywała *omerta*.

Magdę udało się uwolnić dopiero po sześciu miesiącach. Nie miała pretensji, że tak długo. Pochwaliła mnie, że zrealizowałem plan, i natychmiast przeszła do następnych punktów.

– Miałam sporo czasu w więzieniu – zagaiła w łóżku. – Wymyśliłam, co moglibyśmy zrobić teraz, gdy to państwo jest już nasze.

I wydawała kolejne dyspozycje – tym razem dotyczące działań na szczeblu państwowym – czym doprowadzała mnie do tak wielkiego pożądania, że aż ciemniało mi przed oczami, gdy się kochaliśmy.

I znów wszystko zaczęło się układać. Znów było co robić i znów zaczęła płynąć kasa.

I przyszedł w końcu ten czas, że oficjalnie mogliśmy pozwolić sobie wreszcie na piękne samochody. Limuzyny rządowe, nie byle co. Zamówiliśmy nówki, wydając odpowiednie rozporządzenie. Kupiliśmy też eleganckie domy. Na razie niezbyt wystawne, by zbyt nie kłuły w oczy wyborców, w dodatku nie na siebie, lecz na współmałżonków. W moim przypadku dom kupiła Magda, zatrudniona już teraz przez jedno z ministerstw jako doradca do spraw więziennictwa i resocjalizacji. W eter poszło, że siedziała na niby, by sprawdzić od środka, jak naprawdę wyglądają więzienia i jakie są potrzeby pracujących w tym obszarze.

Wszystkie dokumenty jej wyczyściliśmy. Znow mogła brylować, pokazywać się, wyprawiać rauty. Za państwową kasę. Niczego sobie nie żalowaliśmy. Na oku mieliśmy już wspaniałe lokalizacje, pałacyki, dworki. Zamierzaliśmy systematycznie je skupować na nasze firmy – te państwowe oraz te prywatne, przepisane obecnie na współmałżonków.

Do pełni szczęścia potrzebowaliśmy już tylko własnego prezydenta. Ten, który wciąż pełnił urząd, wciąż robił nam pod górkę. Co przegłosowaliśmy jakąś wspaniałą ustawę, to stawiał veto i wracała. I znow trzeba było głosować. Tak w kółko. Traciliśmy z nim czas.

– Jeszcze tylko kilka miesięcy, kochanie – pocieszała Magda.

Zamierzaliśmy wystawić własnego kandydata, drogę do wygranej mieliśmy już opracowaną.

Czułem się wspaniale i z każdym dniem pękałem z dumy, że jestem w tym miejscu. Sprawa mafii dawno przycichła, nikt już nie wspominał o Don Albercie. Coraz częściej pokazywałem się w telewizji, teraz już okazywano mi szacunek. Dokonałem niemożliwego.

Aż przyszedł dzień, kiedy do mojego gabinetu zapukał Kostrzeba.

– Przesyłka do pana, szefie.

Minę miał nietęgą. W dodatku zwrócił się do mnie per „pan”, a przecież od dawna byliśmy po imieniu. Był szefem ochrony. Wziąłem od niego otwartą kopertę, z której wysunął się pendrive.

Parsknąłem śmiechem.

– No jasne. Ktoś ma niezły tupet – oceniłem. – Chyba nie wie, kim jestem. Co wysłali? Spreparowane dokumenty, a może zdjęcia? Nie z nami te numery, prawda, Stefano?

– Lepiej niech pan obejrzy ten filmik.

Skinął mi głową z powagą i wyszedł.

Przez chwilę siedziałem skonsternowany, obracając w dłoni małe urządzenie. Wreszcie włożyłem pendrive’a do portu w laptopie i odpaliłem film.

Z początku nie rozumiałem, na co patrzę. W dodatku nagranie trwało ledwie kilka sekund, musiałem je cofnąć i obejrzeć ponownie. Dopiero wtedy sobie uświadomiłem, że na tym filmie jestem ja, co było dobrze widać. Ja na moście. Ja, popychający Wiśniewskiego, który spada do Wisły.

Ale przecież go nie pchnąłem!

Zmroziło mnie. Odpaliłem filmik jeszcze raz.

Musiał być nagrany z samochodu jadącego mostem. Zapewne przypadkiem, ale z pewnością teraz nieprzypadkowo wycięto z niego tylko ten maleńki fragment. Nie było widać, jak powoli i ostrożnie podchodziłem do przyszłego denata. Pokazano tylko, że do niego doskakuję – wtedy, gdy chciałem go chwycić. Wyglądało, jakbym go pchnął, bo zaraz zleciał.

Ludzie nie uwierzą, że chciałem go złapać, a on mi się wyrwał – pomyślałem, puszczając nagranie kolejny raz. – Jestem zniszczony. To mój koniec. Jeśli zostanie to upublicznione, wszyscy zobaczą, że szef największej partii wpycha do Wisły prezesa największego banku. Dla ludzi liczy się obraz.

Kurwa.

Spanikowałem, ręce zaczęły mi się drżeć. Ledwie wyjąłem z koperty te papiery, które zostały przysłane razem z pendrive’em. Spodziewałem się krótkiego żądania, ale okazało się, że to cała lista – projekty ustaw, które oczekiwano, że szybko przepchniemy.

Zadzwoiłem do Magdy. Musiałem się kogoś poradzić. Kogoś, kto zawsze wiedział, co robić. Moja szefowa. Opowiedziałem jej, co zaszło i czego ode mnie chcą.

– Wykonać – poleciła Magda.

Na wieczór zwołałem posiedzenie rządu. Sprawa była pilna.

Trudno ocenić, czy Magda dobrze mi wtedy doradziła, bo teraz co chwila ci anonimowi szantażyści wysyłają mi projekty ustaw. Czasem tracę orientację, dla kogo właściwie pracuję. Chciałem dla siebie, prawie się udało.

Jestem jednak silny, odważny i niezniszczalny. W końcu dorwiemy tych skurwysynów, to nasze państwo, nie będą z nami pogrywać.

Na razie jednak trzeba się skoncentrować na wyborach prezydenckich, za chwilę ruszy kampania.

## **Książki Aleksandry Tyl**

Miłość wyczytana z nut

•

Aleja Bzów

•

Szczęście pachnie bzem

•

Magiczne lato

•

Karmelowa jesień

•

Anielska zima

•

Szalona wiosna

•

Wschody i zachody słońca

•

Leo! Znowu ty? Niecny plan

•

Leo! Znowu ty? Byle do przodu

•

Zgodne małżeństwo

•

Ostatnia podróż